

SIECI

POWSTAŃCY WARSZAWSKY:

**WALCZYLIŚMY
O WOLNĄ I NIEPODLEGŁĄ
POLSKĘ**

**POLSCY
POMOCNICY
ŁUKASZENKI**

**ATAK
LEWICY NA KOTLETY
I JAJECZNICĘ**

**CUDA NAD URNAMI
W PLATFORMIE**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 44 (466) 2021
2-7 listopada 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

SIECI

**JAK POLSKA I WĘGRY
WYGRYWAJĄ
WOJNĘ
Z BRUKSELA
I DLACZEGO
MUSIAŁY NA NIĄ PÓJŚĆ**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694





Już w poniedziałek 8 listopada

w tygodniku **SIECI** dziewiąta część
cyklu dodatków

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych



JERZY RUDLICKI – wybitny inżynier i konstruktor lotniczy, wprowadził innowacje w budowie samolotu wzorowane na skrzydłach motyla

Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: **IPNtv**



rys. Krzysztof Wyrzykowski

PARTNERZY MERYTORYCZNI



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



PARTNER DODATKU



Co oni zrobiliby z Polską?

Cośmy takiego zrobili jako naród, że ukarano nas tak niezdolną do elementarnej powagi, nawet w sprawach gardłowych, prasą? W dużej części redakcji za najważniejszy element konferencji, na której zapowiedziano radykalne zwiększenie siły i liczebności polskiej armii, uznano stopklatkę, na której widać, jak Jarosław Kaczyński na chwilę zamknął oczy. Prowadzą też panie redaktorki i panowie redaktorzy wielogodzinne dywagacje, czy prezes PiS właściwie założył zegarek.

Można by to uznać za element przemysłu pogardy, gdyby nie fakt, że to już nie ten czas. Tania waluta szyderstw i kpin działa coraz słabiej. Stosując takie metody, można ciulać głosy i emocje w opozycji, ale o przejęciu władzy w ten sposób trudno myśleć. Sześćdziesięcioletnie rządy Zjednoczonej Prawicy wysoko podniosły poprzeczkę oczekiwanego od polityków profesjonalizmu. Duża część społeczeństwa puszcza mimo uszu wulgarne ataki Tuska, Sikorskiego i powiązanej z nimi prasy, oczekując konkretnych planów dla Polski w podstawowych sprawach.

Obronność jest takim tematem. Świat staje się coraz bardziej niebezpiecznym miejscem, wraca język siły, odtwarzają się koncerty mocarstw. Nasz bezpośredni sąsiad – Ukraina – został zaatakowany przez zaprzyjaźnioną rzekomo, wręcz bratnią, Rosję. Krym jest okupowany, a granica z Rosją trwale zmieniona w strefę destabilizacji i przemocy. Drugi nasz sąsiad – Białoruś – z ewidentnym przyzwoleniem Moskwy ćwiczy na Polsce wojnę hybrydową, z okrutnym, bezdusznym użyciem oszukanych, zwożonych z całego świata, migrantów. Ćwiczy coraz brutalniej, co widać choćby w relacjach państwowych mediów białoruskich. Kto nie wierzy, niech spojrzy na radość prezentera głównego dziennika białoruskiego, gdy pokazuje zorganizowane grupy próbujące się siłą przebić przez polską granicę, wyrwijące słupki płotu granicznego. Od tego do pełnej militarnej agresji niestety nie jest daleko. Musimy działać.

Dlatego właśnie taką wagę ma zaprezentowany przez wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego

i ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka projekt Ustawy o obronie ojczyzny. To pierwsza w III RP próba kompleksowego uporządkowania spraw obronności. Jak mówił Kaczyński w niedawnej rozmowie z tygodnikiem „Sieci”, przygotowanie tego projektu było jednym z celów jego wejścia do rządu.

To propozycja rzeczywiście kompleksowa i nowoczesna, doceniona od razu przez NATO. Obejmuje wszystkie konieczne elementy. Radykalne zwiększenie finansowania obronności, procedury zakupu sprzętu, uproszczenie rekrutacji do wojska, zwiększenie atrakcyjności służby dla tych, którzy już w niej są, sprawy związane z dyscypliną, uczciwością i godnością munduru. Docelowo polska armia ma liczyć 250 tys. żołnierzy zawodowych i 50 tys. w Wojskach Obrony Terytorialnej, wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt. Do tego dużo więcej niż dzisiaj przeszkolonych rezerwistów, także ochotników.

Nie wyobrażałem sobie, by jakikolwiek odpowiedzialny polityk czy polski dziennikarz nie poparł tych rozwiązań. Ale jak zwykle się okazało, że totalność opozycji jest dla wielu drogowskazem także w tej sprawie. Sięgnięto po najbardziej infantylne argumenty, przekonując Polaków, że ważniejsze są gospodarka, edukacja, ochrona zdrowia.

Jak można w ogóle to wartościować? Przeciwwstawiać? Czy możliwe są bogacenie się, rozwój kraju, spokojna nauka i normalne życie bez bezpieczeństwa granic? W naszym regionie za słabością militarną zawsze prędzej czy później przychodzi wojna, a za nią idą cierpienie, chaos, bieda i nędza. Jeżeli ktoś nie wierzy, niech dostrzeże, jak wielu Ukraińców przygnały do nas właśnie te czynniki. Ciężko u nas pracują, bo w ich ojczyźnie agresja rosyjska skokowo obniżyła poziom życia, zrujnowała budżet i walutę, przyniosła wzrost przestępczości, mafijności życia społecznego. Zbroić się musimy nie dlatego, że nie chcemy rozwoju we wszystkich społecznych obszarach, ale właśnie dlatego, że bez silnej armii będzie on niemożliwy.

Pilnujmy zatem Polski zarówno przed agresorami zewnętrznymi, jak i niemądrymi ludźmi wewnątrz, którzy tak samo jak głupia część szlachty i arystokracji w XVIII w. proponują słabość jako rzekomą gwarancję bezpieczeństwa. I nie żartują, bo gdy rządili, zwijali posterunki policji i zmniejszali armię. Żał myśleć, co zrobiliby z Polską, gdyby mieli także w tych niebezpiecznych czasach przejąć stery państwa.

Michał Karnowski


48

**Sztuka budowania
piramidy**
Maja Narbutt


52

**Z prof. Andrzejem
Nowakiem**
*rozmawia Jakub
Maciejewski*


70

**Manifest pisany
śmiercią**
Wojciech Lada

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 AVE, DONALD**
Krzysztof Feusette
- 9 PO OWOCACH ICH POZNACIE**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 NIE MA CENY ZA SUWERENNOŚĆ**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 POLACY, KTÓRZY NIE CHCĄ
NIEPODLEGŁOŚCI**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA ORSOLYI KOVÁCS**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 POTRZEBA KONTAKTU Z NATURĄ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 PO CO SĄ WYBORY?**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 UNIJNA ROZGRYWKA
O „KWESTIĘ POLSKĄ”**
Jan Rokita
- 24 JESTEŚMY TYM DAWIDEM, KTÓREGO
GOLIAT POWINIEN SIĘ WYSTRZEGAĆ**
Przemówienie premiera
Węgier Viktora Orbána

KRAJ

- 28 WALCZYLIŚMY O WOLNĄ POLSKĘ**
Dorota Łosiewicz
- 32 JEDNYM GŁOSEM Z ŁUKASZENKĄ**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 38 CUDA W PO**
Stanisław Janecki
- 41 Z KACPREM PŁAŻYŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 45 WYWRACANIE ŚWIATA**
Konrad Kołodziejski
- 48 SZTUKA BUDOWANIA PIRAMIDY**
Maja Narbutt

OPINIE

- 52 Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

- 58 WIRGINIA, TRUMP I WOJNA
KULTUROWA**
Aleksandra Rybińska
- 62 GRETA THUNBERG ZAMIAST
FRANCISZKA**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

- 65 JAK DIANA, ALE NA KRÓTKO**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 68 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 70 MANIFEST PISANY ŚMIERCIĄ**
Wojciech Lada
- 74 Z MATEUSZEM MATYSZKOWICZEM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
- 76 O CZYM ŚNIĄ ROŚLINY**
Robert Tekieli
- 77 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 78 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

IMPRESJE

- 80 NAZAJUTRZ...**
Krzysztof Logan Tomaszewski

KUCHNIA

- 90 MOJE SMAKI: RITA MOCK-PIKE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 91 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 92 UNIJNE SABATY**
Hanna Karp
- 94 DZISIAJ TEJ MOCY NAM POTRZEBA...**
Alina Czerniakowska
- 95 NIESPRAWIEDLIWOŚĆ**
Lech Makowiecki
- 95 ŻUBRÓWKA Z „OLEM”**
Piotr Cywiński
- 96 WOJNA O POKÓJ**
Wiktor Świetlik
- 97 „LECZ NIE BYŁO JUŻ ŚWIATA”**
Leszek Długosz
- 98 DWIE STACJE METREM**
Katarzyna Zybortowicz



ORLEN

WYBIERAJ POLSKIE PRODUKTY

Wspieraj lokalnych
sadowników



Sygnalista nadaje

🔊 Jacek Żakowski: „Tusk stworzył niepotrzebnie problem, mówiąc o polexicie. Bo oczywiście żadnego polexitu nie będzie. [...] Opowiadając ciągle o tym polexicie, którego przecież nigdzie na horyzoncie nie widać, traci wiarygodność w całej debacie i to jest problem. PiS mówi, że nie zrobi polexitu, a Platforma opowiada o polexicie kojarzonym z brexitem, który jest w ogóle niemożliwy i każdy zdrowy człowiek to rozumie”. Tak, tę bitwę na tak trudnym boisku PiS też powoli wygrywa.

🔊 Są jednak sondaże, w których **Tusk** prowadzi. Obecnie jest liderem rankingu nieufności. Liderowi PO nie ufa 53 proc. badanych przez CBOS, a ufa zaledwie 26 proc. Dla porównania – Jarosławowi Kaczyńskiemu nie ufa 50 proc., a ufa 35 proc. Fakt, że przy tak nierównych siłach medialnego ostrzału lider PiS wyraźnie wyprzedza lidera Platformy cieszącego się poparciem tak dużej części establishmentu, to ważny sygnał. Kto wie, czy Tusk znów nie spakuje walizkę, i to jeszcze przed kolejnymi wyborami?

🔊 Tuskwowi wyraźnie doskwiera przywoływanie jego niemieckich powiązań i sympatii. „W sumie to nawet zabawne, że operacji »für Deutschland« patronują ministrowie Schreiber, Rau, Szefernaker i Müller. Taki gruppenführer Wolf 2.0.” – rzucił kilka dni temu w mediach społecznościowych. Przypominamy: czepianie się nazwisk jest w wyjątkowo złym guście. A poza tym z historii wiemy, że można mieć dobre polskie nazwisko i służyć zaborcom. I odwrotnie.

🔊 Następczynię Tuska, czyli **Ewę Kopacz**, zapytano, co sądzi o Ustawie o obronie ojczyzny. Odpowiedziała tak: „To nie ustawy będą nas bronić przed potencjalnym najeźdźcą. Uważam, że ostatnie sześć lat to sześć lat straconych dla polskiej armii”. Cóż, jest postęp, bo w czasie swojego premierowania mówiła tak: „Ja sobie wyobrażam, co bym zrobiła, gdyby na ulicy pokazał się człowiek trzymający w rękę pistolet. Pierwsza moja myśl, tam za moimi plecami jest mój dom i moje dzieci. Więc wpadam do domu, zamykam się i opiekuję się moimi dziećmi”. Była to odpowiedź na pytanie o sprzedaż broni zaatakowanej Ukrainie.

🔊 Warto jednak odnotować, że Ewa Kopacz, z wykształcenia lekarz, nie dała się wciągnąć Monice Olejnik w dywagację o zdrowiu Jarosława Kaczyńskiego. „My, polscy lekarze, mamy swoje zasady i nie będę mówić o jakichkolwiek uwagach co do stanu zdrowia prezesa PiS”. Niestety, niewielkie są nadzieje, że ten przykład okaże się w PO zaraźliwy.

🔊 Inna ulubienica Tuska, Elżbieta Bieńkowska, tak komentuje spory z Unią: „Przeżyłam brexit w Komisji, więc pamiętam, jak to wyglądało, a z tego, co słyszę teraz i jak rozmawiam z kolegami z Komisji i z Brukseli, to oni postrzegają sytuację polską jako o wiele groźniejszą niż brexit”. I dalej: „Komisja Europejska w tej chwili doszła do ściany, jeśli nie będzie woli dialogu ze strony polskiej”. No nie chcą bić, nie chcą strzelać, ale muszą.

🔊 Tymczasem Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, w latach 2012–2014

🔊
Solidarność pojechała do Brukseli walczyć w obronie Turowa. Protestujących przywitały zasieki, drut kolczasty i opancerzone pojazdy. Nie powinni narzekać. W Polsce bariery przed Sejmem są dowodem na brak demokracji, ale w Brukseli dużo ostrzejsze metody jedynie potwierdzają, że to miejsce kwitnącej demokracji, tolerancji i szczerego dialogu. Kto nie widzi kontekstu, ten nie widzi nic.

podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w latach 2014–2016 ambasador Polski w Rosji, uważa, że PiS poszło za daleko w negacji głównego nurtu w Europie, ale zaznacza: „Sama choroba została zdiagnozowana nawet trafnie. Faktycznie mieliśmy nadmierną potrzebę do zgody i pójścia tam, gdzie większość, i tam, gdzie duży, zwłaszcza Niemcy. Myślę, że to było u nas trochę za daleko posunięte i dzisiaj nie wszystkie nasze ścieżki muszą być ścieżkami głównego nurtu”. Głos wart odnotowania.

Byłe prezydentowe – Danuta Wałęsa, Jolanta Kwaśniewska i Anna Komorowska – wystosowały apel w sprawie wydarzeń na granicy: „Nie zgadzamy się na nieludzkie traktowanie dzieci. Nie zgadzamy się na stawianie nas, polskich kobiet i matek, w roli obserwatorek rozgrywanego się na naszych oczach dramatu. Nie zgadzamy się na stygmatyzowanie uchodźców i wykorzystywanie ich tragedii do bieżących celów politycznych”. Skoro tak, to dlaczego panie wspierają agendę i metodę polityczną Aleksandra Łukaszenki?

Przed siedzibą Straży Granicznej w Michalowie – gdzie swój manifest odczytały byłe prezydentowe – skandowano m.in.: „Wpuścić pomoc na granicę”, „Nikt nie jest nielegalny”, „Miejsce dzieci nie jest w lesie”, „W lesie zbieramy grzyby, nie ciała”, „Tam umierają dzieci”, „Morawiecki – krew na rękach”, „Stop łapankom na granicy”. „Straż Graniczna ma krew na rękach”. Byłe prezydentowe poczuły się pewnie lepiej, szlachetniej, ale przy okazji potwierdziły to, co wszyscy podejrzewaliśmy.

Lecha Wałęsę zapytano, czy jest bankrutem. „Tak jest. Bo byłem święcie przekonany, że będę zawsze zarabiał. Więc za bardzo nie dbałem. No a okazało się, że przyszła pandemia. Skończyły się dopływy, a odpływ wszystko zabrał” – odpowiedział. Czy to prawda, że kiedyś miał kilkadziesiąt milionów? „No na pewno! Przecież miałem dużo. Nie wiem, czy aż kilkadziesiąt. Może z dziesięć? I ja to wszystko rozdałem rodzinie, przyjaciółom i Kościołowi”. Szlachetna dusza.

Wałęsa odniósł się też do swoich relacji z dziećmi i czasu, gdy zajmował się ich wychowywaniem. „Tu mam największą porażkę. Ale dlaczego taka porażka? Dlatego, że ja ten najładniejszy i najważniejszy okres życia prywatnego właściwie straciłem. Bo te przesłuchania, te areszty, te zatrzymania. Działanie. To wszystko razem. Przecież cały ten okres z życia wycięto mi

z życiorysu” – odpowiada były prezydent. Wycięto wielu, całemu pokoleniu Solidarności. Także tym, których po 1989 r. próbowano wyrzucić na śmietnik.

PO wybrała nowe władze, centralne i lokalne. Przewodniczącym partii został Donald Tusk, który nie miał kontrkandydata. Marszałek Grodzki podsumował elekcję w taki oto sposób: „Gratuluje zwycięzcom i dziękuję wszystkim, którzy stanęli do walki o przyszłość Platformy Obywatelskiej, o przyszłość Polski. Mamy lidera, mamy drużynę. Przed nami najważniejsza bitwa. Razem pokonamy imperium zł”. Dziwne to imperium dobra, w którym lekarze biorą koperty z pieniędzmi za ratowanie ludzkiego życia.

Znana i ceniona aktorka Bożena Dykiel o pandemii: „Ja bym to określiła tak: ostatnie dwa lata to jest walka świata z ludźmi – z bogaczami, którzy chcą nami rządzić. Takie jest moje przeświadczenie, bo jeżeli nas się zastrasza i jeżeli ciągle nas się lockdownuje, prawda, i nie pozwala się spotykać... Grypa szalała przez tyle lat i mnóstwo ludzi umierało, nawet więcej niż w tej pandemii. A ta pandemia dla nas jest jakimś obozem”. Cóż, po pierwszej wojnie komuniści też przekonywali, że wybuchła ona z powodu zachłanności producentów broni. A to nie była prawda. Z marksizmem nie należy przesadzać.

Pod koniec rozmowy Dykiel pokazała „cudowne okulary”, które mają pomagać jej się uspokoić. „Moje drogie, bardzo mi pomaga coś takiego. To są okulary, gdzie naciska się tutaj taki mały guziczek. Pojawia się zielone światelko, a potem się naciska mocniej i pojawia się czerwone światelko z różną częstotliwością...”. Czy to było na poważnie, czy też był to żart? Pewności nie ma i może już nigdy nie będzie.

„Fakt” ogłosił: „Koszyk Kaczyńskiego przez 10 lat zdrożał o połowę”. Chodzi o zestaw zakupów, które prezes PiS zrobił w 2011 r. – jako lider opozycji (kupił wówczas jabłka, mąkę, pierś z kurczaka, ziemniaki, chleb, cukier i zapłacił 48 zł 50 gr). Reporterzy portalu wPolityce.pl poszli tym tropem i też zrobili takie zakupy. Wyniki znacząco inne: o ile „Fakt” wyliczył koszty na 75 zł 55 gr, o tyle portal wPolityce.pl wykazał zaledwie 35 zł 58 gr. Wszystko zależy od sklepu, ale skoro „Fakt” kupił jabłka po 8 zł za kilogram, to nie wykazał się dobrą wolą. W zwykłym supermarkecie są przecież po 3 zł. Co więcej, sam „Fakt” zauważył, że w 2011 r. za pensję minimalną można było kupić 28 takich koszyków, a dziś już 37.



A więc – udręki wy, moje, polityczne – stało się. Tak jak obiecałem, wygraliśmy wybory. Może jeszcze nie wszyscy, ale ja na pewno. Być może powinienem zaśpiewać: „Słuchaj mnie tam, pokonałem się sam...”, gdyż, jak wiecie, spełniłem obowiązki pełniącego obowiązki, zwyciężając w boju o fotel przewodniczącego – z nikim, ponieważ nikt się nie zgłosił. Wszyscy jednak wiemy, jak trudno jest pokonać samego siebie. Zwłaszcza tak wysokim stosunkiem. I to dokładnie w 16. rocznicę porażki Donalda Franciszka Tuska z Lechem Kaczyńskim w wyborach prezydenckich. Jak się okazuje, trzeba było na wybory zrezygnować nie tylko z drugiego nazwiska na karcie, o jakiejś większej liczbie kontrkandydatów nie mówiąc, lecz i z drugiego imienia jednego kandydata. Byłem gotów na to poświęcenie, bo zgadzam się z Małgosią Kidawą-Błońską, że „młodzi już nie pamiętają”, ale wiem też, że na samej młodzieży do władzy nie dojdziemy. A ponadto nie chciałem w kampanii wykorzystywać imienia obecnego papieża, gdyż na drugie mam akurat Franciszka. Nie mylić z Frankiem, zwłaszcza Sterczewskim, bo on jest od nas.

Zatem, wygrałem ja i wygraliście wy, bo wy to my, a my to ja. I może nawet dobrze się stało, że nie wygrała akurat rekomendowana przeze mnie na szefową regionu pomorskiego Agnieszka Pomaska. I że przegrał drugi i ostatni polecany przeze mnie kandydat Roman Szelemej na Dolnym Śląsku, którego popieraliśmy wspólnie z Grzegorzem Schetyną i Rafałem Trzaskowskim. Bo widzimy teraz, jak gruntowne musi być przewietrzenie naszych zasobów osobowych. Pokazała to również awantura w Oleśnicy, gdzie w trakcie wyborów jeden z naszych działaczy szarpał się z jednym z naszych kandydatów. Takie rzeczy nie mogą się dziać. Kopnąć pisowca, nogę mu podłożyć, świnię nawet, albo napluć do zupy, to jest inna sytuacja, bo wtedy walczymy ze złem. Ale dobro, żeby szarpało się z dobrem? Przypominam: jesteście wszyscy jedną rodziną, a rodziny się nie wybiera. Raz jeszcze dziękuję koledze Budce za dobrowolne ustąpienie z fotela przewodniczącego, koledze Trzaskowskiemu za uszanowanie woli zarządu, iż może się ze swoim programem wiecie co. Powtarzam: to jest młody, dobrze zapowiadający się polityk. Natomiast pamiętajmy, że jednak przegrał w wyborach, w których ja nie przegrałem. Wolę te z jednym nazwiskiem. Mniej jest pomyłek czy wątpliwości, kto na kim krzyżyk postawił.

Niestety, znalazły się osoby, które postanowiły swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem popsuć nasze święto demokracji. To się nie udało, ale mówię o tych nielicznych członkach i członkiniach naszej, niestety, formacji, które głosowały na kratkę z napisem „nie”. Jest to tym bardziej dziwne, iż obok nie było żadnego nazwiska, ponieważ moje, na wszelki wy-

Ave, Donald



KRZYSZTOF FEUSETTE

padek, znajdowało się wyłącznie obok kratki z napisem „tak”. To już trzeba było, jeden z drugim, w ogóle nie przychodzić. Właśnie w taki sposób, swoje nieme, a jednocześnie szczere i zdecydowane poparcie wyraziły w stosunku do mojej osoby aż dwie trzecie członków Platformy Obywatelskiej, którzy nie wzięli udziału w wyborach. Być może zadziałał tu efekt słów marszałka Grodzkiego o „zabójczych kopertach” przy 300 zakażeniach covidem dziennie. Przypomnę, że w dniu naszych wyborów było ich ponad 5 tys. Nie myślmymy o tym. Walczymy ze złem, nie z pandemią.

Tym, co mimo niewątpliwego sukcesu martwimnie szczególnie, pozostaje kwestia: czy i wy potraficie zwyciężyć? Tak jak ja – sami z sobą? Czy umiecie odrzucić własne przekonania i zastąpić je przeciwnymi, a potem wrócić do tamtych raz jeszcze? Odpowiedzcie sobie sami, pamiętając, jak opowiadałem, że Ewa Kopacz chciała wprowadzić 500+, choć wcześniej mówiłem, że nie ma i nie będzie na to pieniędzy. Jak całowałem chleb, kreśląc znak krzyża, choć wcześniej paradowałem z czerwoną błyskawicą Lempart, która pod kościołami krzyczała: „Wyp...alać!”. Jak mówiłem, że nie będę się angażować w wybory Platformy w regionach, a potem poparłem dwie osoby. O efektach wspomniałem.

Na szczęście to nie one składają się na tzw. efekt mojej osoby. Bo czy ktoś z was może się pochwalić podobnym wynikiem? Na razie tylko wśród działaczy partii, ale czy za rok, dwa nie mogą nas być miliony? Teraz, kiedy w teren mają ruszyć kolega Grabiec czy kolega Kierwiński? Gdy przekaz partyjny będę kontrolował osobiście? Oprócz, oczywiście, mojego konta na Twitterze, bo tam, jak wiecie, czasem mi odwala.

Tu nie chodzi o sukces osobisty, bo ja już nie takim, jak wy, marynarki zakładałem. Ale właśnie z tych doświadczeń wynika moje przeświadczenie, że musimy czekać. Walczyć i czekać. I wstrzelić się z przekazem w odpowiedni moment. Pod warunkiem że przekaz też będzie odpowiedni. Jak widzicie, mogą być trudności. Ale jeśli osiągniemy koincydencję czasową naszego przekazu oraz decyzji podejmowanych w Brukseli, będziemy mogli przedstawić się jako politycy światowi. A przynajmniej europejscy przez duże „Euro”. Kiedy zatem pojawiła się szansa na przykręcenie kurka z pieniędzmi dla Polski, optowałem za tym, bo tak trzeba robić, jeśli chce się należeć do forpocztę nowej, wspaniałej Republiki Federalnej Europy. Niestety to nie wypaliło, więc szybko musiałem udać, że lecę do Brukseli, by nam oddali to, o co sam przed chwilą błagałem, żeby zabrali. Szkoda, że nie widzieliście, jakie mieli miny. Ja, zresztą, też nie. Bo na razie to ja nie mam się tam po co pokazywać. Nie szkodzi, za to sobie wspólnie powalczymy w kraju. Gdyż, jak mówiłem: my to wy, a wy to ja. Ave, ja i ave, wy.

PO owocach ich poznacie

*Pójście na marsz nic kosztuje,
ale już podzielenie się władzą
z kobietami owszem*

Ciekawa sprawa z tymi kobietami i Platformą Obywatelską. Niby PO całym sercem kobiety wspiera, co politycy tej partii chętnie demonstrowali na tzw. Strajku Kobiet, niby pani Małgorzata Kidawa-Błońska twierdzi, że Donald Tusk obiecał parytety w zarządzie partii, ale gdy przychodzi do czynów, to już rzeczywistość zaczyna wyglądać zupełnie inaczej. Okazało się np., że po głośnych wyborach w Platformie we władzach regionów kobiet zabrakło. Więc wygląda na to, jak w większości spraw, że politycy tej partii deklarują jedno, a robią coś zupełnie innego.

Jednak jeden szybki rzut oka wstecz wystarczy, by zauważyć, że zasadniczo politycy Platformy nie grzeszą dobrymi manierami wobec kobiet. Spójrzmy na Radosława Sikorskiego, który kilka miesięcy temu w ramach solidarności z kobietami wywieszał na dachu dworku w Chobielu nie flagę narodową z umieszczoną pośrodku czarną błyskawicą, czyli symbolem tzw. Strajku Kobiet. Pan Sikorski solidarność i wsparcie okazuje oczywiście tylko konkretnemu typowi kobiet. Najchętniej tym, które popierają aborcję i walczą z rządem. Kobietom o poglądach przeciwnych szacunek pana Sikorskiego już się nie należy.

„Dyplomata” z Chobielina, który kilka dni temu utyskiwał w komercyjnej stacji, że „w Polsce codziennie gra się nienawiścią w celach politycznych”, tym samym zagrał w nocnej dyskusji z eurodeputowaną PiS Beatą Kempą. „Walnij się w zatłuszczony łeb” – napisał „gentleman” Sikorski w kierunku Kempy. Wcześniej eurodeputowana Kempa pochwaliła pomysł powieszenia polskiej flagi na siedzibie Generalnej Dyrekcji Lasów. „Lasy zawsze wierne Polsce – szczególnie teraz, gdy nasz kraj jest tak brutalnie atakowany” – napisała europosłanka. Sikorski zareagował wpisem: „Flaga ma przykryć to, że gówniarze z Solidarnej Polski doją Lasy Państwowe tak, jak Fundusz Sprawiedliwości”. Beata Kempa zareagowała: „Herr Lord. Na szczęście jest to wciąż flaga Polski! Gdybyście dalej rządili, nie byłoby jej na czym dzisiaj wieszać.



Nienawiść do polskich symboli to ciężka choroba”. Ta uwaga na tyle rozżalowała naszego dyplomata, że odprowadził „zatłuszczonym łbem”. A gdy dziennikarka Radia Zet Beata Lubecka próbowała przypomnieć byłemu szefowi dyplomacji nagrania z Amber Room, w których w rozmowie z Janem Kulczykiem mówił o zrzucaniu kobiet „z końca członka” oraz że „kobietę trzeba dowartościować i ją przep...lić”, wówczas pan Sikorski postraszył ją sądem.

A ileż to razy politycy Platformy Obywatelskiej w sposób brutalny i bezwzględny atakowali pierwszą damę Agatę Kornhauser-Dudę tylko z tego powodu, że jasno deklaruje, że politykiem jest jej mąż, a nie ona i w żadnej sprawie publicznie stanowiska zajmować nie zamierza. A jak bezlitośnie atakowano Beatę Szydło. Obrywali jej mąż, syn i ona sama. Gdy premier Szydło wystawiła na charytatywną aukcję broszkę, poseł Nitras nie odpuścił ani broszce, ani pani premier.

Ale i kobiety w PO nie mają życia usłanego różami. Niezbyt grzecznie potraktowano swego czasu marszałek Sejmu Małgorzatę Kidawę-Błońską, która o tym, że nie jest już kandydatką Platformy w wyszyciu o fotel prezydenta RP, dowiedziała się chyba ostatnia. Choć dziennikarze od wielu dni spekulowali, że PO wymieni kandydatkę, bo partyjni koledzy Małgorzaty Kidawy-Błońskiej wypuszczali takie przecieki do mediów, pani marszałek wciąż utrzymywała, że jest najlepszą możliwą kandydatką. A potem została całkiem sama na konferencji prasowej. Gdy do Polski wrócił Donald Tusk, ustąpić z fotela wiceprzewodniczącej PO musiała Ewa Kopacz. Tylko w ten sposób Donald Tusk mógł zostać pełniącym obowiązki szefem Platformy bez wyborów.

Cóż więc, że politycy PO wspierają używanie feminatywów i dużo mówią o prawach i pozycji kobiet, gdy robią coś zupełnie innego? Pójście na marsz nic kosztuje, ale już podzielenie się władzą owszem. Nim więc ktoś uwierzy w piękne słowa o równych prawach i równym traktowaniu (mam tu głównie na myśli panią marszałek Kidawę-Błońską), warto spojrzeć na czyny. Przecież „po owocach ich poznacie”.

Dorota Losiewicz

Erdoğan dyscyplinuje ambasadorów

Recyp Erdoğan oświadczył, że z zadowoleniem przyjmuje oświadczenie 10 ambasadorów państw zachodnich, w którym zapewnili oni władze tureckie, że w swojej misji będą się kierować zapisami art. 41 konwencji wiedeńskiej. Mówi ona m.in. o „niemieszaniu się w wewnętrzne sprawy przyjmującego państwa”. Oznacza to koniec kryzysu, który mógł doprowadzić do wydalenia z Turcji ambasadorów takich krajów jak Stany Zjednoczone, Niemcy, Dania, Norwegia, Francja, Holandia czy Szwecja. „Dzisiejsze oświadczenie ambasadorów oznacza wycofanie się z oszczerstw” – powiedział Erdoğan, dodając, iż „ma nadzieję, że w przyszłości będą działali oni z większą rozwagą”.

Wzburzenie Ankary wzbudził wspólny apel ambasadorów państw zachodnich, w którym wezwali oni władze Turcji do przestrzegania praw człowieka i wypuszczenia na wolność przetrzymawanego w więzieniu opozycyjnego aktywisty i obrońcy praw człowieka Osmana



Turcja

Kavali. Był on jednym z organizatorów antyrządowych protestów na placu Taksim w roku 2013, ale aresztowano go i postawiono mu zarzuty dopiero w roku 2017, już po nieudanym puczu zwolenników Fethullaha Gülena. Dwa lata później Kavala został uniewinniony przez sąd, ale z więzienia nie wyszedł, postawiono mu bowiem kolejne zarzuty, tym razem uczestnictwa w przygotowaniu puczu i szpiegostwa.

Kryzys w związku z listem ambasadorów do tureckich władz wybuchł po tym, jak na wiecu w jednym z prowincjonalnych miast Erdoğan uznał, że ich stanowisko jest niedopuszczalną ingerencją w wewnętrzne sprawy Turcji, co jego zdaniem, stanowi jawne przekroczenie

statusu dyplomatycznego. Turecki prezydent wydał polecenie, aby MSZ rozpoczęło procedurę uznania ambasadorów, którzy sygnowali apel, za persona non grata. W specjalnym oświadczeniu, które wydał w związku z tą sytuacją turecki resort spraw zagranicznych, znalazły się sformułowania mówiące o „niedopuszczalnej presji”, „próbie upolitycznienia postępowania niezależnego tureckiego sądownictwa”, a także zwrócono uwagę, że naciski ze strony ambasadorów są złamaniem „zasad demokracji i niezawisłości sądownictwa, których bronią ambasadorowie”.

Zdaniem przedstawicieli tureckiej opozycji Erdoğan wykorzystał list ambasadorów w kategoriach pretekstu, aby podkreślić swą niezależność, wykreować się na obrońcę tureckiej suwerenności i odwrócić niekorzystne trendy, jeśli chodzi o popularność jego formacji politycznej. Inni argumentują, że chodziło o odwrócenie uwagi od narastających problemów tureckiej gospodarki. Nie ulega jednak wątpliwości, że kolejny kryzys na linii Ankara–Zachód jeszcze bardziej skomplikuje trudne relacje obu stron.

Marek Budzisz

Po tym jak demokratyczny gubernator Kalifornii Gavin Newsom podpisał rozporządzenie nakazujące neutralne płciowo sekcje w sklepach zabawkowych, wielkie sieci handlowe dostosowują alejki do nowego prawa. Ma ono wejść w życie w 2024 r. Wcześniej genderowe wytyczne wprowadziło duńskie Lego.

Kalifornijskie prawo ma dotyczyć sklepów, w których zatrudnionych jest przynajmniej 500 pracowników. W każdym sklepie objętym nowymi przepisami musi powstać „neutralna płciowo” alejka z zabawkami. Klienci mają mieć, jak określono w ustawie, „rozsądny wybór” zabawek i artykułów dla dzieci, które nie będą zdefiniowane płciowo. Jak podkreśla ustawodawca, chodzi o to, aby „przeciwdziałać uprzedzeniom ze względu na płeć w produktach dla dzieci”. Niedostosowanie się do ustawy może kosztować 250 dol. za pierwsze naruszenie przepisów. Kolejne naruszenie to już 500 dol. kary.

Jedną z pomysłodawczyń ustawy jest Evan Low z Partii Demokratycznej, który napisał, że tradycyjny podział zabawek na kategorie płciowo powoduje „stereotypizację”. Zabawki techniczne są ustawiane automatycznie na dziale dla chłopców, a zabawki związane domem czy modą na półkach dla dziewcząt. „Segregacja zabawek według społecznego konstruktu tego, co jest odpowiednie dla której płci, jest

Chłopcy do lalek

sprzeczna ze współczesnym myśleniem” – uważa Low. Ustawie sprzeciwia się prawica. Senator stanowa Melissa Melendez z Partii Republikańskiej zaapelowała, aby prawo do decyzji, z jakich pólek dzieci dostają zabawki, mieli wyłącznie rodzice.

To kolejny w ostatnich tygodniach przykład wchodzenia polityki genderowej do świata dzieci. Lego ogłosiło niedawno, że zamierza usunąć ze swoich zabawek płciową kategoryzację. Duński gigant zabawkowy zlecił ankietę, w której wzięło udział 7 tys. rodziców i dzieci w wieku od 6 do 14 lat. 82 proc. dziewczynek miało stwierdzić, że akceptuje, by ich płeć grała w piłkę, a chłopcy tańczyli w balecie. Wśród chłopców ten wynik wynosił 71 proc. Badanie miało też pokazać strach chłopców przed tym, że zostaną wyśmiani, bawiąc się zabawkami uważanymi za dziewczęce. Madeline Di Nonno, dyrektorka Geena Davis Institute on Gender in Media, która wykonywała badania dla Lego, stwierdziła w rozmowie z lewicowym dziennikiem „The Guardian”, że „zachowania związane z mężczyznami są wyżej cenione społecznie. Dopóki społeczeństwa nie uznają zachowań i czynności zwyczajowo związanych z kobietami za tak samo cenne lub ważne, rodzice i dzieci będą im niechętni” – dodała. Korporacja Lego zamierza więc zachęcać dzieci do zabawy zestawami tradycyjnie postrzeganymi jako zestawy dla drugiej płci.

Lukasz Adamski



USA

**Niemcy**

Czas na marihuanę

Prowadzący rozmowy koalicyjne politycy SPD, FDP i Zielonych mają wiele spornych kwestii do rozwiązania. Jednak w jednej sprawie trzy partie są zgodne: należy zalegalizować albo przynajmniej zdepenalizować miękkie narkotyki.

Obecnie w Niemczech posiadanie, handel i produkcja marihuany są nielegalne. Wyjątek stanowi uprawa konopi medycznych w ściśle określonych ramach. Zieloni od lat walczą o zapisanie w prawie czegoś, co ich zdaniem i tak już dawno istnieje w praktyce. W wielu niemieckich landach rezygnuje się ze ścigania osób posiadających do 6 g marihuany. Górna granica bywa nawet wyższa, jak choćby w Berlinie, gdzie wynosi 15 g. Zdaniem szefowej partii Annaleny Baerbock (w młodości paliła skręty) legalizacja miękkich narkotyków zlikwidowałaby czarny rynek i przestępczość zorganizowaną, a podatki uzyskane ze sprzedaży marihuany można byłoby przeznaczyć na prewencję i leczenie osób uzależnionych. Także liberalowie uważają obecną politykę narkotykową za „nieudaną”. Ekspert klubu poselskiego FDP w Bundestagu Wieland Schinnenburg wylicza, że w Niemczech około 4 mln osób sięga regularnie po marihuanę, w którą zaopatrują się na czarnym rynku. Jest to jego zdaniem „niedopuszczalne”, bo taka marihuana może być zanieczyszczona, a budżet traci na nielegalnym handlu „mnóstwo pieniędzy”. Państwo w roli handlarza narkotyków mu nie przeszkadza, tak długo jak konsumenci są pełnoletni. SPD widzi to podobnie, choć podchodzi do tematu ostrożniej i w pierwszej kolejności chce uruchomić „projekty modelowe”, aby zobaczyć, czy kontrolowane wydawanie jointów zmniejszy przestępczość i pozwoli zaoszczędzić w wydatkach na organy ścigania.

Tymczasem żadne projekty modelowe nie są konieczne, aby się dowiedzieć, jakie skutki może pociągnąć za sobą legalizacja miękkich narkotyków. Wystarczy spojrzeć na doświadczenia Holandii, które niedawno opisał tygodnik „Der Spiegel”. Po kilkudziesięciu latach luznego podejścia do marihuany narkotykowe bandy urządzają tam strzelaniny, zabijając dziennikarzy, świadków koronnych oraz ich adwokatów. Do tego stopnia, że niektórzy holenderscy politycy określają swój kraj jako „Kolumbię Europy”.

W Niemczech nie brakuje więc sceptyków. Według przewodniczącego związku nauczycieli Heinza-Petera Meidingera legalizacja miękkich narkotyków zwiększy rynek dla twardych. Krytyczni są również funkcjonariusze policji. Przewodniczący Związku Zawodowego Policjantów (GdP) Oliver Malchow uważa, że zalegalizowanie marihuany nie zlikwiduje czarnego rynku, bo dealerzy będą nielegalnie sprzedawać marihuanę nieletnim.

Legalne konopie czy nie – przed takim pytaniem stoją dziś przyszli niemieccy koalicjanci. Nie jest to może najważniejszy problem, ale przy innych różnicach porozumienie w tej kwestii może się okazać dość istotne.

Aleksandra Rybińska

Zwycięstwo obrońców życia

Salwador

Kongres Salwadoru zdecydowaną większością głosów (73 do 11) przegłosował utrzymanie całkowitego zakazu aborcji w tym kraju. Obowiązujące obecnie prawo, uchwalone w roku 1988, nie dopuszcza żadnych wyjątków w tej sprawie. Od tamtego czasu próbowano je zmienić trzykrotnie, jednak za każdym razem bezskutecznie. Do ostatniej próby doszło 20 października – po tym jak miesiąc wcześniej kilka organizacji feministycznych zaapelowało do kongresmenów, aby przyjęli nową ustawę dopuszczającą legalność aborcji w trzech przypadkach: gwałtu, poważnych wad rozwojowych dziecka w wieku prenatalnym oraz zagrożenia zdrowia matki. Ich postulat został jednak odrzucony.

Decyzję parlamentarzystów poparł prezydent, 40-letni Nayib Bukele, który ogłosił, że nigdy nie podpisze się pod żadnym prawem zmniejszającym zakres ochrony życia nienarodzonych, dopuszczającym możliwość eutanazji oraz zmieniającym definicję małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety. Powyższa deklaracja padła w kontekście jubileuszu 200-lecia ogłoszenia niepodległości przez Salwador, co nastąpiło 15 września 1821 r. Korzystając z tej okazji, prezydent zapowiedział przeprowadzenie reformy konstytucyjnej oraz uchwalenie nowej ustawy zasadniczej, odpowiadającej wyzwaniom XXI w.

W związku z tym część mediów zaczęła podawać informację, jakoby chciał on do swojego pakietu zmian dołączyć także częściową legalizację aborcji. Bukele stanowczo jednak zaprzeczył temu, nazywając wspomniane doniesienia „rozpowszechnianiem plotek i brudną kampanią”. Dodał, że jego reforma ma gwarantować Salwadorczykom rzeczywiste prawa, w tym dostęp do podstawowych usług, m.in. do internetu, a także godziwe wynagrodzenia i emerytury.

Salwador nie jest wyjątkiem. Podobne prawo obowiązuje w innych krajach Ameryki Łacińskiej, m.in. Nikaragui, Gwatemali czy Hondurasie, gdzie w styczniu 2020 r. tamtejszy parlament uchwalił konstytucyjny zakaz aborcji. To sprawa, w której panuje tam szeroki konsens społeczny. ▀

Grzegorz Górny



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nie ma ceny za suwerenność



**Jan
Pietrzak**

W jakimś momencie antypolskiej kampanii Tusk, zachwycony swoim retorycznym sprytem, przewidywał, że rząd zderzy się ze ścianą. Minał tydzień i się okazało, że to Tusk zderzył się z rzeczywistością pt. Pomaska i Szelemej. A nasz premier Mateusz, syn Kornela, poradził sobie z brukselskimi gremiami i sprawy polskie idą w pomyślnym kierunku, wbrew oczekiwaniom byłego „króla Europy”.

Polską praworządność naprawia warsztat przy ul. Nowogrodzkiej, a mechanizm warunkowości w euromaszynierii idzie na szmelc. Fundusze nie zostaną „zamrożone”, jak marzył Trzaskowski z ferajną. „Wam kury szczać prowadzać, a nie politykę robić” – mówił o takich mądralach marszałek Piłsudski. Może warto przywołać jeszcze jedno zdanie tego samego autora. „Z traktatami jest tak jak z kwiatami i dziewictwem. To trwa tyle, ile trwa”. Lizboński traktat nie jest żadną świętością. Świętością natomiast jest polska suwerenność. Nie ma takich pieniędzy, dla których warto ją utracić.

Nasi notoryczni sąsiedzi mają bogate doświadczenie w okradaniu Polski. A odlegli sojusznicy również nie krępują się skazywać nas na nędzę. Jako uprzykrzony staruszek pozwolę sobie

ponownie przypomnieć w dużym skrócie, że po straszliwej wojnie Ameryka z Anglią dla Niemiec przewidziały plan Marshalla, aby odbudować im gospodarkę. Dla Polski przewidziały sowiecki gulag, rujnujący gospodarkę. Kiedy bunt Solidarności obalił Imperium Zła i powstała szansa na ekonomiczne odrodzenie kraju, Zachód poparł tzw. transformację pozwalającą okradać społeczeństwo, pod pretekstem „wolnego rynku” likwidując całe branże, wyprzedając i rozdając koleśiom wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Tak więc mamy marne doświadczenia nawet z aliantami, a co dopiero z wrogami!

Musimy mieć niepodległe państwo i silną armię! Tylko wtedy mamy szansę na rozwój, dobrobyt i radość z odzyskanej ojczyzny! Bo należy nam się po wielowiekowych zmaganiach trochę radości w polskim domu! A jeżeli w dowolnym czasie i miejscu chcemy urządzać Marsze Niepodległości, nikt nam tego nie ma prawa zakazywać! Tako rzecze Zaratustra!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Od Janki wara!

W idziałem kiedyś zeszyt ze szkolnych czasów mojej mamy. A w nim pięknie wykaligrafowane rozprawki i zadania. Piórem wiecznym rzecz jasna. Mnie w szkole też uczono ładnie pisać, ale efekt znacznie odbiegał od tego, co osiągnęła moja mama.

Najbardziej utkwił mi w pamięci jednak podpis właścicielki zeszytu na okładce. „Barbara Sasówna” (wtedy rodzina mamy przez jakiś czas pisała swoje nazwisko przez jedno „s”). To były czasy! Czasy, kiedy jeszcze pani premier nie nazywano premierką, pani minister ministą, a pani reżyser reżyserką, o takich kuriozach jak polityczka czy gościni nie wspominając. Były wprawdzie nauczycielki, lekarki i posłanki (wcześniej nazywane nawet poselkami), ale wszystkie te słowa rodziły się naturalnie, w miarę potrzeb, a nie w atmosferze terroru feministycznej poprawności.

Naturalne – bo zrodzone ze społecznej potrzeby – były też feminatywy rodzinne, pochodzące od nazwiska. Kto przeczytał „Barbara Sasówna”, wiedział od razu, że to córka Sasa (Leopolda w tym przypadku). Kto usłyszał o Janinie Sasowej, wiedział, że to z kolei żona Sasa (wspomnianego Leopolda). W ten sposób kawalerowie od razu wiedzieli, że do Basi mogą jeszcze smalić cholewki, ale od Janki im wara.



**Dominik
Zdort**

Cale to piękne językowe szaleństwo zanikało powoli samo, a formalnie dobiła je ustawa z lat 90. wprost zakazująca wpisywania do oficjalnych dokumentów nazwisk z żeńskimi końcówkami. Zwyczaj, który przetrwał komunę, zdechł w pierwszych latach kapitalizmu. Polskim kobietom pozostało zazdrościć Czeszkom i Słowaczkom, które – niezależnie już, czy jest to nazwisko po ojcu, czy po mężu – dodają zawsze kobiece końcówki. Navrátilová, Krejčíková, Cibulková... Choć i tam feministki rozpoczęły już walkę z tradycją.

Oczywiście i u nas niektórzy starają się wciąż używać żeńskich form nazwisk – szczególnie w sytuacjach, gdy powiązania rodzinne mają znaczenie. Ostatnio wyczytałem w jednej z książek fragment dotyczący Zofii Wajdowej (drugiej z czterech żon Andrzeja Wajdy). Cóż, pięknie, tylko niezgodnie z zasadami. Formy żeńskie od nazwisk kończących się na -a uzyskiwały końcówkę -ina, -yna, -anka, -ianka. A więc żona Wajdy to Wajdzina, a córka to Wajdzianka.

Kto o aktorze Hannie Skarżance powiedziałby Skarga? Kto profesor językoznawstwa Janinę Puzyninę nazwałby Puzyną? Ileż uroku i szlachetności straciłyby te nazwiska.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polacy, którzy nie chcą niepodległości



45 proc. ankietowanych uznało, że „polski rząd powinien sprzeciwić się UE, jeśli jest to w interesie Polski”. Środowiska patriotyczne postrzegały to jako sukces, chociaż i wśród nich pojawiły się głosy, że wynik nie powinien budzić entuzjazmu. W rzeczywistości powinien prowokować głęboki niepokój, a gdyby traktować go literalnie – wręcz przerażenie. Na szczęście żadne takie badanie nie oddaje trwałych nastawień społecznych, a umiejętność ich interpretacji jest sztuką. Dosłownie rozumiany sondaż oznaczałby, że 55 proc. Polaków nie tylko nie uznaje niepodległości za wartość, lecz nie dostrzega nawet czegoś takiego jak istnienie wspólnego interesu, a więc sensu funkcjonowania wspólnoty. 31 proc. naszych rodaków odpowiedziało, że „polski rząd zawsze i bez żadnych wyjątków powinien stosować się do wskazań UE”, a 24 proc. nie miało w tej kwestii zdania. Jedna trzecia z nas przyjmuje więc, że nie powinniśmy mieć rządu, a jedynie administrację podporządkowaną zewnętrznemu suwerenowi, a jednej czwartej to nie interesuje.

Przyparciu do muru rzecznicy pozbawienia niepodległości naszego kraju powoływaliby się pewnie na wizję UE jako ponadpaństwowej instytucji, która stanowi kolejny krok w rozwoju ludzkości, a w każdym razie naszego kontynentu. Nie należy nie doceniać kompleksów, które z historycznych względów głęboko wrosły w mentalność mieszkańców naszej części Europy i bezwzględnie eksploatowanych przez elity w kraju i za granicą. Czy jednak możemy wierzyć, że jedna trzecia Polaków uważa ojczyznę za rodzaj powiatu, który dla własnego dobra winien być absolutnie zarządzany przez europejską stolicę? Rzecznicy tego podejścia dużo przecież mówią o samorządności i delegowaniu władzy najniżej, jak się da, czyli o wyłącznie pomocniczym charakterze instancji centralnych. Domagają się oni przekazania samorządom tak daleko idących kompetencji, że zasadniczo przeczyłoby to pierwszemu artykulom naszej konstytucji, a zwłaszcza trzeciemu głoszącemu, że „Rzeczpospolita Polska jest krajem jednolitym”. No, ale dobrze wiemy, że konstytucja jest dobra, kiedy próbować można wykorzystywać ją przeciw rządowi PiS, a przestaje mieć znaczenie przy wszystkich innych okazjach. To powszechnie obowiązująca reguła. Ci sami, którzy wymyślają szczególną, odbiegającą

podobno od polskiej tożsamość Śląska i żądają jej poszanowania, są zachwyceni, gdy Bruksela usiłuje narzucić nam normy sprzeczne z naszą i nie tylko naszą tradycją. Czujemy w tym wyraźnie antypolski resentyment.

Wydaje się jednak, że ci, którzy domagają się rezygnacji z również własnej suwerenności, w głównej mierze odpowiadają na pytanie dotyczące bieżącej polityki. Aby odebrać znienawidzonemu PiS władzę, gotowi są ją zlikwidować, a więc unieważnić państwo polskie. Część z tych, którzy w sprawie nie mają zdania, całość życia publicznego w Polsce także postrzega w kategoriach plemiennej wojny i nie chce się w nią angażować. Pozostali to idioci – zgodnie z grecką etymologią tego słowa – którzy nie widzą końca własnego nosa.

Dominujące ośrodki III RP potrafiły u znacznej części Polaków wykształcić nienawiść do Kaczyńskiego i PiS stanowiącą odruch warunkowy, który nie liczy się z racjonalnością, a więc i interesem własnym. Inną sprawą jest fakt, że establishment wywołał go w imię swojej dobrze rozpoznanej korzyści. Jego przedstawiciele personalnie i środowiskowo ciągnąć mogą zyski ze statusu Polski jako oddanej im w zarząd kolonii. Nie znaczy to, że nie uwewnętrzniają propagowanych przez siebie fobii i nie dowartościowują profitów – naprawdę boją się PiS i wierzą, że będą najlepszymi pasterzami zagubionego polskiego stada.

Czy jednak należy uspokajać się tym, że Polacy gotowi są zrezygnować z niepodległości dlatego tylko, że wszystko widzą w kategoriach doraźnej walki politycznej i wytworzonego u nich impulsu nienawiści? Niezależnie od przyczyn postawa taka ma pustoszące konsekwencje. Jeśli pytani o suwerenność odpowiadają w imię partyjnego odruchu, oznacza to, że plemiennemu starciu podporządkowują wszystko, a więc i sprawy podstawowe: dobro, a nawet istnienie wspólnoty. Ta rozpada się rozrywana przez dynamikę wojny domowej. Zwłaszcza że podsycają ją zewnętrzne siły zainteresowane podporządkowaniem sobie w ten sposób naszej zbiorowości.

Cywilizacyjna wojna wpisana zostaje w ideologiczną rewolucję, która przetacza się nad Zachodem. Suwerenność i tożsamość Polski są dla niej przeszkodami, a więc możemy być pewni, że kampania w nie wymierzona będzie postępować.

Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Orsolyi Kovács

ambasador Węgier

Ponieważ mamy bardzo dobre i intensywne relacje polsko-węgierskie, dużo podróżuję między Budapesztem a Warszawą. Samą Polskę zjeżdżałam służbowo i z rodziną w szereg i wzdłuż – od Gdańska do Szczawnicy.



Byliśmy we Wrocławiu, Krakowie, Lublinie, teraz wybieramy się na Mazury. Często jeździmy turystycznie pociągami. Jeżeli chodzi o Węgry, to naszym ulubionym regionem jest północny brzeg Balatonu – miejscowości Badacsony i Tihany. Tam naprawdę jest wszystko i z rodziną można wspaniale spędzić czas. Świetne winnice, piękne zamki i uroczne, warte odwiedzenia miasteczka. Zapraszam!

LEKTURY

Książka dominikanina o. Józefa Pociłowskiego. Znam go od 20 lat.

Był wykładowcą na Katolickim Uniwersytecie Pétera Pázmánya w Budapeszcie. Mądry człowiek.

Bardzo wysoko cenię jego kazania. Druga pozycja jest autorstwa Sándora Máraiego,

którego dzienniki są bardzo popularne m.in. w Polsce. Książki tego autora powinny się znaleźć w bibliotece każdego, kto interesuje się Europą Środkową.



PERFUMY

Węgierskie perfumy ziemi Matyó (północno-wschodnie Węgry).

Matyó Pure to kompozycja zapachów tzw. białych kwiatów, które rosną na tamtejszych łąkach. Pomysłodawczyni tych perfum Katrics Krisztina, zapytana o zapach ziemi węgierskiej, odpowiedziała, że jest słodko-gorzki.



CZEKOLADKI

Jako matka relatywnie małych dzieci w walizce

mam zawsze coś, co jest potrzebne moim córkom. Do takich rzeczy należą słodkie Túró Rudi w opakowaniu w kropki. Są to typowe węgierskie czekoladki z cytrynowym twarożkiem.





TOKAJ

Bez tokaja nie ma węgierskiej walizki, dlatego wręczam go w prezencie gościom ambasady. Jako ciekawostkę dodam, że wina tokajskie były znane w całej Europie od XV w., a w Polsce nazywano je węgrzynami.

WINA WĘGERSKIE

To najbardziej rozpoznawalny w Polsce produkt ziemi węgierskiej, o wielowiekowej tradycji handlu między naszymi narodami. Ponieważ promocja mojego kraju leży mi na sercu, ambasada podjęła współpracę z Ágnes Herczeg, która ma pomysł na wzmacnianie przyjaźni polsko-węgierskiej w świecie wina. Polecam węgierski numer „Ferment”.



PAMIĄTKA

16 czerwca 1999 r., gdy byłam licealistką, przyjechałam do Starego Sącza, żeby wziąć udział w uroczystej mszy, podczas której Jan Paweł II kanonizował węgierską królową – św. Kingę.

To ona sprowadziła do Polski doświadczonych węgierskich górników, dzięki którym rozwinęło się wydobywanie soli.

LAWENDA

Jej zapach często się pojawia w moich kosmetykach. Pochodzi z półwyspu Tihany, pokrytego polami lawendy, jednego z najpiękniejszych miejsc nad Balatonem. Obowiązkowe miejsce do odwiedzenia.



SYROP

A jakże, lawendowy. Mąż mówi, że już przesadzam, gdy polewam nim ciasteczka.



PAPRYKA

Obowiązkowo dodaje ją do tradycyjnej zupy gulaszowej i do zupy rybnej. Jestem zwolenniczką średnio pikantnej, ale dla przeciętnego Polaka to i tak byłoby bardzo ostre.

APASZKA

Protokolarny prezent – apaszka ozdobiona oryginalnymi ludowymi motywami Örköség Alkotóműhely. Trzydniowy pokaz mody z tych motywów odbył się niedawno w ambasadzie Węgier.



RYŚUNKI CÓREK

Prace moich dzieci towarzyszą mi w służbowych wyjazdach.

Starsza córka Anna narysowała mnie z moim mężem, z kolei młodsza Réka przedstawiła Cudownego Jelenia, który według legendy sprowadził Węgrów do Doliny Karpackiej.



MUZYKA

„Báthory-Balassi-Bem-Balatonboglár” – świetna, energetyczna płyta z polsko-węgierskimi motywami muzyki ludowej zespołu Hungarian FolkEmbassy. Jej promocja odbyła się niedawno w Polskim Radiu.



MASKI

Część z nich jest z węgierskimi haftami typowymi dla regionu Eger. Dwie pozostałe są szczególnie bliskie

memu sercu, ponieważ otrzymałam je od Stowarzyszenia Niepełnosprawnych Dzieci „Krok za Krokiem” z Zamościa. Zainspirowane folkowymi wzorami, które noszę, same wyhaftowały dla mnie wzory na maseczkach. Dzieci pod opieką pani Marii Król są rehabilitowane węgierską metodą Pető.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Nazwa dla pierwszego abramsa



Profesorowie Kristina Sundquist i Ardavan Khoshnood z Uniwersytetu w Lund przeprowadzili naukowe badania wyroków za gwałty w Szwecji. Przystudiowali blisko 3 tys. wyroków skazujących za gwałty wydanych w latach 2000–2015. Okazało się, że większość skazanych sprawców to imigranci. Raport z badań trafił do rady odwoławczej do oceny etycznej, która podlega resortowi edukacji. Ta zakwestionowała m.in. to, czy badacze otrzymali „zezwolenie etyczne” na obchodzenie się z danymi wrażliwymi, takimi jak przestępczość i pochodzenie, w celu wyciągania wniosków na temat imigrantów i gwałtów. Sprawa trafiła do prokuratury. I tak to badacze, ogłaszając stan faktyczny, popełnili rzekome przestępstwo. Gratulujemy szwedzkiemu wymiarowi sprawiedliwości szybkości działania w tępieniu naukowej myślozbrodni.

WParlamencie Europejskim odbyła się debata na temat „raportu Maticia”, w którym m.in. przedstawia się aborcję jako prawo człowieka, postuluje się ograniczenie wolności sumienia oraz wprowadzenie zakazu krytyki ideologicznej koncepcji „praw seksualnych”. PE przyjął raport stosunkiem głosów 378 do 255, przy 42 wstrzymujących się. Rezolucja jak rezolucja. Nie ma mocy prawnej. Ale to, że aborcję przedstawia się oficjalnie jako prawo człowieka, jest co najmniej porażające.

Ruszył program szkolenia załóg abramsów. Zgodnie z informacjami przekazanymi przez MON polscy czołgiści trafili do Idaho w USA, gdzie zostaną przeszkoleni na amerykańskich czołgach. Po powrocie do kraju mają stanowić kadrę instruktorską dla pierwszych docelowych załóg tych maszyn. Pierwsze abramsy, zgodnie z zapowiedziami ministra Błaszczaka po spotkaniu z sekretarzem obrony USA Lloydem Austinem, mają zostać dostarczone do Polski już w przyszłym roku. Docelowo zakupimy 250 egzemplarzy amerykańskich maszyn w najnowszej wersji M1A2 SEPv3. Trafiają na uzbrojenie 18 Dywizji Zmechanizowanej, czyli czwartej, najnowszej dywizji wojsk lądowych. Zakupiona ich liczba pozwoli na pełne przebrojenie czterech obecnych batalionów czołgów (liczących 58 egzemplarzy każdy), które według docelowej struktury mają wchodzić w skład 1 Warszawskiej Brygady Pancernej i 19 Lubelskiej Brygady Zmechanizowanej. Tym samym ich obecne uzbrojenie, czyli czołgi podstawowe z rodziny Leopard 2 i T-72, będą mogły zostać przesunięte do innych pododdziałów pancernych. Zastanawiam się, jak zostanie nazwany pierwszy czołg, który trafi do Polski. Można by rozpisać konkurs. Ja bym proponował „Redhead”, czyli po naszymu „Rudy”. Tylko wtedy należałoby dla załogi dokupić psa.

Wzwiązku z wizytą prezydenta Andrzeja Dudy w Paryżu uwagę widzów

przykuli wartownicy prezentujący broń pałaszami i ubrani w granatowe mundury z czerwonymi wylogami, białe pasy oraz potężne rękawice zwane muskietkami, a także okazałe stalowe, błyszczące srebrnym niklem hełmy z przepiętym i zwisającym prawie do pasa końskim ogonem. To pułk kawalerii Francuskiej Gwardii Republikańskiej z siedzibą w Quartier des Célestins i koszarach Quartier Carnot. W jego skład wchodzi ok. 480 żandarmów (gwardia jest formacją podlegającą żandarmerii) i cywilów, z których nieco ponad 10 proc. to kobiety. Ma ok. 550 koni (11 proc. klaczy) i pozostaje ostatnim pułkiem konnym francuskich sił zbrojnych. Maści koni: w trzech szwadronach i orkiestrze – kasztany, siwki w pocztach sztandarowych i orkiestrze, dowódcy dowolnie – na ogół kare. Konni muzycy oprócz fanfar posiadają pluton rogów myśliwskich (Trompes de Chasse de la Garde). Swoje tradycje jeźdźcy w stalowych hełmach wywodzą od 1802 r., kiedy Napoleon Bonaparte (wówczas I Konsul) powołał do życia Gwardię Konsularną, którą przekształcił w 1805 r. w Cesarską. Jednostka ta wyróżniła się m.in. w Gdańsku, pod Pruską Iławą i Frydlandzie w 1807 r., Alcolea w 1808 r. czy Burgos w 1812 r. W 1978 r. straż przybrała obecną nazwę Gwardia Republikańska, a prezydent Valéry Giscard d'Estaing nadał jej nowe insygnia. Michèle Alliot-Marie, minister obrony, powiedział w 2002 r.: „Gwardia Republikańska cieszy się popularnością przekraczającą granice, przyczynia się do świetności francuskiej armii i Francji”. Ale i nasz prezydent nie musi się wstydić, w domu ma bowiem swój Szwadron Kawalerii Wojska Polskiego. Co prawda nie tak okazały, ale zawsze.

Andrzej Rafał Potocki

Potrzeba kontaktu z naturą

W 2020 r. zostaliśmy doświadczeni przez zjawisko pandemii i lockdown, które zmusiły wielu ludzi do radykalnej zmiany trybu życia. Spędzaliśmy w domach i w ich najbliższym otoczeniu znacznie więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej. Ograniczenia w przemieszczaniu się zostały zniesione, ale nasz tryb funkcjonowania w wielu przypadkach zmienił się trwale.

Jeden z serwisów internetowych poświęcony rynkowi nieruchomości we współpracy z naukowcami przygotował raport dotyczący czynników warunkujących poczucie dobrostanu respondentów w ich miejscu zamieszkania. W badaniu wzięło udział ok. 2 tys. osób w różnym wieku i o odmiennym statusie społecznym, które można uznać za grupę reprezentatywną dla naszego społeczeństwa. Z raportu wynika, że poczucie szczęścia w domu co do zasady nie może być postrzegane jednolicie, ale istnieją pewne jego składowe, które zwłaszcza po lockdownie i w utrzymującym się stanie pandemicznym przez większość pytanym są wskazywane jako szczególnie istotne. Okazuje się bowiem, że rozglądając się za nowym lokum, bierzemy pod uwagę przede wszystkim kolejno: bliskość terenów zielonych, bezpieczeństwo okolicy, posiadanie ogródka lub balkonu, jakość powietrza i bliskość miejsca pracy. Rola sąsiedztwa terenów zielonych w ostatnich miesiącach zyskała na znaczeniu według ponad połowy badanych, a znaczenie obecności roślin w mieszkaniu wzrosła zdaniem 41 proc. ankietowanych.

Wiele osób w związku z pandemią i zmianą formy wykonywania obowiązków zawodowych i szkolnych szczególnie ceni sobie dostęp do szybkiego łącza internetowego, ale ponad połowa pytanym wskazuje dostęp do ogrodu, balkonu lub tarasu jako czynniki odgrywające większą rolę niż przed falami zachorowań na COVID-19. Ponad połowa pytanym za ważne dla poczucia dobrostanu wymienia bliskość terenów rekreacyjnych oraz ścieżek rowerowych i pieszych. Duże znaczenie według ankietowanych ma widok z okna i natężenie hałasu dobiegającego zarówno z ulicy, jak i wynikającego z akustyki zamieszkiwanego budynku. Ten ostatni może być zmartwieniem zwłaszcza w nowym budownictwie, w którym nierzadko grubość i jakość ścian wewnętrznych sprawia, że integracja z sąsiadami bywa przymusowa nawet w najmniej pożądanym momencie.

Wyniki badania przeprowadzonego po wielomiesięcznym lockdownie uwypuklają potrzebę zaspokajania jednej z podstawowych potrzeb człowieka, którą stanowi kontakt z przyrodą. Odpowiedzi badanych potwierdzają słuszność opisaną wiele lat temu teorią amerykańskiego biologa Edwarda O. Wilsona związanej z pojęciem biofilii rozumianej jako zakodowane w człowieku dążenie do kontaktu z naturą i odczuwania harmonii z przyrodą. Postulat uwzględniania biofilii w przestrzeni miejskiej ma na celu kreowanie przestrzeni dającej poczucie szczęścia – stanowiącej zdrowe, zrównoważone i piękne środowisko, przyjazne zarówno człowiekowi, jak i pozostałym istotom.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Jednym ze współczesnych promotorów projektowania miast w harmonii z naszymi potrzebami jest popularny w ostatnich latach kanadyjski pisarz i urbanista Charles Montgomery. Zdaniem wspomnianego autora dla mieszkańców miast ważna jest niewielka odległość od domu bezpiecznych, zielonych przestrzeni, które można zagospodarować m.in. w miejscach aktualnie pełniących funkcję parkingów. Według Kanadyjczyka, „aby być szczęśliwym, musimy mieć możliwość spacerowania, tak jak ptaki potrzebują przestrzeni do latania”. Przykładem takiego zagospodarowania terenu jest Gdynia, w której jeden z nadmorskich placów uprzednio zajmowanych przez samochody został przekształcony w zazielenioną, letnią strefę kultury i kulinariów, a po sezonie stał się terenem służącym plenerowym wystawom. Nie wszystkie parkingi da się w ten sposób wyeliminować, ale np. w dzielnicach, gdzie można zapewnić lokalnym mieszkańcom miejsca dla ich pojazdów, a pozostali mogą do nich dojechać komunikacją miejską, na piechotę lub jednośladem, zapewne warto rozważyć, która z form zagospodarowania terenu w dłuższej perspektywie przyniesie więcej korzyści.

REKLAMA

"Księga" - ks. Łukasz Turek
i Paweł Kęska
sobota, godz. 20.10,
niedziela, godz. 9.10

"Ewangeliarz" - codziennie,
godz. 6.15, 12.02, 15.18 i 21.20

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

Po co są wybory?

Gorąca dyskusja, jaka się w Polsce od kilku miesięcy toczy wokół Polskiego Ładu i funduszy europejskich, ujawniła duże braki wiedzy wśród niektórych jej uczestników, a konkretnie w obszarze rozumienia współczesnej demokracji i jej mechanizmów. Głównym zarzutem wobec programu zmian podatkowych ze strony opozycji jest to, że Prawo i Sprawiedliwość swoimi zmianami gospodarczymi, społecznymi i ekonomicznymi chce „skorumpować” biedniejszych, czyli większość głosującego elektoratu. Ten z kolei, wdzięczny za te prezenty, obdarzy PiS kolejną kadencją rządów w Polsce.

Podobne „argumenty” pojawiły się przy głosowaniu Sejmu nad ratyfikacją funduszu odbudowy: zły rząd PiS weźmie „pieniąжки” z Unii Europejskiej, sfinansuje potrzeby wyborców, żeby ci utrzymali ich u władzy. Narracja ta funkcjonuje również na brukselskich salonach i dziś europejscy radykałowie od „zagłodzenia Polski” prześcigają się w napiętnowaniu naszego kraju, że jak jej damy worek z euro, to ta niedobra Polska dalej będzie robiła, co będzie chciała. Suwerenny kraj będzie robił, co chcą jego obywatele. To skandal, prawda?

Abstrahując od oceny działań PiS, programu tej partii i poziomu jego realizacji, to chyba zapomnieliśmy, że de-

mokracja polega na tym, że obywatele jakiegoś kraju otrzymują wybór, dokonują tego wyboru i w ich imieniu krajem rządzi to ugrupowanie, które otrzymało największe poparcie. Oczywiście bywa różnie i w polskiej historii funkcjonowały różne koalicje, ale od 2015 r. dwukrotnie ten sam komitet wyborczy uzyskiwał wynik, pozwalający mu rządzić. Dlaczego? Ponieważ większość obywateli uznała, że PiS reprezentuje ich interesy, że dzięki jego rządowi i pomysłowi na dystrybucję budżetu – im żyje się lepiej. To proste.

Korupcja jest zrobienie czegoś nielegalnie czy poza procedurami – za pieniądze. Kto i kiedy orzekł i na jakiej podstawie, że dystrybucja środków z budżetu za rządów PO-PSL była prawidłowa, a ta według PiS jest brudną polityczną grą? Jeśli poprawa losu większości wyborców nie powinna być podstawą demokracji, to co nią powinno być? Odgórny wybór narzuconych elit, które decydują za obywateli, kto powinien i jak rządzić ich krajem? To się nie nazywa demokracją, tylko oligarchia, a w przypadku narzuconych norm przez inne państwo: nieuprawniona ingerencja zewnętrzna.

Autor jest szefem portalu tvp.info



Samuel Pereira

Po jasnej stronie mocy

Z aktorem **Arkadiuszem Smoleńskim** rozmawia
Jolanta Gajda-Zadzworna

„M jak miłość” to wehikuł czasu. Jak długo pan nim „podróżuje”?

Arkadiusz Smoleński: Od czterech lat, ale pamiętajmy, że serial gości na ekranie od ponad dwóch dekad. Z tej perspektywy można powiedzieć, że wsiadłem do tego wehikułu dość późno. Mam nadzieję, że nie za późno. Bo to produkcja z renomą, na dodatek najpopularniejsza w Polsce. Ma widownię, która nie maleje. Wręcz przeciwnie. I, jeśli chodzi o moje odczucia, nadchodzący sezon, będzie najmocniejszy od czasu, kiedy dołączyłem do ekipy „M jak miłość”. Dużo się też dzieje u mojego bohatera Bartka oraz Uli.

Wejście do zespołu „MjM” pewnie bardzo podnosi pana rozpoznawalność?

To serial, który daje popularność za uważalną nawet po emisji pierwszego odcinka z moim udziałem.

Z jakim „biletem” wsiadł pan do „MjM”? Kim był i kim jest teraz serialowy Bartek?

Moja rola zaczynała się niestandardowo i mocno, bo od porwania dziecka bohaterowi, którego gra najbardziej lubiany aktor w Polsce Mikołaj Roznerski. Było więc dosyć wybuchowo. Potem Bartek rozbił związek jednej z najpopularniejszych serialowych par, czyli Uli i Janka. Później, powoli, przechodząc na jasną stronę mocy, próbowałem publiczność przekonać do swojej postaci. To bardzo fajnie rozpisana rola. Miałem, co grać przez te sezony. Bohater z „przełamaniem”, z perspektywą zmiany, daje wiele aktorskich możliwości, ale najważniejsza jest ekipa, z jaką się pracuje, a ta od 20 lat sprawia, że „MjM” pozostaje numerem jeden.





tyle chce zapłacić rząd, nie respektując absurdalnych wyroków TSUE dla Polski.



250 000

tyle żołnierzy ma docelowo liczyć polska armia po wprowadzeniu Ustawy o obronie ojczyzny.



31 299

tyle złotych kosztuje najdroższa wersja najnowszego modelu MacBook PRO firmy Apple.



Państwo, które leży na granicy NATO, także UE, musi mieć poważną siłę odstraszającą, a w razie potrzeby, [...] musi mieć też możliwość skutecznej obrony.

Jarosław Kaczyński na temat Ustawy o obronie ojczyzny

Kara jest bezprzedmiotowa, albowiem zawiesilem w zeszłym tygodniu prace tego trybunału niesprawiedliwości.

Piotr Duda, szef Solidarności, o swoim stosunku do TSUE w sprawie Turowa



Francja umiera. Nie, Francja jest już martwa. Nasze elity polityczne, gospodarcze, administracyjne, medialne, intelektualne oraz artystyczne pluja na jej grób i depczą jej płonące zwłoki.

Éric Zemmour w książce „Francuskie samobójstwo”

zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLICKI, PIOTR CWINYŃSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CECYLIJA KOWALSKA, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIA: ANNA LABECKA, ANIA LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; PNUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PREENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PREENUMERATY

PREENUMERATA REALIZOWANA PRZES RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PREENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PREENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOJ, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDSSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PNUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOŹNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZES WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

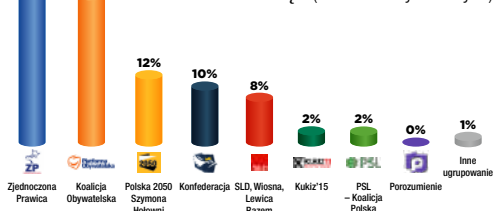


FOT. NA OKŁADCE: JACEK DOMINSKI/REPORTER, PIOTR MOLEK/REPORTER, STANISŁAW
KOWALCZAK/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, MIŁOJĄD POPIWATSKI/WARSZAWSKIEGO,
SHUTTERSTOCK/FLAG 3D ART, Z. OLGATJES, S.F. AFANASIEVA, FOTOKON, LUKASZ SMOKOWSKI

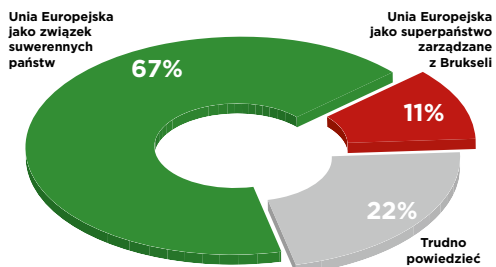


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

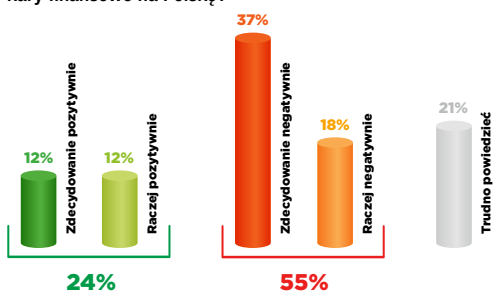
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



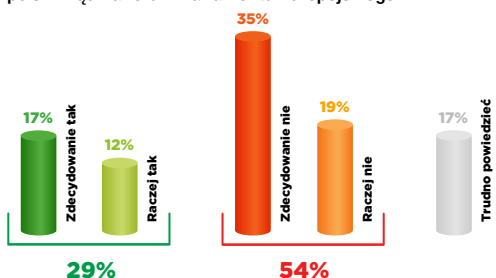
Jaki model Unii Europejskiej Pani/Pan bardziej popiera?



Jak Pani/Pan ocenia zachowanie części polskiej opozycji, która domaga się, żeby Unia Europejska nałożyła kary finansowe na Polskę?



Czy według Pani/Pana opozycja powinna atakować polski rząd na forum Parlamentu Europejskiego?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1067.

Zakres czasowy badania 22–25 października 2021 r.

Unijna rozgrywka o „kwestię polską”

W ciągu ostatnich dni mogliśmy zaobserwować ciekawą różnicę w podejściu głównych unijnych instytucji do sporu z Polską.

Niewątpliwie najbardziej przewidywalny jest Parlament Europejski, w którym centrolewicowa większość zafiksowała się nie od dziś na pragnieniu dopadnięcia i ukarania państwa polskiego. A jeśliby porównać natężenie namietności europosłów obecnie i przed pięcioma laty, kiedy „kwestia polska” po raz pierwszy stała na agendzie europarlamentu – to dopiero widać skalę wzrostu rozdrażnienia i szwabskiej pasji, jaka ogarnia to gremium, ilekroć mowa jest o naszym kraju. Ideologiczna wrogość wobec rządzącej w Polsce prawicy legła niegdyś u źródeł owej pasji. Jednak ta wrogość nie tłumaczy w pełni obecnej furii i gniewu dopadających europosłów, przynajmniej tych, którzy w polską kampanię angażują się z poświęceniem od jej samego początku.

FURIA I FRUSTRACJA EUROPARLAMENTU

Po pięciu latach tej kampanii europarlament musi mieć dojmujące poczucie politycznej niemożności w „kwestii polskiej”. Dziesiątki debat, rezolucji, żądań, napomnień i gróźb, kierowanych zarówno w stronę rządu polskiego, jak i Komisji Europejskiej oraz przywódców państw nie wywoływały realnego efektu. W ciągu tego długiego czasu nie udało się doprowadzić do zmiany władzy w Polsce ani nawet nie udało się pozbawić jej poparcia społecznego w kraju. Nie udało się nakłonić Rady Europejskiej, aby użyła swego prawa do napiętnowania Polski za „stałe i poważne naruszenie warto-



JAN ROKITA

Komisja Europejska pod wodzą Ursuli von der Leyen uprawia w „kwestii polskiej” taktykę lawirowania pomiędzy gniewem i furią eurodeputowanych a sceptycznymi obiekcjami przywódców państw unijnych

ści” (jak głosi traktat). I ciągle nie udało się obłożyć Polski tymi sankcjami, które miały nas „finansowo zagłodzić”, pod żadnym z kilku możliwych i wypróbowywanych w praktyce tytułów prawnych. To tylko z perspektywy polskiej może się wydawać, że Warszawa nieustannie znajduje się pod straszną presją albo nawet „ma pistolet przy-

łożony do głowy” (jak mówi ostatnio Morawiecki). Trzeba na moment być zdolnym do empatii wobec europosła Verhofstadta albo europosłanki Barley, aby pojąć, jak bardzo ich obecna furia i gniew mają korzenie w poczuciu przewlekłej bezsilności.

W ich oczach Warszawa prowadzi w Unii „mroczną grę” (wedle określenia Verhofstadta), która na dodatek przynosi polskim władzom sukcesy. A europarlament ma wcale niebłahę polityczne powody, aby coraz bardziej agresywnie i nerwowo reagować na taki stan rzeczy. Najpierw dlatego, że Polska stała się dlań poletkiem doświadczalnym, dowodzącym, iż nawet głęboka i pełna pasji solidarność większości europejskich partii z opozycją w jednym z krajów członkowskich nie jest wystarczającym narzędziem do ułatwienia odsunięcia znienawidzonego rządu i przejęcia władzy. A to jest świadectwo politycznej słabości europarlamentu w hierarchii unijnej władzy.

Europosłowie doskonale przecież mają w pamięci nie tak dawne zdarzenia, zaledwie sprzed dekady, kiedy Komisja Europejska, na życzenie Berlina i Paryża, zdmuchiwała w ciągu kilku dni rządy Grecji i Włoch, z łatwością doprowadzając tam do nominacji unijnych funkcjonariuszy na nowych premierów. To zatem, co było możliwe, gdy stanowczo chciały tego rządy dwóch najsilniejszych państw unijnych, teraz okazuje się niewykonalne, gdy przez tyle lat nalega na to demokratycznie wybrany europarlament. Posłowie są więc przekonani, iż dają temu zresztą publicznie wyraz, iż Komisja tylko udaje, że chce polskiej opozycji otworzyć drogę do władzy, Berlin i Paryż są zaś niemal całkowicie obojętne wobec zdeterminowanej akcji europarlamentu.



Nic dziwnego zatem, że przewodniczący europarlamentu, włoski socjalista David Sassoli, skarży formalnie Komisję Europejską pod wodzą von der Leyen o... celową beczynność w „kwestii polskiej”, co zdaniem większości deputowanych jest przejawem oportunistycznego KE, będącego faktycznym współuczestnictwem w rujnowa-

niu „unijnych wartości”. Paradoxy sytuacji polega na tym, że luksemburski Trybunał Sprawiedliwości UE ma teraz do rozpatrzenia jednocześnie dwa akty oskarżenia w zasadzie o tę samą rzecz. Jeden wniosła w kwietniu Komisja Europejska przeciw Polsce, a drugi – europarlament wnosi właśnie teraz przeciw KE. Gdy zaś idzie o rządy, to tłumioną

furię w europarlamencie musiała wzbudzić uwaga rzucona publicznie przez Merkel w Brukseli (podczas spotkania pożegnalnego z premierem Belgii), że: „Unijni partnerzy Polski powinni odejść od konfrontacji, a zamiast tego rozmawiać z rządem w Warszawie, aby znaleźć rozwiązanie trudności we wzajemnych stosunkach”. Furię tłumioną,

gdyż mimo wszystko, choć Merkel wystąpiła tu w roli otwartego krytyka taktyki politycznej europarlamentu, to publiczne wylewanie złości na odchodzącą w aurze szacunku niemiecką kanclerz klóciłoby się z polityczną poprawnością.

Co więcej, europosłom wyraźny zawód sprawia także ostatnio Macron, o którym było wiadomo, iż nie tylko prawicowego rządu w Warszawie nie lubi, ale że wielokrotnie nie miał zahamowań, aby deprecjonować generalnie rolę Polski w Europie. Jednak teraz, w obliczu kwietniowych wyborów prezydenckich, gdy francuska opinia publiczna jest bodaj najbardziej eurosceptyczna w całej Unii, wszyscy kontrkandydaci Macrona zaś przyjaźnie wypowiedzieli się co do istoty wyroku polskiego Trybunału Konstytucyjnego, przecieki z Paryża coraz częściej wskazują, iż nawet tamtejsze władze straciły entuzjazm dla projektu nakładania sankcji na Warszawę. To wszystko sprawia, że „kwestia polska” stała się (poza wszystkim innym) także pretekstem dla rozgrywki o władzę i porządek dziobania wewnątrz Unii.

A trzeba pamiętać, że co najmniej od czasu wejścia w życie traktatu lizbońskiego w roku 2009 Parlament Europejski na różne sposoby i przy wielu okazjach próbuje w trybie precedensów poszerzyć swój wpływ na unijną politykę, co widać choćby przy awanturach o obsadę unijnych urzędów, batalii o narzucenie Europie progresywnej ideologii, konflikcie pomiędzy ideą „dużego” i „małego” budżetu unijnego czy sporach o europejską politykę wschodnią. Deputowani mają przy tym co najmniej jeden silny argument ustrojowy po swojej stronie. W końcu europarlament jest jedyną władzą unijną pochodzącą z bezpośrednich demokratycznych wyborów, a ciągle jego ustrojowa supremacja, która powinna wynikać z logiki demokratycznej, w realiach Unii pozostaje iluzją. „Kwestia polska” miała dowieść, że jednak iluzją nadal nie będzie, ale tymczasem dowiodła (jak dotąd)... czegoś dokładnie odwrotnego. Łatwo

zrozumieć furję i gniew eurodeputowanych, którzy muszą mieć poczucie ignorowania ich politycznej roli nie tylko przez przywódców państw, ale nawet przez KE, przynajmniej w teorii zależną od europarlamentu.

KOMISJA EUROPEJSKA, CZYLI ZA, A NAWET PRZECIW

Tymczasem Komisja Europejska pod wodzą von der Leyen uprawia taktykę lawirowania pomiędzy gniewem i furją deputowanych a sceptycznymi obiekcjami przywódców państw. Gdy

Europarlament musi mieć dojmujące poczucie politycznej niemożności w „kwestii polskiej”. Pięć lat kampanii, dziesiątki debat, rezolucji, żądań, napomnień, gróźb i nie udało się doprowadzić do zmiany władzy w Polsce

przychodzi do politycznej retoryki, zwłaszcza na forum europarlamentu, to (tak jak ostatnio na sesji w Strasburgu) von der Leyen podejmuje licytację z posłami o to, kto okaże się werbalnie bardziej stanowczy wobec Warszawy. Dlatego właśnie strasburska odpowiedź szefowej Komisji na ostrą w tonie mowę Morawieckiego robiła wrażenie „rozmowy ze ścianą”. Von der Leyen w ogóle nie reagowała na argumentację polskiego premiera, ale „gadała swoje”, czyli to, co chcieli usłyszeć i tak wściekli na nią deputowani. „Niech pan wykonuje zalecenia przekazane Polsce” – pokrzykiwała na Morawieckiego, zaraz potem grożąc trzema karnymi procedurami: przed Radą Europejską, przed Trybunałem Sprawiedliwości UE oraz przed samą Komisją Europejską (czyli blokadą funduszy w imię tzw. warunkowości budżetu).

Tyle tylko, że wszyscy dobrze wiedzą, iż po pierwsze – nic nie wskazuje, aby Rada (czyli rządy państw unijnych) zamierzała kontynuować rozpatrywanie oskarżenia przeciw Polsce, wniesionego jeszcze przez poprzednią Komisję pod wodzą Junckera. Po drugie – że luksemburscy sędziowie zastosowali już wszystkie możliwe środki przeciw Polsce, a zostało im jeszcze tylko rozpatrzenie polsko-węgierskiej skargi na „warunkowość budżetu”, którą zapewne odrzuca, być może z jakimiś zastrzeżeniami co do treści owych „warunków”, jakie mogą być stawiane krajom członkowskim. A zatem, że po trzecie – wszystkie realne narzędzia sankcji przeciw Polsce trzyma dziś właśnie Komisja, która może (praktycznie bezkarnie) blokować wypłatę pieniędzy z funduszu odbudowy pod byle jakim formalnym pretekstem albo nawet pójść na ową „trzecią wojnę światową”, czyli w imię „warunkowości budżetu” zacząć na serio „głodzić” Polskę, blokując całość środków na politykę spójności i politykę rolną. Ale po brukselskim szczycie, który odbył się 21–22 października, wszystko wskazuje na to, iż takich kroków Komisji nie życzą sobie ani Merkel, ani Macron. Mało prawdopodobne, aby taką chęć miał okazać

przyszły kanclerz Scholz, który teraz jest nawoływany przez nieprzyjawną rządowi polskiemu niemiecką prasę, aby w swą pierwszą podróż wybrał się nie do Paryża, lecz do Warszawy, by w ten sposób, w dzisiejszych kryzysowych warunkach, „zasygnalizować niemiecką odpowiedzialność za Europę Wschodnią” (cytat z monachijskiej „Süddeutsche Zeitung”). Krótko mówiąc, gdzieś jak gdzieś, ale w niemieckiej elicie panuje niepokój co do zaostrzania się polskiego kryzysu.

Ostra mowa strasburska Morawieckiego i jeszcze ostrzejszy jego wywiad dla „Financial Timesa” dodatkowo komplikuje sytuację von der Leyen. Morawiecki jasno mówi, że w razie sankcji „będzie bronić Polski wszelkimi dostępnymi metodami”, a ta zapowiedź natychmiast ewokowała w Europie dywagacje nad hipotezą polskiego weta

przy uchwalaniu nowego pakietu klimatycznego, co Komisję, dla której jest to niemal kwestia życia i śmierci, wprowadziłoby w nie lada tarapaty. Co prawda wygląda na to, że w europejskich kancelariach nie dowierza się, iż to Warszawa mogłaby się zdecydować na taką „trzecią wojnę światową” (ten cytat z wywiadu Morawieckiego zrobił w Europie prawdziwą karierę), jednak po prawdziwym krótkim spięciu w Strasburgu i wywiadzie w „FT” nie jest to już wcale aż tak oczywiste.

„MECHANIZM WARUNKOWOŚCI BUDŻETU”

Dodatkowego kłopotu narobił jeszcze szefowej Komisji Tusk, który najpierw przypętał się do Brukseli, ale co gorsza – po powrocie do Polski oznajmił, niejako „za Komisję” i „w jej imieniu”, że ta nigdy na serio nie rozważała ani prawdziwej blokady budżetu dla Polski, ani sankcji finansowych. Tusk w istocie zadenuncjował von der Leyen przed wszystkimi jej wrogami z Parlamentu Europejskiego (i nie tylko), umacniając przekonanie, iż zawsze prowadziła ona tylko pozorowaną grę przeciw Polsce, a w istocie chodzi o pasku dyrektyw, które odbiera ciągle jeszcze od swej patronki i przyjaciółki Angeli Merkel. Paradoksalnie ta „denuncjacja” Tuska może zmusić von der Leyen do pokazania, iż tak w istocie nie jest. Trudno powiedzieć, czy Tusk dość niepoważnie próbował dowieść, iż nadal gra jakąś rolę w decyzjach dotyczących „kwestii polskiej” w Brukseli, czy też bardzo przemysłnie skalkulował, że swoją denuncjacją może zwiększyć szanse na jakieś kolejne kroki Brukseli przeciw Polsce. Jedno jest pewne, że wtrącając się w taki sposób w cały konflikt, z pewnością nie ułatwił kompromisu pomiędzy Morawieckim i von der Leyen.

Pomocą dla von der Leyen, w trudnej pozycji między Scyllą rozzłoszczonych europosłów i Charybdą ostrożnych przywódców państw, stało się nałożenie w ubiegłą środę przez luksemburskich sędziów kary na Polskę z powodu dalszego działania Izby Dyscyplinarnej, na przekór lipcowemu „zarządzeniu

tymczasowemu” sławetnej sędzi La-puerty. Stało się to na wniosek Komisji, a zatem trudniej teraz oskarżać von der Leyen o celową beczynność. Ten krok był już od dawna wkalkulowany w taktykę postępowania rządu polskiego i nie jest jakoś szczególnie dokuczliwy dla Warszawy, zważywszy wielokrotnie powtarzane deklaracje o rychłej, zamierzonej przez PiS likwidacji tej izby. PiS nie chce tylko tego robić nagle i „na rozkaz”, ale w ramach szerszej kolejnej reformy, już kilka razy zapowiadanej przez Kaczyńskiego.

Sama konstrukcja tego rodzaju kar nakładanych na państwa jest prawniczą zagadką, jako że luksemburski Trybunał broni dziwnej teorii o otwartym charakterze tego swojego uprawnienia, tzn. braku potrzeby jego umocowania w traktatach. Ale tak czy owak to spodziewane posunięcie Trybunału nie zrobiło większego wrażenia na wła-

Trzeba przyznać, że w całym sporze Polski z Brukselą Orbán zachowuje się powyżej standardów, jakie można by uznać za normalne, nawet między zaprzyjaźnionymi krajami

dzach w Warszawie, o czym może najlepiej świadczy reakcja zausznika szefa PiS – Terleckiego. „O matko! Strasznie jakoś panikujecie” – rzucił on do zasympujących go pytaniami dziennikarzy. W Brukseli są świadomi takiego podejścia rządu polskiego.

Dużo poważniejszym problemem jest cały czas „mechanizm warunkowości budżetu”, na który zresztą, co do zasady, zgodził się swego czasu Morawiecki. Zapewne jest tylko kwestią czasu, kiedy ów „mechanizm” wejdzie w życie, najpóźniej po legalizującym go orzeczeniu luksemburskich sędziów. Presja europosłów, aby nie pozostał on tylko na

papierze, będzie ogromna, bo liderzy Parlamentu Europejskiego traktują to rozwiązanie jako swoje największe polityczne osiągnięcie w walce nie tylko o narzucenie Europie wspólnej, obowiązującej ideologii, ale także o własną pozycję polityczną w procesie decyzyjnym wewnątrz instytucji unijnych. Gdyby istotnie było tak, jak mówi Tusk – tzn. że Komisja tylko udaje, że chce ów „mechanizm” zastosować wobec Polski (a to nie jest całkiem pewne, ale dość prawdopodobne), to problemem dla Morawieckiego może się stać inny scenariusz, oczywiście lepszy dla Polski, ale kłopotliwy dla naszych relacji z Węgrami.

Trzeba przyznać, że w całym sporze Polski z Brukselą Orbán zachowuje się powyżej standardów, jakie można by uznać za normalne, nawet między zaprzyjaźnionymi krajami. Po prostu opowiada się ostatnio za interesami

Polski w każdych okolicznościach, i to bez względu na wynikające stąd dla Węgier ryzyko. Jest całkiem możliwe, że von der Leyen zechce przekierować ostrze „warunkowości” z Warszawy na Budapeszt, tym bardziej że w Brukseli ciągle się podkreśla, iż w przeciwieństwie do Polski Węgry mają na sumieniu przypadki korupcji co do funduszy europejskich. Takie przekierowanie ostrza miałoby z perspektywy politycznych wrogów Orbána bardzo pragmatyczny sens. W kwietniu na Węgrzech są wybory, które Orbán może przegrać, bo idzie na razie z centrolewicową opozycją łeb w łeb. Przy takiej relacji unijne pieniądze mogłyby się stać czynnikiem rozstrzygającym o wyniku wyborów, a wtedy, jeśli by Orbán został pokonany, cała europejska centrolewica miałaby w końcu jakieś poczucie sukcesu i realnego wpływu na politykę w naszym regionie.

W razie takiego scenariusza wcale nie będzie oczywiste, czy należy jak najszybciej dążyć do rozejmu w polskich relacjach z Komisją, nie licząc oczywiście na ocieplenie z europarlamentem, które w tym rozgorączkowanym gronie nie jest możliwe. Czy też kontynuować batalię, tym razem w obronie funduszy należnych Węgrom.

Jesteśmy tym Dawidem, którego Goliat powinien się wysstrzegać

*Przemówienie premiera Viktora Orbána
wygłoszone 23 października 2021 r.
w Budapeszcie z okazji 65. rocznicy
powstania węgierskiego 1956 r.*

Witajcie, Węgrzy! Dzień dobry, Polacy! Dzień dobry, Włosi!

Serdecznie witam narody wolności w stolicy naszego kraju! Dawno się nie widzieliśmy... A dziś po południu mamy wiele do omówienia. Ale przede wszystkim wspominajmy. Uczcijmy pamięć wydarzeń sprzed 65 lat oraz pamiętajmy o tym, co się działo po południu przed 15 laty. To nie jest zwyczajne miejsce. 15 lat temu, w tym samym czasie, tutaj, na rogu alei Andrászyego i ulicy Bajcsy-Zsilinszkyego, przeszłość i teraźniejszość mierzyły się wzrokiem, stając twarzą w twarz. 15 lat temu młodzi komuniści dzień 23 października zamienili w 4 listopada [dzień inwazji sowieckiej w 1956 r. – przyp. red.]. Po jednej stronie były granaty z gazem łzawiącym, gumowe kule, pałki teleskopowe, mundury bez identyfikatorów i armatki wodne. Po drugiej stronie stał oszukany i upokorzony naród, który po 50 latach znów usłyszał [od ówczesnego premiera Ferencza Gyurcsány’a], że go okłamywano rano, wieczorem i w nocy. Po jednej stronie była władza wyłudzona oszustwami i sztuczkami, zaciekle broniona zębami i pazurami, a po drugiej, za wielkim transparentem z napisem „Wolność”, ustawili się murem zdesperowani ludzie.

Są takie chwile w życiu każdego narodu, w których nagle wszyscy czują, że przepeliła się czarna goryczy, że sprawy nie mogą dalej iść tym samym torem. Wtedy trzeba podjąć decyzję, a nasze decyzje pokazują, kim naprawdę jesteśmy. Wtedy cały naród ujawnia, ile jest wart. Milczy lub protestuje, rezygnuje lub się buntuje, odwraca wzrok lub stawia czoła, ucieka z podkulonym ogonem lub podejmuje walkę. Nie możesz się ukryć, kiedy bezkompromisowo wychodzi na jaw prawda wyższego rzędu i prowokuje konfrontację: musisz stanąć po jednej lub po drugiej stronie. W gnieniu oka staje się jasne, kto jest dobry, a kto zły, kto stoi po dobrej, a kto po złej stronie historii. My, Węgrzy, podjęliśmy dobrą decyzję. Protestowaliśmy, stawiliśmy czoła, buntowaliśmy się i walczyliśmy. Wolność wobec zniewolenia, niepod-

ległość przeciwko okupacji, patriotycyzm przeciwko komunizmowi. Pamiętamy ten cudowny dzień, kiedy my, Węgrzy, pokazaliśmy sobie, światu i naszym wrogom, kim naprawdę jesteśmy. Pamiętamy dzień, w którym nie pytaliśmy się o to, czy Bóg jest z nami, ale czy my jesteśmy z Bogiem! Wstąpiła w nas ogromna siła i zadrały filary komunistycznych rządów. Pamiętamy te chwile, które na zawsze zapisały się w pamięci wolnych narodów świata. Naród węgierski w gnieniu oka odnalazł swoją tożsamość, a imię Węgrów znów odżyło, chwały swojej godne

Obecnie Bruksela mówi do nas i do Polaków tak, jak do wrogów i tak samo nas traktuje. Mamy poczucie déjà vu, a powietrze nad Europą przenika duch doktryny Breżniewa. Nadszedł czas, by w Brukseli też zrozumiano, że z nami nie wygrali nawet komuniści

wiecznej. Pamiętamy te chwile, w których kardynał i tokarz, akademicy i chłopaki z Pesztu, partyzant, który został ministrem obrony, i arcyksiążę pragnęli tego samego. Pamiętamy ten powiew wolności, który przeniknął przez dzielącą nasz naród „żelazną kurtynę”, dotarł do wieców studenckich w Siedmiogrodzie [w Rumunii] i więziennych cel w Szamosújvár [rum. Gherla]. Mansfeld, Wittner, Szabó, Pongrácz, Nagy i Mindszenty. Spoglądaliśmy na nich, ale widzimy jeden naród. Dumny naród węgierski, którego częścią jesteśmy my wszyscy. Chwała bohaterom!

W 2006 r. nowe pokolenie komunistów zadarło po raz kolejny z Węgrami. Doszli do władzy za cenę kłamstw. Mamili cięciem podatków, a potem

je podwyższyli. Wprowadzili opłaty za dzień pobytu w szpitalu, dopłaty za usługi medyczne, w górę poszybowały koszty ponoszone przez gospodarstwa domowe. Odebrali trzynastą emeryturę i zlikwidowali zasiłki rodzinne. W zмовie z międzynarodowym światem bankierów setki tysięcy rodzin wmanewrowano w kredyty walutowe. Kraj został wyprzedany, wszystko sprzedali obcokrajowcom, lotnisko, państwową firmę energetyczną, przedsiębiorstwa użyteczności publicznej. A kiedy już wszystko splądrowali i cały kraj doprowadzili do bankructwa, założyli nam na szyję chomąto MFW [Międzynarodowego Funduszu Walutowego]. Masz, kulawy Węgrze, dorzucimy ci jeszcze garb! A kiedy daliśmy wyraz naszemu niezadowoleniu, odpowiedzieli gazem łzawiącym, gumowymi kulami i atakiem konnicy. Strzelali po oczach, gumowymi pałkami okładali bezbronne kobiety i starsze osoby. W tym miejscu, w którym stoimy, 15 lat temu peszteńskie ulice spłynęły krwią i łzami, zalała je przemoc. To wszystko wydarzyło się na oczach całego świata w 50. rocznicę powstania 1956 r. Powiem to wyraźnie, powoli, żeby wszyscy zrozumieli: nigdy im tego nie zapomnimy!

Szanowni Państwo!

Peszteńskie poczucie humoru uczy nas, żeby obrażać się nie wówczas, kiedy mamy ku temu powód, lecz kiedy warto. My też czekaliśmy na odpowiedni moment. Przez cztery długie lata cierpliwie czekaliśmy, w pogotowiu, na wyrównanie rachunków.

Pan Bóg był sprawiedliwy, bo ich karą stało się to, co dla nas było nagrodą: wybory wygraliśmy większością [konstytucyjną] dwóch trzecich głosów. Zjednoczyliśmy się tak samo jak w 1956 r. i unicestwiliśmy socjalistyczne Węgry. W roku 1956 Ernő Gerő wraz z towarzyszami uciekał na łeb, na szyję do Moskwy, ale w 2006 r. już nie mieliśmy tyle szczęścia. Socjaliści wraz ze swoim przywódcą siedzą nam nadal na karku. On został tu i od tamtej pory snuje się między nami,

straszy w życiu publicznym, niczym upiór parlamentu. Zyskać satysfakcję można w ciągu jednej upojnej chwili, natomiast odbudowa po spowodowanej przez lewicę zagładzie trwała latami. Dostąpiliśmy wielkiej łaski, bo przez cały ten czas zachowaliśmy naszą narodową jedność, a zgłiszcza udało się uprzątnąć dzięki zjednoczeniu robotników, inżynierów, rolników, małych i dużych przedsiębiorców, naukowców, nauczycieli, pielęgniarek i lekarzy. Dzięki nam Węgry stanęły na nogi. Stworzyliśmy milion nowych miejsc pracy. Zrzuciliśmy z siebie jarzmo kredytów walutowych, znacząco obniżyliśmy podatki i doszliśmy do punktu, w którym w przyszłym roku nawet płaca minimalna będzie wyższa niż średnia płaca w czasach socjalistów. Odzyskaaliśmy przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, banki i media oraz półtorakrotnie pomnożyliśmy nasz majątek narodowy. Opodatkowaliśmy międzynarodowe korporacje, ochroniliśmy rodziny, koszty ponoszone przez gospodarstwa domowe obniżyliśmy do poziomu najniższego w całej Europie. Węgry obecnie są na tyle silne, by równocześnie mogły zatroszczyć się o osoby starsze i o młodych. Trzynaste emerytury zostaną przywrócone, a w przyszłym roku pracujący młodzi ludzie nie będą musieli płacić podatków. Rodziny wychowujące dzieci odzyskają zapłacone w tym roku podatki. Mamy swój węgierski świat i własne węgierskie życie, mamy konstytucję, która gwarantuje, że już nigdy nie będą mogli zrobić tego, co nam zrobili w 1956 i 2006 r. Dotarliśmy też poza granice dzielące nasz naród i ponownie zjednoczyliśmy Węgrów. Wymagało to jednomyślnej zgody wielu milionów osób i pracy wielu, wielu rąk. Tych, którzy wierzyli w moc miłości i wspólnoty. Cześć i chwała należy się właśnie im! Oczywiście zdrowe i sprawne rządy też nam wyszły na dobre.

Szanowni Państwo!

Nie zapominajmy też, że po tym, jak obniżyliśmy koszty ponoszone przez gospodarstwa domowe, oskalpowa-

liśmy dodatkowy zysk multispółek, a MFW odesłaliśmy do domu. Zaatakowała nas wówczas cała Unia Europejska. Atakowano nas również wtedy, gdy zatrzymaliśmy migrantów, zbudowaliśmy ogrodzenie i obroniliśmy nasze granice. Tuzin premierów atakował Węgry, lecz my wciąż tu jesteśmy, a czy ktoś jeszcze pamięta choćby ich nazwiska? To stara śpiewka, drodzy zgromadzeni! Tak samo jak w latach 1849, 1920, 1945 i 1956 europejscy dygnitarze znów chcą decydować ponad naszymi głowami o nas, ale bez nas. Chcą nas uformować na wystarcza-

Ostrzegamy zawczasu: kto nas dotychczas kąsał, ten połamał sobie na nas zęby, a nawet je stracił. Choć wróg był potężny, my nie uciekliśmy i teraz też nie zamierzamy się wycofać, bo wiemy, że razem dokonamy wszystkiego

jąco europejskich, wrażliwych i liberalnych, choćby za cenę naszego życia. Obecnie Bruksela mówi do nas i do Polaków tak, jak do wrogów i tak samo nas traktuje. Mamy poczucie déjà vu, a powietrze nad Europą przenika duch doktryny Breżniewa. Nadszedł czas, by w Brukseli też zrozumiano, że z nami nie wygrali nawet komuniści. Jesteśmy piaskiem, który dostał się między koła zębate, kijem wsadzonym między szprychy, kolcem wbijającym się pod paznokcie. Jesteśmy tym Dawidem, którego Goliat powinien się wystrzeżać. To my w 1956 r. rozszczelniliśmy światowy komunizm, to my wybiliśmy pierwszą cegłę z muru berlińskiego. I nadal dzielnie stawiamy czoła, mówiąc nie tyle, że Węgrzy mają rację, ile że będą mieli rację. Przysłowie mówi, że Węgrzy mają po trzykroć rację, więc oprócz sprawy kosztów pono-

szonych przez gospodarstwa domowe oraz kwestii migrantów po raz trzeci znów będziemy mieli rację: przeprowadzimy referendum i obronimy nasze dzieci! Węgry będą pierwszym krajem w Europie, który zatrzyma agresywną propagandę LGBTQ przed murami szkół.

I nie zapominajmy, kimkolwiek był przeciwnik, z kimkolwiek musieliśmy się mierzyć twarzą w twarz, lewica zawsze przechodziła do ataku na tyłach, szkodząc nam tam, gdzie tylko mogła. Wszyscy widzimy, że znów się organizują i knują, rozsiewając ziarna niepokoju, nienawiści, waśni i przemocy. Nasi przeciwnicy myślą, że jeśli ukryją wilka w owczej skórce, to my go nie rozpoznamy. Ale my go natychmiast zidentyfikujemy: wiemy, że jest wilkiem. Wiemy też, że wilk zje babcię, czy nawet już ją zjadł, dlatego właśnie wszyscy, którzy zaprzyjaźnili się z wilkiem, zniknęli w czełusciach „współpracy”. Proszę mi wierzyć, w tej zapadni wciąż jest dużo miejsca na kolejnych bohaterów kilkunastominutowej sławy. Jak mówi Pismo: strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przebrani przychodzą do was w owczej skórce. Poznać ich po ich owocach. Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo wydaje

złe owoce. I rzeczywiście, na drzewie lewicy może wyrosnąć tylko lewicowa polityka. Jest tylko jedna lewica, bez względu na to, na ile sposobów się maskuje. Oni zawsze zaczynają od kłamstw, potem przechodzą do przemocy i zostawiają po sobie zgłiszcz. Ci, którzy 15 lat temu kazali strzelać do ludzi, dziś ponownie szykują się na scenę. A gdzieś za wielką wodą wujaszek George [Soros] też się już przygotowuje. Kiedy byli potrzebni, nie przyszli [w 1956 r.], a pojawili się teraz, kiedy nikt ich nie wzywał. Teraz okupanci nie chcą nam narzucać swoich komisarzy, lecz chcą osiągnąć, żeby to ich wybrano. Teraz nie mają broni palnej, ich bronią jest Facebook. Sadzę, że złe nas zrozumieli. Nasze zaproszenie dotyczyło wyzwolenia spod okupacji sowieckiej, a nie ingerowania w naszą demokrację.

Szanowni Zgromadzeni!

Ci, którzy w 1956 r. obalili pomnik Stalina, nie byli wytrawnymi mówcami, walecznymi przywódcami ludu ani dobrane wyszkolonymi generałami. Bohaterami dni chwały 1956 r., którzy zapisali się na kartach historii świata, byli prości synowie i córki narodu węgierskiego, tacy jak my stojący tu, na tym placu. Dziś również nie liczy się to, czego chce Bruksela, Waszyngton i media kontrolowane z zagranicy. O losie Węgrów nadal będą decydowali Węrzy. Dzień 23 października przypomina nam, że nie możemy zapomnieć o naszej osobistej odpowiedzialności. W ciągu 1100 lat w naszym DNA zapisano, że tutaj, w Basenie Karpackim, o swoją wolność musimy walczyć codziennie od nowa. Do walki o niepodległość potrzeba nie tylko serca, nie tylko rozumu, lecz i siły.

Naszą siłą, moi Drodzy Przyjaciele, jest nasza jedność. W jedności siła. Jesteśmy razem, ponieważ wierzymy w to samo: w rodzinę, w naród oraz wszyscy wierzymy w silne i niezależne Węgry. Ten, kto broni swojej rodziny, swojego narodu przed obcymi atakami, może liczyć nie tylko na własny umysł, serce i siłę, lecz także na to, że racja jest po jego stronie. Moi Drodzy Przyjaciele, zarówno wtedy, jak i dzisiaj racja stała po stronie bojowników o wolność. To nasza racja, to prawda Węgrów pozwoliła nam się utrzymać tu, w środku Europy. A my od wieków pragnęliśmy wyłącznie tego, czego domagaliśmy się w roku 1956, 2006 i dziś. Sprawiedliwości dla Węgier!

Nie możemy sądzić, że to my w każdej sytuacji mamy rację, ale gdy nas atakują, a my się bronimy, to zawsze mamy rację. Mamy rację, gdy bronimy prawdy naszych dziadków i rodziców, którzy wiedzieli, jak należy i jak warto żyć, co w ulotnym i doczesnym życiu człowieka jest wartościowe, a co bezwartościowe. To właśnie prawda, która daje niezwykłą siłę. A prawda, racja Węgrów jest w Was, Drodzy Przyjaciele, jest w Was wszystkich, wszczepiona w Wasze dusze. Słuchajcie jej! Głoście ją i działajcie zgodnie z tym, co Wam podpowiada. A kiedy nadejdzie czas, stań-

cie przed swoimi domami i brońcie jej. Jeśli chcemy chronić bezpieczeństwo naszych rodzin, obronić granice naszego kraju, przyszłość naszych dzieci, owoce naszej pracy, nasze emerytury, nasze pensje, redukcję kosztów ponoszonych przez gospodarstwa domowe, jeśli chcemy zachować naszą kulturę, obyczaje, język, czyli jeśli chcemy bro-

Przysłowie mówi, że
Węrzy mają po trzykroć
rację, więc oprócz sprawy
kosztów ponoszonych przez
gospodarstwa domowe oraz
kwestii migrantów po raz trzeci
znów będziemy mieli rację:
przeprowadzimy referendum
i obronimy nasze dzieci!
Węgry będą pierwszym krajem
w Europie, który zatrzyma
agresywną propagandę
LGBTQ przed murami szkół

nić wolności dnia powszedniego, to każdy z nas musi wziąć udział w czekającej nas walce. To, co osiągnęliśmy wczoraj i przedwczoraj, jutro należy obronić. To, co dziś wystarczy, jutro nie będzie już wystarczające. Liczymy na wszystkich Węgrów, którym zależy na przyszłości Węgier. Dla nas Węgry są najważniejsze, dlatego nasze rządy są korzystne także dla tych, którzy nie głoszą na nas.

Szanowni Zgromadzeni!

Wiem, że wiele osób nie traktuje poważnie naszych przeciwników. Wiele osób myśli, że za 2006 r. już wyrównaliśmy rachunki, świętujemy kolejne zwycięstwa wyborcze, a nasz kraj ma się dobrze, więc nie mamy się czego obawiać. I faktycznie: to, co robi lewica, przypo-

mina bardziej dziedzinę rozrywki niż odpowiedzialną politykę. [...] Rywalizują o to, kto z nich zostanie namiestnikiem Brukseli i George'a Sorosa w naszym kraju. Kto z namaszczeniem tamtych otrzyma władzę nad Węgrami, kto zostanie nowym paszą na zamku w Budzie, nowym przewodniczącym rady namiestniczej czy nowym pierwszym sekretarzem partii. Otwarcie mówią, że zbratają się nawet z samym diablem, byle tylko odzyskać władzę. Chcą wyrwać Węgry z rąk Maryi, by złożyć je Brukseli u stóp.

Drodzy Przyjaciele!

Gdyby chodziło tylko o kilka partii lewicowych, których czasy świetności już przeminęły, nie musielibyśmy się tak tłumnie gromadzić, lecz mądrzy ludzie nie karmią się iluzjami. Nie dajmy się zwieść wątpliwej zdolności oceny sytuacji oraz spektakularnym porażkom krajowej lewicy. Nie to się liczy. Liczy się siła stojących za nimi podmiotów międzynarodowych. Ich siłę, a dla nas prawdziwe wyzwanie czy nawet zagrożenie, stanowi zaplecze międzynarodowe, pieniądze, media i cała sieć powiązań, które za nimi stoją. To wielka moc, którą tylko zjednoczona wspólnota milionów Węgrów jest w stanie pokonać i przepędzić z kraju. Ostrzegamy zawczasu: kto nas dotychczas kąsał, ten połamał sobie na nas zęby, a nawet je stracił. Choć wróg był potężny, my nie uciekliśmy i teraz też nie zamierzamy się wycofać, bo wiemy, że razem dokonamy wszystkiego. Spójrzcie na tych, którzy stoją obok was: jeśli spojrzycie im w oczy, przekonacie się, że możecie na nich liczyć. Uczynią wszystko, co w ich mocy, aby przebić nawet najgrubszy mur. W tym tkwi nasza siła, to jest nasze zaplecze i nie ma na świecie tylu dolarów ani tylu euro, które mogłyby nas tego pozbawić. Przybyliśmy, zobaczyliśmy i ponownie zwyciężymy!

Dobry Bóg ponad nami wszystkimi! Węgry przede wszystkim! Naprzód Węgry, naprzód Węgrzy!

Thumaczenie: AB-B, TW, PC



Daniela Ogińska ps. Pszczola

Fot. Piotr Nowak/PAP

Walczyliśmy o wolną Polskę

„My, powstańcy, oczekujemy zdelegalizowania marszu 11 listopada” – mówi powstaniec warszawski Wanda Traczyk-Stawska. Czy faktycznie wszyscy powstańcy tak myślą?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Wywiad, którego tygodnikowi „Newsweek” udzieliła Wanda Traczyk-Stawska, uczestniczka powstania warszawskiego, kandydatką na Warszawiankę Roku, odbił się szerokim echem nie tylko w me-

diach, lecz również w środowisku samych powstańców. Emocje wzbudziły nie tylko obraźliwe słowa pod adresem głowy państwa czy prezesa PiS, ale prawo, jakie nadała sobie uczestniczka powstania, by zabierać głos w imieniu wszystkich powstańców. Pani Wanda powiedziała, że wraz z Anną Trzeciakowską napisały list do prezydenta o zdelegalizowanie marszu 11 listopada. „My, powstańcy, oczekujemy zdelegalizowania tego marszu, żebyśmy razem z tysiącami ludzi mogli pójść w normalnym marszu i świętować Niepodległość” – ma brzmieć fragment listu.

Do sprawy odniosło się Prezydium Zarządu Głównego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Poinformowało w komunikacie, że „oficjalne stanowisko Związku jest wydawane przez Prezesa SZZAK. Inne wypowiedzi Weteranów są ich prywatnymi opiniami i nie mogą być używane w sporach politycznych jako stanowisko Związku”.

Także ja zapytałam kilku weteranów o ich prywatne stanowisko, np. w sprawie Marszu Niepodległości. Chciałam wiedzieć, o co walczyli w powstaniu, jakie wartości im przyświecały i czy podpisują się pod publicznie wyrażonym zdaniem: „My, powstańcy, oczekujemy zdelegalizowania marszu 11 listopada”? Nikt z moich rozmówców nie podpisał się pod tym żądaniem, a niektórzy byli nim bardzo zbulwersowani. Dwie osoby zgodziły się na zacytowanie ich wypowiedzi na łamach tygodnika „Sieci”.

**Daniela Ogińska,
ps. Pszczola, strzelec,
sanitariuszka
7 Pułku Piechoty Legionów
„Garluch”, 93 lata**

To nieprawda, że, jak słyszę, wszyscy powstańcy chcą zdelegalizacji Marszu Niepodległości. Przeciwno marszowi są tylko ci spośród nas, którzy są fanami Platformy Obywatelskiej i prezydenta Rafała Trzaskowskiego. Nie trzeba ich słuchać, kierują nimi bowiem prywatne interesy, chcą załatwić coś dla siebie.

Mnóstwo powstańców, wbrew roszczeniom, przystąpiło do powstania, gdy już ono się rozpoczęło. Część z tych ludzi po tzw. wyzwoleniu szukała możliwości, żeby się gdzieś załapać i wykorzystać reklamę, jaką daje tytuł „powstańca”. A tak naprawdę w konspiracji działało 5 proc. społeczeństwa. Nie widzę powodu, żeby Marsz Niepodległości miał się nie odbyć. Dwa lata temu, gdy siedziałam na ławeczce przed „Smykiem” i przyglądałam się marszowi, dowiedzieliśmy się, że na rondzie de Gaulle’a pojawiły się transparenty przeciwko Marszowi Niepodległości, były prowokacje, np. spalenie budki pod rosyjską ambasadą.

Zawsze były takie prowokacje, żeby tylko oczernić tych ludzi, którzy idą z biało-czerwonymi flagami, i odmówić im patriotyzmu.

Wszyscy, którzy byliśmy członkami konspiracji, mieliśmy jedno marzenie: tak się zorganizować, żeby wystąpić przeciwko Niemcom. Marzyliśmy o tym, żeby się wreszcie z Niemcami rozprawić. Ta idea przyświecała nam od 1939 r. I każdy, jak mógł, łapał się jakiegokolwiek organizacji, żeby zrobić coś mądrego. Ja

Myszę, że ci, którzy zakłócają Marsz Niepodległości, dopuszczają się prowokacji, muszą mieć za to zapłacone, bo jaką ideę trzeba mieć w sercu, żeby to robić? Ci, którzy niosą wielką Białą-Czerwoną, są tam dla idei, dla Polski. Bez idei, wartości nikt nie będzie chodził z flagą

uczylałam się w liceum im. Klementyny Hoffmanowej i tam weszłam do harcerstwa, a to automatycznie weszłam do konspiracji. Niektórzy rodzice bali się o swoje dzieci i nie chcieli, żeby wstępowały do harcerstwa. Ja dostałam zgodę taty i od listopada 1941 r. zaczęłam działać w konspiracji. Miałam pod sobą 10-osobowy zastęp. A w 1945 r. miałam już 120-osobową drużynę. Chciałam po prostu walczyć o Polskę, bo kochałam tę Polskę całym sercem. Nawet jak się tu kłóć, to ona jest moja ukochana, jedyna i wspaniała. Słucham czasem w telewizji, jak ci politycy opowiadają różne dyrdymały, tylko po to, żeby zaistnieć na antenie. I tak też jest w środowisku powstańców, że czasem opowiadają głupoty, żeby być w mediach. Może coś z tego mają? Może dla pieniędzy? Koleżanka mi opowiadała, że podczas

tzw. Strajku Kobiet spotkała pod filharmonią panią po sześćdziesiątce, która miała transparent za aborcją. I moja koleżanka pyta: „Co pani tu robi w tym wieku?”. A tamta jej odpowiedziała, że jej dali 200 zł, żeby stała, no to stoi, bo co jej to szkodzi.

Dziś patrioci mają w sercu ideały, wartości i chcą dla Polski dobra. A te ideały reprezentuje nasz rząd, który chce, żeby ludzie mieli lepiej. Patriotyzm to obowiązek wierności i lojalności wobec tych obywateli, z którymi się żyje. Ale są tacy, którzy wciąż robią obstrukcję, burdy, żeby normalne działanie nie było możliwe. Oni nie mają żadnych idei w sercu. Protestujące kobiety niszczyły pomniki, kościoły, naszą historię. Cóż to ma wspólnego z wartościami, ideałami? To tylko awanturnictwo. Myszę, że ci, którzy zakłócają Marsz Niepodległości, dopuszczają się prowokacji, muszą też mieć za to zapłacone, bo jaką ideę trzeba mieć w sercu, żeby to robić? Ci, którzy niosą wielką Białą-Czerwoną, są tam dla idei, dla Polski. Bez idei, wartości nikt nie będzie chodził z flagą.

A ten spór z Unią Europejską? To wynik tego, że nasza targowica z PZPR chce dobrych pieniędzy i bezpiecznych emerytur. Nie wiem, kto ich wybrał, ale ktoś to zrobił. Ja nie. Dzięki temu przyszłość będą miały zapewnione ich dzieci i wnuki, tak duże pieniądze się tam zarabia. No i oni teraz atakują Polskę, bo im się to opłaca. Ja, jako „zapłuty karzeł reakcji”, łapałam się różnych prac, mąż założył warsztat, ja mu pomagałam, ale nie musiałam się opierać o partię, nie chciałam takiego zaplecza. Radziliśmy sobie jakoś i czekaliśmy, kiedy będzie normalnie i teraz jest normalnie. A rządowi trzeba pomóc, żeby mógł pracować. I to jest patriotyzm. Trzeba mieć czyste serce, jasne spojrzenie i nie wstydić się tego, kim się jest. Ja mam 1,7 tys. zł emerytury, bez dodatków, i nie płacę. Nie potrzebuję więcej. Jak trzeba, to rodzina mi pomaga. Zawsze robiłam wszystko, żeby być niezależną i mi się udało. Smutno mi tylko, że ludzie nie umieją docenić wolności, a Unia próbuje nam coś narzucać.



Fot. Andrzej Wiktor

Jan Antoni Witkowski, ps. Jaś, gdy wybuchło powstanie warszawskie, miał 13 lat, był łącznikiem Batalionu „kwo”, 90 lat

Gdy wybuchło powstanie, byłem dzieckiem. Miałem 13 lat. Do powstania wciągnął mnie ojciec, zostałem łącznikiem, zaprzysiężono mnie. Przysięgę składaliśmy wieczorem na podwórku, gdzieś obok paliło się ognisko. To, że walczyliśmy, było oczywiste. Mieliśmy jedno pragnienie: oswobodzić Polskę spod niemieckiej okupacji. Mieliśmy dość terroru. Chcieliśmy wolnej Polski. Nie myśleliśmy wtedy, jaka ta Polska ma być. Chcieliśmy tylko, by Polacy mogli sami o sobie decydować. Jako dzieciaki robiliśmy Niemcom różne psikusy, każdy wiedział, że musi walczyć jak może. I dorośli, i dzieci. U sąsiadów mieszkał młody chemik, który produkował barwnik do mundurów. Barwnik miał taką cechę, że po namoknięciu mundur się rozchodził. Przygotował też szczepionkę przeciw tyfusowi, bo Niemcy się bali choroby. I po tej szczepionce Niemiec przez tydzień leżał z wysoką gorączką. Nas, chłopaków z podwórka, nauczył robić kalichlorek, który podkładaliśmy pod tramwaje „tylko dla Niemców”. Nas, Polaków, nie da się zastraszyć, bo od razu rodzi się w nas bunt.

Mój ojciec urodził się na Podolu, mama w Inowrocławiu, pod zaborem

Powstańcy byli i są grupą społeczną, która nie jest jednorodna. Mamy różne poglądy, różnie patrzymy na świat. Tak było podczas powstania, tak jest i teraz. Na pewno nie jest tak, że wszyscy powstańcy popierają rząd lub wszyscy popierają opozycję. Na pewno też nie wszyscy powstańcy chcą zdelegalizowania Marszu Niepodległości

pruskim. Tata służył w 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Służył na granicy polsko-sowieckiej. Bandy żołnierzy rabowały, mordowały, a ojciec chronił lokalną społeczność. Moja rodzina miała tradycję wolnościowe, w takim duchu byłem wychowany. Pamiętam, że śpiewaliśmy wolnościowe piosenki, recytowaliśmy wiersze, tego mnie i moje rodzeństwo uczyli rodzice. To było naturalne. Wie-

dzieliśmy, że Polska to nasza matka. A na Pomorzu, gdzie dorastałem, panowała antyniemiecka atmosfera. Ojca wciąż szukało gestapo.

Powstańcy byli i są grupą społeczną, która nie jest jednorodna. Mamy różne poglądy, różnie patrzymy na świat. Tak było podczas powstania. Tak jest i teraz. Wśród nas są osoby z poglądami prawicowymi, lewicowymi, liberalnymi i centrowymi. Ja widzę się gdzieś pośrodku, nie lubię skrajności. Różne poglądy były, są i będą. Jednak nigdy bym nie powiedział, że wszyscy powstańcy chcą tego czy tamtego. Na pewno nie jest tak, że wszyscy powstańcy popierają rząd lub wszyscy popierają opozycję. Gdyby zrobić wybory wśród powstańców, to głosowaliby różnie. Jak w każdej grupie społecznej. Na pewno też nie wszyscy powstańcy chcą zdelegalizowania Marszu Niepodległości. Możliwe, że chcą tego niektórzy. Ważne jednak, by marsz nie przekraczał pewnych granic. Próg demokracji musi być zachowany. Nie używałbym także słów „faszyści” czy „nacjonaści”, bo to nie są określenia adekwatne. Różnorodność społeczna, polityczna jest wartością. Źle byłoby dopiero wtedy, gdyby wszyscy mieli takie same poglądy. Różnica zdań i stanowisk prowadzi do wypracowania lepszych rozwiązań.

Jeśli mnie ktoś zapyta, jak oceniam rząd, to powiem, że dobrze, bo doceniam to, co robi dla ludzi. Wielu zaczęło się żyć lepiej, dzieci mogły pierwszy raz wyjechać na wakacje. Dużo zyskali emeryci. Gospodarka rozwija się bardzo dobrze, premier jest zdolnym zarządcą. Nie zgadzam się we wszystkim z Jarosławem Kaczyńskim, nie jestem tak prawicowy jak on. Ale w mojej ocenie to bardzo niedobrze, że pewna grupa Pola-

ków prowadzi przeciw Polsce sabotaż za granicą. To mnie bardzo boli. Nie potrafię zrozumieć, czym się kierują ludzie, którzy podcinają gałąź, na której siedzą. Przecież jest oczywiste, że nie jest w interesie Parlamentu Europejskiego czy Komisji Europejskiej, żeby nam było dobrze i wygodnie, każdy ma swoje interesy i ich broni. Jesteśmy państwem katolickim. Komu to przeszkadza? Takie nasze prawo.

PONAD 23 MILIARDY ZŁOTYCH NA INWESTYCJE



**POLSKI
ŁĄD**

RZĄDOWY FUNDUSZ POLSKI ŁĄD
PROGRAM INWESTYCJI STRATEGICZNYCH

Ponad 23 miliardy z rządowego funduszu
– może z nich skorzystać każda gmina w Polsce.

To pieniądze przeznaczone przez rząd na: drogi,
wodociągi, ekologię, edukację dzieci i obiekty sportowe.

Bo Twoja okolica zasługuje na wielkie inwestycje.

Rządowy Fundusz Polski Łąd
Program Inwestycji Strategicznych.

Po prostu inwestujemy w Polskę.

Program realizowany jest poprzez promesy inwestycyjne
Banku Gospodarstwa Krajowego.

www.bgk.pl



Jolanta Kwaśniewska
i Anna Komorowska
w Michałowicach
24 października

Jednym głosem z Łukaszenką

Ci, którzy oskarżają rządzących o wymaginowany sojusz z Rosją, sami grają w orkiestrze Putina i Łukaszenki. Przyjrzelśmy się przekazom lewicowo-liberalnych mediów w naszym kraju oraz tym nadającym z Mińska. Chwilami trudno je odróżnić. Dezinformacja jest najważniejszym polem prowadzonej obecnie wojny hybrydowej z Polską. Skąd zatem to współbrzmienie po obu stronach granicy?



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Zupa chlupocze w plecakach, gdy idą przez las. »Boimy się, że zaczniemy potykać się o martwe ciała«. Taki tytuł nosi reportaż na stronach Tok FM, który ma chwycić czytelnika za serce i przekonać go, że bezduszny rząd PiS skazuje Bogu ducha winnych ludzi na cierpienie w polskich lasach. Czytamy o tym, jak mieszkańcy strefy przygranicznej szukają migrantów po krzakach, noszą im ubrania, gotują ciepłe posiłki, pomagają ukrywać się przed strażą graniczną.

„Mieliśmy z sobą tylko małą wodę, a oni byli głodni i zziębnięci, więc mój mąż poszedł do samochodu po jedzenie i ubrania. Nie bał się zostawić mnie samej z nimi w lesie. Ani ja się tego nie bałam. Mimo że było to dziesięciu młodych mężczyzn, czyli idealny przykład tego, kim straszy nas nasz rząd, sugerując, że to gwałciciele” – opowiada jedna z bohaterek materiału.

Dziesięciu młodych mężczyzn, bez kobiet, bez dzieci? Czyli odwrotność tego, co chcą pokazać służby Łukaszenki, polskie media antyrządowe i sami migranci na licznych filmach publikowanych w internecie. Choć to akurat ma mniejsze znaczenie. Każdy z tych przybyszów z punktu widzenia prawa i bezpieczeństwa naszego państwa oraz całej Unii Europejskiej jest agresorem, który – płacąc olbrzymie pieniądze – nielegalnie wdarł się do Polski. Jakkolwiek brutalnie by to zabrzmiało, są amunicją w wojnie Łukaszenki i Putina, którą ci dwaj wypowiedzieli Europie. Jednak część polskojęzycznych mediów próbuje przekonać, że każdy z nich to tylko bezbronna ofiara, której należy się wszelka pomoc. Należy jej wybaczyć, że w desperacji sforsowała polskie zasieki, i otoczyć wszechstronną opieką.

NA GRANICĘ

Na zupełnie nowy poziom wyniosły narrację o kryzysie na granicy były pierwsze

damy, które z większą grupą pojawiły się w Michałowie na happeningu „Matki na granicy”. „Przyjechałam tu dlatego, że władza nie tylko nic nie robi, ale też nie pozwala pomagać” – mówiła Anna Komorowska. „Miejsce dzieci nie jest w lesie. [...] Musimy dać wyraz naszemu człowieczeństwu. Musimy powiedzieć, że sprzeciwiamy się tej władzy, która nie widzi ludzi w ludziach, którzy szukają dla siebie lepszego życia” – dodała Jolanta Kwaśniewska. Takie słowa padły, mimo iż panie wzięły wcześniej udział w spotkaniu, na które zaprosili je funkcjonariusze Straży Granicznej z ośrodka pomocowego w Michałowie. Wydawało się, że zrozumiały trud pracy na tak niewralgicznym odcinku. Niestety, chyba przyjechały z klarownym planem atakowania PiS, postanowiły więc później, przed kamerami, bronić swoich tez wbrew faktom. Towarzyszyli im m.in. poseł KO Franciszek Sterczewski, który zasłynął z bezmyślnego rajdu w stronę granicy, oraz Paweł Wrabec, aktywista Obywateli RP, były dziennikarz „Gazety Wyborczej” i tygodnika „Polityka”, którego kilka dni później policja zatrzymała, gdy przewoził swoim samochodem dwóch imigrantów z rejonu granicy do Warszawy.

To wszystko miało cechy pewnego spektaklu, na który tylko czekają białoruskie media. Happening Komorowskiej i Kwaśniewskiej został natychmiast wykorzystany przez propagandę Łukaszenki. Ważnym elementem wieczornego programu „Panorama” w TVR jest „autorska opinia”, którą jedna z dziennikarek przedstawia w lżejszej, czasem wręcz prześmiewczej formie. Bawi redaktorkę sugestią, że to białoruskie władze przeczucją imigrantów na granicę, by wywołać kryzys na Zachodzie. A jeszcze „śmieszniejsze” jest to, że ten silny Zachód nie radzi sobie z przestrzeganiem prawa imigracyjnego i łamie wszelkie konwencje. Na szczęście – to już jest na poważnie – „zagrożenie dla życia ludzkiego widzą niektórzy Polacy”. Jako przykład postawy, która ma dać nadzieję, że jako ludzie nie jesteśmy całkiem zubożniętymi, pokazywany jest happening „Matki na granicy” z udziałem pierwszych dam. Do takiej „informacji” potrzebna jest jeszcze puenta, oto ona: „Nasi zachodni sąsiedzi znają międzynarodowe prawo, ale polska władza go nie przestrzega”.

– Już kilka tygodni temu było jasne, że będziemy mieć do czynienia z nowym elementem wojny hybrydowej: wskazywania na cierpienie migrantów – mówi nam Kamil Basaj, ekspert ds. bezpieczeństwa, prezes Fundacji Info OPS Polska. – Uciekają się do empatii, bo ma ona bardzo silny potencjał wywoływania emocji i reakcji społecznej. A skoro jest w Polsce grupa odbiorców podatna na tego typu przekaz, to przeciwnik z tego korzysta.

Podobnie jak z różnorakich protestów organizowanych nie tylko w Michałowie, lecz również przed komendami Straży Granicznej. – Jak to jest, że tylu ludzi postanowiło naciskać na polski rząd, jako rzekomo odpowiedzialny za sytuację na granicy, a dotychczas nikomu nie przyszło do głowy, by pójść przed ambasadę Białorusi? To miałyby merytoryczne uzasadnienie. Przecież to tam są odpowiedzialni za tę agresję! – słyszymy od zirytowanego funkcjonariusza SG.

Media w Mińsku wychwytyują zresztą wszelkie informacje, które mają pokazać, że u nich jest dobrze, a wszędzie wokół niezbyt. Że Białoruś to prawo, a Zachód – bezprawie. Nie dziwimy się więc, że odnotowano nałożenie na Polskę kary, którą mamy płacić za niezlikwidowanie spornej Izby Dyscyplinarnej SN, ale sposób, w jaki to się stało, zasługuje na odnotowanie: „Warszawa będzie płacić Brukseli 30 mln miesięcznie, dopóki nie ustąpi albo nie wyjdzie z Unii Europejskiej”! Jak widać, praca naszych rodzimych żurnalistów nad ugruntowaniem pojęcia polexitu daje nieoczekiwane plony u sąsiadów zza wschodniej granicy.

POLSKIE INSPIRACJE

W ostatnich wydaniach białoruskiej „Panoramy” temat kryzysu na granicy pojawia się nieco rzadziej, ale gdy jest pretekst, zawsze montowany jest doskonały w formie dezinformacyjny show. Ważny jest ton głosu prezentera, niestandardowa formuła przekazania newsa, ładne dla oka opakowanie kwestii, na które widz ma zwrócić uwagę. Dowiadujemy się więc np. o niepokojach na granicy z Litwą, ale najwyraźniej podkreślona jest wypowiedź szefa tamtejszego MON, że „litewscy żołnierze nie zawahaliby się użyć broni”, gdyby doszło do incydentu

podobnego jak w Polsce, gdzie podczas szturmów imigrantów rannych zostało dwóch żołnierzy. Widz ma poczuć zagrożenie płynące z Zachodu.

Gdy jest mowa o „szturmie na polską granicę”, to za chwilę dowiadujemy się, że powodem była tak naprawdę „bezczytność europejskich urzędników”, która doprowadza do „niehumanitarnego traktowania uchodźców”. Prezenter tłumaczy, że w takim momencie nie da się utrzymać nerwów na wodzy i dlatego „grupa ok. 70 osób uzbrojonych w pałki i kamienie postanowiła w weekend przerwać tymczasowe graniczne zasieki”. I dalej: „Polski reżim sprowadził na granicę wojsko i policję, co jeszcze bardziej rozsierdziło koczujących tam ludzi”. Podsumowanie: „400 mln dol., które Polacy chcą wydać na ogrodzenie granicy, można by przeznaczyć na realną pomoc”. Czyż to nie przekaz płynący wprost także z polskich mediów wspierających opozycję?

„Polskich” inspiracji w białoruskich mediach jest zresztą zdecydowanie więcej. Oglądając „Panoramę” TVR tylko z jednego tygodnia, szeroko otwieraliśmy oczy. Propagandyści Łukaszenki nawet nie muszą się wysilać, mając w Polsce do czynienia z redakcjami, których przekaz jest w zasadzie tożsamy z mediami państwowymi w Mińsku. A nawet go wzmacniają. Tak było z opublikowanym w Onecie wywiadem z Agnès Callamard, sekretarz generalną Amnesty International: „ONZ powinien zażądać śledztwa, a Światowy Program Żywnościowy powinien interweniować i zapewnić pomoc humanitarną ludziom na polskiej granicy”. Białorusini z pasją te słowa odnotowali: „Nawet zachodni urzędnicy przyznają, że w Polsce łamane są prawa dotyczące uchodźców”, a na pasku na dole strony już bez ogródek: „Polska popycha ludzi do śmierci”.

– Niektóre przekazy medialne są wręcz szokujące. Mamy do czynienia z wykorzystywaniem produktów medialnych do tego, by wyrzucić presję na Polskę, aby się zgodziła na nowy szlak migracyjny – mówi kolejny z ekspertów, z którym rozmawiamy.

„Szlak migracyjny stworzony przez Łukaszenkę to polityczna zemsta na UE, w szczególności na Polsce, Litwie

i Łotwie. Migranci przybywają do BLR legalnie, a za ich los odpowiadają władze w Mińsku” – oświadczył na Twitterze Stanisław Żaryn, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego KPRM.

ŚMIERĆ W LESIE

Śledząc media polskie i białoruskie, czasem trudno się zorientować, które są redagowane w Warszawie, a które w Mińsku. Portal OKO.press opublikował rozmowę z Judith (imię zmieniono), 29-letnią Kongijką, która miała poronić na polsko-białoruskiej granicy. „Żołnierze i polscy i białoruscy traktowali nas jak zwierzęta” – brzmi cytowana wypowiedź. Od działających w tej okolicy wolontariuszy OKO.press dowiedziało się, że kobieta

Happening Komorowskiej i Kwaśniewskiej, które przyjechały do Michałowic w ramach akcji „Matki na granicy”, został natychmiast wykorzystany przez propagandę Łukaszenki

w trzecim miesiącu ciąży została „jak worek ze śmieciami” przerzucona nad drutami na stronę białoruską. W wyniku tego miała stracić dziecko. Nie wszystko w tej historii układa się w logiczną całość, bo – jak podaje „Gazeta Wyborcza” – owa Judith miała w końcu trafić do Francji.

Blizniaczą historię opowiedzieli nam dziennikarze telewizyjnego kanału białoruskiego TVR. „Nie pierwszy raz opowiadamy o starciach polskich służb z uchodźcami. Tym razem Polacy przeszli samych siebie. Odnaleziona w lesie kobieta straciła dziecko” – zapowiada prezenterka. Historia w tym wydaniu wygląda następująco: białoruscy pogranicznicy odnajdują w lesie grupę migrantów (wszystko jest filmowane przez GPK – Państwowy Komitet Graniczny), wśród nich jest kobieta, która miała dobie-

wcześniej poronić. Na pasku napis: „Niehumanitarność – pobita przez polskie służby kobieta poroniła”. Miała prosić Polaków o azyl, ale podobno została wywieziona na granicę, pobita „przez człowieka, który miał gwiazdę na pagonach” (kilka razy uderzona w brzuch) i wypchnięta na Białoruś.

Z innej białoruskiej stacji CTV dowiadujemy się, że chodzi o imigrantkę z Iraku, której w szpitalu towarzyszy 17-letni syn. Teraz, gdy już opiekują się nimi białoruskie władze, Shilan Mustapha może spokojnie opowiedzieć o bestialstwie „tego Polaka, u którego widzieli gwiazdy na pagonach munduru”. „Byliśmy dużą grupą, otoczyli nas. Krzyczeli: »Wróćcie do domu, nie możecie tu zostać, nie macie wizy!«” – relacjonuje kobieta. „Było ciemno, ale widziałem tego oficera, który kilka razy uderzył mamę. Żle mu patrzyło z oczu” – dodaje syn pacjentki. Historia podana jest tak, że w emocjach niewielu pewnie będzie się zastanawiać nad jej prawdziwością. Widzowie nie będą też pewnie pytać, skąd ci ludzie wzięli się w przygranicznym lesie.

– Mamy świadomość, że Łukaszenka specjalnie kieruje na naszą granicę w ostatnich tygodniach rodziny z dziećmi czy kobiety w zaawansowanej ciąży, właśnie licząc na to, że te obrazki medialne wywrą psychologiczną presję – mówi współpracujący z rządem specjalista ds. strategii obronnej.

POLSKI REZONANS

Bardzo łatwo znaleźć podobny ton w „Faktach” TVN. Prowadzący zapowiada materiał o senackiej dyskusji nad budową trwałej zaporę graniczną, ale dziennikarka gra na zupełnie innych emocjach. „Te obrazy wycieńczonych ludzi pokazujemy, by o nich nie zapominać i nie zobojętnieć na ich cierpienie” – mówi Katarzyna Kolenda-Zaleska. Potem słychać głos człowieka siedzącego tyłem: „Nie chcemy wracać do Iraku, jeśli tam wrócimy, zabijają nas”. Narracja jest taka, że polska straż graniczna wywozi bezbronną grupę ludzi w nieznane miejsca. Pada sugestia, że po udzieleniu pierwszej pomocy są z powrotem przerzucani na stronę białoruską. I wreszcie temat



główny – debata w izbie wyższej parlamentu. Imnżone przez senatorów opozycji wątpliwości: czy nie za szybko, czy nie za drogo, czy w zgodzie z przepisami budowlanymi. „Co jest istotniejsze, stosowanie ściśle prawa budowlanego czy bezpieczeństwo państwa? Wybieramy bezpieczeństwo państwa. I bezpieczeństwo Europy” – próbuje tłumaczyć Maciej Wąsik, wiceszef MSWiA. Opozycja niby rozumie, ale argumentów nie przyjmuje. Ta przepychanka zamyka się łzawą kłamrą. Słyszymy, że „na bagnach w strefie stanu wyjątkowego znów znaleziono ludzi. Pomogli im ludzie, tyle, ile mogli”.

Znów zastanawiająco zgodne polsko-białoruskie współbrzmienie. – To, co jest niepokojące z perspektywy bezpieczeństwa naszej przestrzeni informacyjnej, to posługiwanie się materiałami służb białoruskich przy pełnej wiedzy, że to dezinformacja Łukaszenki – recenzuje działanie niektórych polskich mediów Kamil Basaj.

Miesiąc temu w TVN24 wyemitowano wywiad z Aleksandarem Łukaszenką przeprowadzony przez dziennikarza CNN. Dyktator stwierdził w nim, że „informacje polskich władz na temat migrantów są nieprawdą”. A oskarżenie Białorusi o przerzut uchodźców na granicę nazwał „szaleństwem”. Bez słowa sprzeciwu. Niejednokrotnie w tej stacji pokazywano też nagrania wykonane przez GPK. Często ich bohaterami są

polscy żołnierze i funkcjonariusze Straży Granicznej, kontekst, co zrozumiałe, zawsze jest negatywny. Gdy pojawiła się krytyka, że to transmitowanie wrogiej propagandy, usłyszeliśmy tłumaczenie, że winny jest temu rząd PiS, który zakazał polskim dziennikarzom wstępu na teren przygraniczny, więc własnych nagrań po prostu nie ma. Wyjaśnijmy, dziennikarze nie mają tam wstępu, bo takie są restrykcje stanu wyjątkowego, ale zakaz dotyczy również innych obywateli, którzy nie są tam zameldowani.

Podobnymi kwestiami zasłaniała się też „GW”, która na końcu jednego z artykułów dodała wręcz, że „po raz kolejny przekazuje informację na podstawie relacji propagandy Łukaszenki, ponieważ wprowadzony przez rząd RP stan wyjątkowy na całej długości granicy Polski z Białorusią wyklucza działalność mediów”. Zanim jednak czytelnik dotarł do tego osobliwego oświadczenia, musiał przebrnąć przez opowieści „o pobitych przez polskich pograniczników Syryjczykach” czy też „uratowanych przez Białorusinów uchodźcach, którzy byli na skraju wyczerpania”, a których „wypchnięto z Polski”.

SZTURM NA ŻYWO

Już nikt nie ma wątpliwości, że operacja jest precyzyjnie prowadzona przez służby Białorusi. Na nagraniach z prób forsowania granicy coraz częściej widać

pomocną dłoń bezpiekniaków Łukaszenki. Jak na filmie z zeszłego tygodnia, na którym widzimy grupę ok. 20 migrantów doprowadzonych przez białoruskich funkcjonariuszy do zasieków na granicy z Polską. W tym miejscu ogrodzenie jest przerwane. Po naszej stronie okolo 10 żołnierzy. Migranci skandują: „Freedom” (tłum. „wolność”), a kilka metrów za nimi kilku umundurowanych Białorusinów spokojnie przypatrujących się, jak Polacy sobie z tą sytuacją poradzą.

Kolejne nagranie, z poprzedniej niedzieli. Doskonale już znane, bo pokazujące zajścia, w których wyniku rany odnieśli polscy mundurowi. To szturm w wykonaniu kilkudziesięcioosobowych grup. „Cudzoziemcy używali kijów i rzucali kamieniami w funkcjonariuszy Straży Granicznej i żołnierzy Wojska Polskiego. Jeden z żołnierzy został uderzony przez cudzoziemca gałęzią w twarz, a drugi kamieniem w twarz. Obaj musieli zostać przewiezieni do szpitala w Białymstoku. [...] Wśród osób forsujących granicę funkcjonariusze rozpoznali białoruskich żołnierzy w cywilnych ubraniach, którzy m.in. nożycami cięli concertinę” – relacjonowała później rzeczniczka SG ppwr. Anna Michalska.

I jeszcze jedno, na którym widać, że już nie pod osłoną nocy, już bez drabin dostarczonych przez białoruskich pograniczników, ale w biały dzień, na oczach naszych służb migranci próbują forsować

plot z drutem kolczastym. Za pomocą potężnych galezi niszczą barierę. Nic sobie nie robią z obecności polskiego wojska.

24 października. Na facebookową grupę dla migrantów chcących przez Białoruś dostać się do Unii Europejskiej ktoś wstawia film z granicy z ironicznym komentarzem: „Spójrzcie na miłosierdzie polskich żołnierzy”. Nagranie spod plotu na granicy. Po polskiej stronie strażnicy i żołnierze ostrzegający, by nie forsować zasieków. W tle nadawane z głośników komunikaty dla przyszłaków. Po białoruskiej – grupa migrantów. Jeden z nich po angielsku mówi do kamery: „Chcieliśmy się dostać do Polski, ale nie chcą nas wpuścić. [...] Jest bardzo zimno i pada deszcz, nie możemy rozpaść ogniska. Są z nami dzieci. Rano będą martwe, naprawdę. Potrzebujemy pomocy. Moja żona jest chora”. Wskazuje na polskich mundurowych: „Powiedzieli nam, że jeśli przejdę na polską stronę, to mnie uderzą albo zabiją. Naprawdę! [...] Idę do Polski, może do Niemiec, może gdzieś indziej, by mieć dobre życie. Dlatego opuściłem mój kraj. Potrzebuję lepszego życia”.

Na tej internetowej grupie relacje z granicy przeplatają się z ofertami uzyskania białoruskiej wizy turystycznej, z udostępnianymi kontaktami do pośredników i poradami dla wybierających się do Mińska. „Turyści” pytają, co można zabrać do jedzenia, jak wyposażać się do forsowania granicy i przeprawy przez polskie lasy. Ktoś wstawia wpis z informacjami o tym, co czeka uchodźców w Niemczech. Łamaną angielszczyzną wyjaśnia, że po przyjeździe trafia się na dwa miesiące do obozu dla uchodźców, a później to już sielanka: miesięcznie zasiłek w wysokości 327 euro na osobę dorosłą i 190 euro na dziecko. Plus pomoc w znalezieniu pracy, mieszkania. Eldorado.

HAŃBA POLITYKÓW

„Jesteście bezwzględni i brutalni, chwilami nieludscy wobec tych rodzin i tych matek z małymi dziećmi” – mówił w czasie senackiej debaty nad budową profesjonalnej bariery granicznej Marcin Bosacki z PO, kiedyś rzecznik MSZ

i ambasador RP w Kanadzie. Wzywał do odrzucenia ustawy, twierdząc, że „ten absurdalny mur” posłuży do małwersacji i marnotrawstwa publicznych pieniędzy. Wystąpienie jakby na zamówienie Łukaszenki. A przecież chyba to nie białoruski satrapa poprosił Bosackiego i jego kolegów o taką postawę, lecz... Donald Tusk. Szef PO już 13 października stwierdził: „Oni udają, że zbudują wielki mur, a tak naprawdę chcą zrobić wielki wał”.

Jako jeden z pierwszych w narracji o krzywdzeniu dzieci przez polskie władze wszedł Szymon Hołownia. Jeszcze we wrześniu pisał na Twitterze: „Chrzanić sondaże i propagandę. Dzisiaj nasze

„400 mln dol., które Polacy chcą wydać na ogrodzenie granicy, można by przeznaczyć na realną pomoc” – można było usłyszeć w białoruskiej „Panoramie”. Czyż to nie przekaz płynący wprost także z polskich mediów wspierających opozycję?

serca, głowy i ręce powinny zgodnie twierdzić i pokazywać, że nie będzie żadnej Rzeczypospolitej, jeśli będziemy traktować dzieci jak worki ze śmieciami. To, co dzisiaj widzimy, jest podkopywaniem istoty tego, kim jesteśmy jako naród”.

Niemal w tym samym tonie od początku kryzysu na granicy wypowiadają się politycy Lewicy. To ich reprezentantka, wicemarszałek Senatu Gabriela Morawska-Stanecka, jako jedna z pierwszych osób z politycznej pierwszej ligi udała się na wschód, by za pomocą legitymacji parlamentarnej przedrzeć się przez kordon strażników i dotrzeć na białoruską stronę w Usnarzu.

W obronie granic przed agresją Łukaszenki obóz władzy może za to liczyć na Konfederację i PSL. Te ugrupowania poparły budowę solidnej bariery.

Choć niektórzy ludowcy tłumaczyli to kuriozalnie, niekoniecznie kierując się bezpieczeństwem państwa. „Tego oczekują nasi wyborcy” – szczerze przyznał wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski.

Niestety możemy tylko pomarzyć o sytuacji, w której cały nasz establishment orientuje się, czego oczekuje od niego Polska, a czego Łukaszenka.

Również na szczeblu międzynarodowym polski rząd otrzymuje coraz mocniejsze wsparcie – by wspomnieć choćby o konkluzjach ostatniego szczytu Rady Europejskiej czy wypowiedziach Jensa Stoltenberga po szczycie NATO. Nawet Manfred Weber, szef frakcji Europejskiej

Partii Ludowej (której przewodniczy Tusk) w europarlamencie, uważa, że UE powinna pokryć koszty budowy bariery na wschodniej flance wspólnoty: „EPL w Parlamencie Europejskim bardzo trudno jest zrozumieć, dlaczego UE nie może sfinansować fizycznego ogrodzenia na granicy z Białorusią [...] Toczy się wojna hybrydowa, nie powinniśmy być naiwni. To kwestia obrony i upewnienia się, że to my decydujemy, komu wolno wjechać do Europy, a nie dyktatorowi Łukaszence” – mówił w rozmowie z serwisem Politico.

Co będzie dalej? Jak zachowa się polska opozycja, gdy wschodni dyktator zrobi kolejny krok? Były białoruski dyplomata Paweł Łatuszka mówił niedawno: „Następnym etapem konfliktu na granicy, który sztucznie będzie stworzony przez władze reżimowe, może być wykorzystanie broni palnej. Już są takie przykłady, mówiło się o padających strzałach. Nasze źródła podają, że wraz z Afgańczykami tego typu prowokacje są przewidziane na większą skalę”.

Jeśli ze strony białoruskiej padną strzały, czy w polskim parlamencie ktoś też przypisze za to winę naszemu rządowi? Czy nadejdzie otrzeźwienie? Mało realne. Niestety możemy tylko pomarzyć o sytuacji, w której cały nasz establishment orientuje się, czego oczekuje od niego Polska, a czego Łukaszenka. Wciąż dla sporej części naszych opozycyjnych polityków najważniejszym zadaniem jest odebranie władzy PiS. Interes polityczny swojej formacji stawiają więc ponad interesem państwa.

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825



Cuda w PO

*Platforma Obywatelska musi się uciekać
do sztuczek, obok agresji i demagogii, żeby
wykreować wizerunek ugrupowania
zdolnego do wygrania wyborów*



STANISŁAW JANECKI

Wybory w Platformie Obywatelskiej (23 października) dowodzą, że albo ta partia co roku radykalnie traci ciągłość ze swoją wersją z przeszłości, nawet tej bliskiej, albo jest tworem iluzjonistów (jak w filmach „Iluzja”, oryginalnie „Now You See Me”), czasem na miarę Davida Copperfielda (Kotkina). W klasycznej iluzji z pustego kapelusza wyskakuje całkiem niepusty królik, a sztuczne kwiaty zamieniają się w gołębie. Tyle że w iluzji wszystko jest precyzyjnie zaplanowane, a rezultaty zgodne ze scenariuszem, natomiast w PO niczego nie można być pewnym. Może tylko jednego: gdy w wyborach na przewodniczącego startuje tylko Donald Tusk i w istocie jest to głosowanie na Donalda Tuska, a nie na przewodniczącego partii, najlepiej warunki bycia Tuskiem spełnia sam Tusk. Gdyby kandydatów było dwóch, to już nie byłoby takie pewne, dlatego zapewne nie zaryzykowano. W regionach zaryzykowano i sprawdziły się podstawowe zasady iluzji. Na Pomorzu głosowano na Agnieszkę Pomaskę (przynajmniej taki był oficjalny scenariusz Tuska – jeszcze jako p.o. przewodniczącego), ale lepszą Pomaską okazał się marszałek województwa Mieczysław Struk. Na Dolnym Śląsku głosowano na Romana Szelemeja, ale lepszym Szelemejem okazał się Michał Jaros. Skoro Tusk nie miał rywala, to iluzja skupiła się na liczbach.

Oto 23 października br. Donald Tusk dostał 11 474 głosy (97,4 proc. głosujących; przeciw były 253 osoby). Skoro frekwencja wyniosła 73,3 proc., oznaczałoby to, że uprawnionych do głosowania było ok. 15,5 tys. osób. Iluzja polega na tym, że wyborach na przewodniczącego PO w styczniu 2020 r. Borys Budka otrzymał 6481 głosów, i to przy frekwencji wyższej niż podczas głosowania na Tuska (76 proc.). Wtedy podano, że uprawnionych do głosowania było 10 816 osób. Gdy porównać jeszcze liczby z wyborów w 2013 i 2015 r., iluzja jest już pełna, nic się bowiem nie zgadza albo w Platformie członkowie wyskakują jak króliki z kapelusza, a potem zamieniają się w gołębie (bądź odwrotnie). Natomiast gdy kandydatów jest więcej niż jeden, do skrzyni (powiedzmy, że obsługiwanej przez Davida Copperfielda) wchodzi kto inny,

niż z niej wychodzi (Pomaska – Struk, Szelemej – Jaros). A potem iluzjonista (Tusk) mówi swoim pomocnikom, że jest mu wszystko jedno, kto wychodzi, choć w scenariuszu tak nie było i jest to sprzeczne z zasadami iluzji. Ale w PO wszystko jest z wszystkim sprzeczne, a im bardziej, tym mocniej jest to przedstawiane jako precyzyjnie zaplanowane. W rzeczywistości zgadza się tylko to, że Tusk miał się z p.o. przewodniczącego stać przewodniczącym. Ale nawet to, czy jako przewodniczący jest silniejszy niż jako p.o., wcale nie jest takie pewne.

CUDOWNE ROZMNOŻENIE

Między styczniem 2020 r. a październikiem 2021 r. w Platformie przybyło prawie 5 tys. osób mających czynne prawo wyborcze. W tym czasie do partii zapisało się najwyżej kilkaset osób. Ten cud jest zapewne wynikiem zmian w statucie partii, obowiązujących od 18 września br., czyli przyjętych wtedy, gdy PO kierował już Tusk. Kluczowy jest tu paragraf 102 pkt 4 statutu: „Wygasa członkostwo w Platformie członków, którzy w okresie 5 lat poprzedzających 18 września 2021 r. nie wpłacili żadnej wymagalnej składki członkowskiej, chyba że w terminie do dnia 31 grudnia 2021 r. dokonają zapłaty jakiegokolwiek składki członkowskiej za pośrednictwem osobistego rachunku bankowego”. Przez pięć lat można było zalegać ze składkami członkowskimi i wtedy zyskiwało się status „członka wspierającego”. Ktoś taki nie miał jednak czynnego prawa wyborczego. Po zmianie statutu obowiązującej od 18 września br. wystarczyło wpłacić „jakąkolwiek składkę członkowską”, czyli np. 5 zł, bo tyle wynosi składka za miesiąc (a to podstawowa jednostka rozliczeniowa), żeby pozostać członkiem partii. Czyli żeby nie wylecieć z Centralnego Rejestru Członków. Paragraf 11 statutu (o członkach wspierających) zniknie po 31 grudnia br. A wtedy obowiązywać będzie zmieniony paragraf 15: (pozostaje przepis, że „czynne prawo wyborcze przysługuje wszystkim członkom Platformy wpisanym do CRC, chyba że postanowienia Statutu stanowią inaczej”) stwierdzający, że „czynne prawo wyborcze w wyborach do właściwych terytorialnie władz Platformy przysłu-

guje wszystkim członkom Platformy wpisanym do CRC, pod warunkiem niezalegania ze składkami członkowskimi za okres powyżej 6 miesięcy oraz po upływie co najmniej 6 miesięcy od dnia przyjęcia w poczet Platformy, chyba że Zarząd Krajowy wyrazi zgodę na wcześniejsze korzystanie z tych praw”. Jeśli do PO nie zapisało się od powrotu Tuska kilka tysięcy osób, a dane tego nie potwierdzają, to skok uprawnionych do głosowania może wynikać z zastosowania zapisu w par. 102 pkt 4 statutu partii.

W powszechnych wyborach przewodniczącego PO latem 2013 r. uprawnionych do głosowania było aż 42 tys. członków PO. Donalda Tuska poparło wtedy ponad 16 tys. osób, a jego rywala Jarosława Gowina – ponad 4 tys. Łącznie oddano 21,8 tys. głosów, a frekwencja wyniosła tylko 51,12 proc. W wyborach w styczniu 2016 r. Grzegorz Schetyna otrzymał ok. 7,9 tys. głosów (z ok. 17 tys. uprawnionych, a frekwencja wyniosła 52 proc.). W ciągu dwóch i pół roku liczba uprawnionych do głosowania spadła aż o 60 pkt proc. (25 tys. osób). Skoro Borys Budka otrzymał w styczniu 2020 r. 6481 głosów (78,77 proc. ważnych przy frekwencji 76 proc.), a uprawnionych do głosowania było dokładnie 10 816 osób, oznacza to spadek liczby uprawnionych o kolejne ponad 4 tys. Tendencja jest zatem stała i spadkowa. I nagle staje się cud, choć nie bardzo spektakularny, bo na Donalda Tuska głosują 11 474 osoby (97,4 proc. głosujących), czyli ponad pół tysiąca więcej niż było w ogóle uprawnionych w styczniu 2020 r. Skoro przy wyborze Tuska frekwencja wyniosła 73,3 proc., oznacza to, że uprawnionych było ok. 15,5 tys. osób – skok w stosunku do głosowania w styczniu 2020 r. o prawie 5 tys. osób (ok. 33 pkt proc.). Nie jest to wynik imponujący (jak w wypadku „zjazdu” między rokiem 2013 a 2016), ale pokazujący „cudowny” wpływ Tuska na liczebność platformerskiej armii.

Alte to nie koniec cudów tudzież postępów iluzji. W 2011 r. Platforma deklarowała, że ma ok. 50 tys. członków, czyli 42 tys. uprawnionych do głosowania w 2013 r. nie dziwi. W styczniu 2021 r. partia deklarowała istnienie 33 090 członków, obecnie zaś ok. 32 tys. Jeśli uprawnionych do głosowania w styczniu 2020 r. było tylko 10 816,

to oznacza, że ok. dwóch trzecich członków PO nie miało na początku 2020 r. czynnego prawa wyborczego. Albo wielu się z PO wypisało, albo trafiło do zamrażarki zwanej „członkostwem wspierającym”, np. z powodu niepłacenia składek (przypomnijmy: 5 zł miesięcznie). Skoro po powrocie Tuska liczba uprawnionych (bo nie nowych członków PO) wzrosła o ok. 5 tys., martwe dusze musiały przestać być martwe, zombie zaś znowu stały się ludźmi. Z tego powodu Tusk powinien być ogłoszony tym, który potrafi wskrzeszać i jest dziwne, że nikt z jego apologetów jeszcze tego nie zrobił. Wprawdzie wskazywałoby to na „cud” nad urną, ale umiejętność jest na tyle wyjątkowa, że może warto.

SLAŁOŚĆ PO, SLAŁOŚĆ TUSKA

Tuż po 23 października br., czyli po wyborach wewnętrznych w PO, wydawało się, że sukces Tuska jest ograniczony (99 proc. poparcia w Łodzi robi wrażenie chyba tylko na zwolennikach Kim Dzong Una). Tusk wskazał przecież wyraźnie, że na Pomorzu życzy sobie zwycięstwa Agnieszki Pomaski, na Dolnym Śląsku zaś Romana Szelemeja. Oboje jednak przegrali. A spośród pozostałych 14 szefów regionów połowa to mają być osoby, które Tuskowi średnio pasują. Ponieważ jednak Tusk musi być nie tylko zwycięzcą, ale i najsprytniejszym w Platformie, zaraz pojawiły się teorie, że faworyzując Pomaskę i Szelemeja, w istocie stawiał on na Mieczysława Struka i Jarosa. A nawet jak na Jarosa nie stawiał, to winnym przegranej Szelemeja jest Schetyna, który demonstracyjnie i specjalnie go poparł. A wiadomo, że jak Schetyna kogoś poprze, to ten przegra. Tuskowi to się nie zdarza.

Z kolei na Pomorzu Tusk nie mógł oficjalnie poprzeć marszałka województwa Mieczysława Struka, bo to on ciągnął samolot OLT, czyli niezbyt rozsądnie zachowywał się wobec aferałnej Amber Gold (po co przypominać tę aferę, jeśli jej odlamki trafiły też w Tuska – poprzez jego syna Michała). No i niektórym kojarzy się ze Sławomirem Nowakiem, a ten ma poważne zarzuty korupcyjne w Polsce i na Ukrainie. Z drugiej strony Tusk

nie mógł nie poprzeć Pomaski, skoro to była jedyna kobieta ubiegająca się o fotel szefowej wojewódzkiej struktury. Przegrała, a tym samym żadna kobieta w deklaratorywnie hiperkobiecej partii nie kieruje regionem. Tusk chce przykryć złe wrażenie deklaracją uczynienia wiceprzewodniczącymi partii pięciu kobiet (wedle statutu wiceprzewodniczących może być do 10). Ale zawód i niesmak pozostaną, bo to macho przewodniczący

Skoro po powrocie Tuska liczba uprawnionych do głosowania (bo nie nowych) członków PO wzrosła o ok. 5 tys., martwe dusze musiały przestać być martwe, zombie znowu zaś stały się ludźmi. Z tego powodu Tusk powinien być ogłoszony tym, który potrafi wskrzeszać

tych pięć kobiet wskazuje, czyli sprowadza je roli paprotek albo zawdzięczających swój status wyłącznie mężczyznom.

Jedynym właściwie sukcesem Tuska w wyborach w regionach było utracenie kandydatury pełniącego tę funkcję na Mazowszu eurodeputowanego Andrzeja Halickiego. Tusk tak mu obrzydzał kandydowanie, aż Halicki sam zrezygnował ze startu, popierając Jana Grabca, co przesadnie szczerze nie wyglądało. Halicki tak dobrowolnie zrezygnował na Mazowszu, jak Schetyna na Dolnym Śląsku. Ta analogia jest o tyle uzasadniona, że przez lata Halicki był uważany za jednego z najwierniejszych druhów Schetyny, a tych Tusk nie cierpiał.

Platforma Obywatelska, jaką zastał Tusk po powrocie, jest już inną partią niż w 2014 r., gdy ją pożegnał: znacznie gorzej zorganizowaną i mało skuteczną. Najbardziej dobitnym przejawem tej słabości PO był wybór Budki na przewodniczącego, który na to stanowisko

się kompletnie nie nadawał. Ale Budka dlatego został szefem partii, bo jest ona właśnie taka jak jej przewodniczący wybrany w styczniu 2020 r.: jałowa ideowo, rozleniwiona, mało sprawna, zmęczona, zajęta samą sobą. Mimo objęcia sterów przez Tuska i cudów nad urną w październiku br., Platforma jest wciąż partią najbardziej pasującą do Budki, a nie do Tuska. I nie do Schetyny. Może najbardziej pasuje do Rafała Trzaskowskiego, ale on nie zdecydował się nawet kandydować na przewodniczącego, choć wcześniej się odgrażał, że ma takie ambicje, że rzuci Tuskowi rękawicę. Nie rzucił, w czym przypomina wielu czołowych polityków tej formacji.

Dlatego Tusk od powrotu 3 lipca br. chce partię wstrząsnąć, na nowo nakręcając ją na agresję wobec PiS. Ale na groźnych minach i pomrukach Tuska się kończy, czego koronnym dowodem był wiec 10 października br. na pl. Zamkowym w Warszawie. Nie było na nim 100 tys. osób, jak chcą organizatorzy, ratusz oraz „Gazeta Wyborcza” z TVN, lecz pięć razy mniej, czyli ok. 20 tys. Te 100 tys. miało być pokazem siły miesiąc przed Marszem Niepodległości. A skoro była kłapa

i Marsz Niepodległości zapowiadał się na frekwencyjnie wyjątkowy, uruchomiono wszelkie siły i środki, żeby do tego nie dopuścić, czyli przede wszystkim uruchomiono warszawski ratusz, „niezawisłe” sądy oraz kampanię zniesławiania organizatorów i uczestników. Najwyraźniej mocarstwo na glinianych nogach, jakim jest Platforma Obywatelska, także pod przywództwem Tuska musi się uciekać albo do agresji i demagogii, albo do cudów, żeby podtrzymać, a właściwie na nowo wykreować wizerunek ugrupowania zdolnego do wygrania wyborów i dokonania politycznej zmiany. Tyle że agresja, demagogia i cuda dowodzą tego, iż PO jest właśnie niezdolna do demokratycznej rywalizacji, a kompleksy i wady zmuszają ją do korzystania z nadzwyczajnych środków. To jednak wyraz słabości, a nie siły. Także wyraz słabości Donalda Tuska, co ten chce wszelkimi sposobami przykryć. I nic tu nie zmienia 97,4 proc. poparcia w wyborach na szefa partii. Nic nie zmieniają też cuda nad urną.

Nie jesteśmy sami, Europa się zmienia politycznie. Możliwe są poważne zmiany w Hiszpanii, ale także we Francji czy Włoszech. W tym ostatnim kraju w sondażach prowadzi partia Braci Włochów, należąca do naszej grupy w europarlamencie, a więc do Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

Prawica musi się trzymać razem

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają
z **Kacprem Płażyńskim**,
posłem Prawa i Sprawiedliwości



Reprezentował pan PiS na zakończonej niedawno konwencji prawicowej partii Vox, która powstała w odpowiedzi na dominację lewicy na hiszpańskiej scenie politycznej. Czy to jest partia, z którą można wspólnie zmieniać Europę?

Kacper Płażyński: Ta konwencja pokazała coś bardzo ważnego: na Zachodzie, podobnie jak w Polsce, partia wyraziście prawicowa może być partią powszechną. Gdy Vox zaczynał swoją drogę kilka lat temu od niemal śładowego poparcia, później uzyskiwał po parę punktów poparcia, a obecnie chce na niego głosować 17–18 proc. Hiszpanów.

A więc to już nie jest coś sezonowego?
Oczywiście, że nie. Ale ważniejsze jest co innego: na konwencji, na której byłem, widać było szeroki przekrój społeczny: rolnicy, przedsiębiorcy, wolne zawody, prawnicy. Moim zdaniem to partia, która może walczyć o najwyższe stawki, o prowadzenie w sondażach. Sytuacja Hiszpanii, choćby gospodarcza, nie jest najlepsza, co także sprzyja zmianom.

Czy Vox to ugrupowanie, któremu bliżej do Konfederacji, czy do PiS? Często partie prawicowe idą zbyt skrajnym kursem, a tym samym skazują się na marginalizację.

Idee, które wybrzmiały na konwencji, są niemal tożsame z tym, co głosi Prawo i Sprawiedliwość. To umiarkowane skrzydło europejskiej prawicy. Lewica oczywiście zarzuca im, że są „frankistami”. To absurd. Więcej historycznych powiązań z epoką Franco mają już Partia Ludowa, czyli hiszpański odpowiednik naszej Platformy Obywatelskiej. Vox to nowa jakość. O ich sile świadczy to, że na wydarzenie w stolicy byli w stanie zmobilizować 20 tys. swoich członków i sympatyków, którzy przez dwa dni rozmawiali o przyszłości Hiszpanii i wspólnie się bawili.

Vox odniosło sukces, bo chadecy przesunęli się zbyt na lewo?

Tak, Partia Ludowa, czyli „popularsi”, jest w pewnym sensie dogadana z socjalistami. Te partie tworzyły duopol, na zmianę rządzący krajem. Teraz

ten system się chwieje. Dla konserwatystów na całym świecie to bardzo dobrze. To wszystko zaczęło się od naszego kraju. Polska jest dla tych ludzi symbolem, nadzieją, przykładem. Zresztą to dotyczy nie tylko Hiszpanii. Mieliśmy – razem z marszałkiem Ryszardem Terleckim i Radosławem Foglem – w zeszłym tygodniu spotkanie z delegacją młodych polityków konserwatywnych z Ameryki Środkowej, od Salwadoru po Gwatemalę. W ich oczach Polska to kraj, który był w stanie oprzeć się potężnym presjom, mimo braku wsparcia wielkiego biznesu czy mediów. Kraj, który coś ważnego dziś proponuje w sferze politycznej, kulturowej. To, co robimy, ma więc znaczenie nie tylko krajowe czy regionalne. To ma szersze echo.

PiS, delikatnie rzecz ujmując, nie ma dobrej prasy na Zachodzie, także w Hiszpanii. Jak na te, bardzo często mocno zakłamane doniesienia, patrzy Vox?

O partii Vox wiele gazet pisze równie źle jako o PiS, więc nie biorą tej nachalnej

propagandy na poważnie. Wiedzą, co się dzieje w Polsce, dobrze odczytują sens wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie relacji prawa krajowego i unijnego. Publicznie popierają nasz kraj, nie boją się narażać, by bronić i nas, i prawdy. To ważne, bo to pokazuje, że nie jesteśmy sami, że Europa się zmienia. Możliwe są poważne zmiany właśnie w Hiszpanii, ale także we Francji czy we Włoszech. W tym ostatnim kraju w sondażach prowadzi partia Braci Włochów, kierowana przez charyzmatyczną Giorgię Meloni, należąca do naszej grupy w Parlamencie Europejskim, a więc do Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Meloni też była na konwencji partii Vox?

Tak i to ona zapowiedziała wejście na scenę lidera Santiago Abascale. To ważny znak: prawica w Europie zmienia swoje podejście do współpracy międzynarodowej, przestaje się zamykać w swoich państwach. To są ruchy patriotyczne, które tradycyjnie skupiały się na swoich krajach. Teraz zaczynają rozumieć, że wyzwania są wyjątkowe, szczególne, globalne i trzeba ten izolacjonizm przełamywać. Komuniści, później lewica, zawsze eksportowali swoje idee. Dziś prawica musi się trzymać razem, żeby nie przegrać. I widać, że to działa, choćby w Parlamencie Europejskim.

W jakim sensie?

W czasie ostatniej debaty o praworządności w PE usłyszeliśmy znacznie więcej głosów poparcia dla Polski niż wcześniej. Powoli budujemy sieć wzajemnego wsparcia. To wymaga czasu, bo w polityce, tak jak w biznesie, kluczowe jest wzajemne zaufanie. Trzeba budować wzajemne relacje, przyjaźń, dobre emocje. Trzeba się spotykać, rozmawiać, rozumieć swoje intencje. Trzeba budować coś na wzór relacji polsko-węgierskich, które przecież nie

O hiszpańskiej partii Vox wiele gazet pisze równie źle jak o PiS, więc nie biorą tej nachalnej propagandy na poważnie. Wiedzą, co się dzieje w Polsce, dobrze odczytują sens wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie relacji prawa krajowego i unijnego. Publicznie popierają nasz kraj. Polska jest dla tych ludzi symbolem, nadzieją, przykładem

wzięły się znikąd. One wzięły się z wielu stuleci współpracy i solidarności.

I z tego, że byli ludzie, którzy to poletko pielęgowali.

To prawda. Polska, kraj, który jest liderem regionu i jednym z liderów Unii Europejskiej, musi inspirować innych w tej kwestii. I to robimy, także swoimi osiągnięciami. Dla partii Vox jesteśmy przykładem, że można przełamać potężny system. Że można wygrać, mając przeciwko sobie najsilniejsze media, wielki kapitał, presję międzynarodową. W sferze mediów przed 2015 r. PiS zwalczały niemal wszystkie ośrodki, dopiero powołane oddolnie media, takie jak np. tygodnik „Sieci”, odrobinię poprawiły tę sytuację. A mimo to kierowany przez Jarosława Kaczyńskiego obóz polityczny odniósł i odnosi ogromne sukcesy.

Na pewno ludzie Voxu pytają was, jak wygrywać? Jak przejść z poziomu silnej partii opozycyjnej do roli partii rządzącej? I co odpowiadacie?

Prawdę. Sprzyjały nam oczywiście fatalne rządy opozycji, ale kluczem okazała się wiarygodność. Na czele partii stoją ludzie, którzy nie zmieniają co chwilę poglądów, którzy mają solidne fundamenty, którzy mają pomysł na

Polskę. Umieliśmy też bezpośrednio dotrzeć do ludzi, do liderów opinii, do wójtów, kół gospodyń wiejskich. Przekonałiśmy ludzi, że to, co mówią wielkie telewizje, to nie jest prawda. Dzięki młodej, sprawnej ekipie, którą kierował Paweł Szefernaker, doskonale wykorzystaliśmy także internet. A później, po zdobyciu władzy, konsekwentnie realizowaliśmy swoje zapowiedzi.

Gdy PiS buduje relacje z partiami prawicowymi w Europie, tymi, które przełamują duopol socjalistów i byłych chadeków, słyszy, że rozmawia z „agenturą Putina”. Irzeczywiście, Salviniemu czy Le Pen zdarzało się chwalić reżim w Moskwie.

Jeśli w tej sprawie tak mocno śrubujemy standardy, to jak nazwiemy to, co zrobił były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder, który po odejściu z urzędu budował Nord Stream 2? Jak nazwiemy działania kanclerz Angeli Merkel, która zniszczyła ideę solidarności europejskiej w sferze energetyki? Jak nazwiemy postawę byłego premiera Francji François Fillona, który przyjął posadę od Gazpromu? I wiedzą panowie, że tę listę mógłbym długo ciągnąć.

Fot. Andrzej Wiktor





Przykra prawda brzmi następująco: generalnie zachód Europy jest prorosyjski. Nie doświadczyli ani komunizmu, ani rosyjskiego imperializmu, nie wiedzą, co ryzykują i jak to może się skończyć.

Czyli PiS ma przed sobą podwójną misję: musi budować sojusze, jednocześnie odciągając te partie od pokusy prorosyjskości?

Kto jak nie my, czyli umiarkowana polska prawica, ma odciągnąć choćby część Zachodu od Rosji? Nie możemy tego pola oddawać walkowerem. Dziś już wiemy, że główny nurt Europy Zachodniej też nie umie się przeciwstawić Putinowi, że co najwyżej zakłada bardziej eleganckie rękawiczki. Musimy wyjaśniać, przekonywać, pokazywać prawdę.

Vox to polityczne powstanie przeciwko dominacji marksizmu kulturowego w Hiszpanii, przeciwko ofensywie genderyzmu, LGBT i innych szaleństwu. Czy tę wojnę można wygrać?

Wierzę, że Zachód się podniesie, że wróci do korzeni, do tego, co w naszych dziejach piękne i prawdziwe. Dominacja sił wywodzących się często wprost

z komunizmu albo sił, które przyjęły marksizm kulturowy, nie będzie trwała wiecznie. Wiele zależy od nas: od naszej woli działania, naszej skuteczności, sprawności. I od tego, co wybierze młodzież. Młodzi ludzie są dziś bardzo spolaryzowani. Część idzie z radykalną lewicą, część z radykalną prawicą. Na tym polu też trzeba ciężko pracować.

Czy PiS wywalczy trzecią kadencję?

Sukcesy ostatnich sześciu lat są niepodważalne. Pokazują to wszystkie statystyki, liczby fakty, inwestycje. Ludziom obiektywnie żyje się dużo lepiej. Ale nie będę też ukrywał, że moim zdaniem PiS potrzebuje głębszej przebudowy wewnętrznej. Po dwóch już niemal kadencjach u wielu ludzi pojawiło się, co jest naturalne, wypalenie. Partia, która sprawuje władzę, ulega też różnym pokusom. I grozi nam, że za chwilę będziemy w takim narożniku, że nie będziemy mogli nazywać rzeczy po imieniu.

Co ma pan na myśli?

To, że grzechy PO nas w niczym nie usprawiedliwiają. Musimy się trzymać zasad. Polacy muszą widzieć w nas nową

jakość. Nie możemy w żadnym miejscu pozwalać na oczywiste patologie. Jeśli w strukturach PiS dochodzi do zjawisk niedobrych, a przy takiej skali to nieuniknione, to powinny one być natychmiast wypalane. Bez tego w ludziach, także wśród zwykłych członków PiS, zwyciężają zmęczenie i zniechęcenie. Myślę, że prezes Jarosław Kaczyński też to widzi, bo przecież zapowiadał zmiany. Pewne nowe rozdanie w partii jest w mojej ocenie konieczne. To nie jest łatwe, wciąż mamy pandemię, ale to jest wyzwanie, które powinno być podjęte. Jeśli będziemy umieli sami się naprawiać, to wygramy kolejną kadencję.

W wielkich miastach PiS może mieć więcej niż te zwyczajowe 25–30 proc.?

Dziś trudno sobie wyobrazić, byśmy w którymś z pięciu największych miast mogli zaważać o zwycięstwo. Takie są obiektywne warunki. Mimo że wielu obecnych gospodarzy miast sobie nie radzi. Np. prezydent mojego miasta, czyli Gdańska, Aleksandra Dulciewicz jest słabym prezydentem i kulturalowo jest krytykowana także przez swoje środowisko. Czy to oznacza szansę dla prawicy za dwa lata?

Być może. Wiele zależy od lokalnych struktur. Jeśli strzelamy sobie samobójce, to ciężko o wiarygodność. PiS ma wiarygodność na poziomie ogólnopolskim i dlatego w całym kraju wygrywa, ale musi dbać o wiarygodność także na poziomie lokalnym, miejskim, powiatowym. A jeśli walczymy z dziwnymi transakcjami władz miasta, za kilkadziesiąt milionów odkupujących francuską spółkę, której wygasa właśnie wielki kontrakt, to nie może być tak, że na 12 radnych PiS 10 głosuje przeciw, jedna osoba się wstrzymuje, a przewodniczący klubu nie bierze udziału w tym głosowaniu. Jak później przekonywać ludzi, że dzieje się coś złego?

W sumie wielkie miasta wydają się wciąż poza zasięgiem PiS?

W Gdańsku działają te same mechanizmy społeczne i psychologiczne co w Warszawie czy Krakowie, to są te same mody. O jednym trzeba pamiętać: bez tych 25–30 proc. głosów w wielkich miastach PiS nie mogłoby rządzić w kraju. Te wyniki też trzeba podnosić, o tych wyborców też trzeba dbać i zabiegać. Tym bardziej że dla PiS nie ma lepszych i gorszych miejsc, my dbamy o cały kraj, o wszystkich Polaków. Osobiście uważam, że ciężka praca i pokora to nie są wyświechtane słowa. Taką postawą, ciężkim wysiłkiem na dole, kontaktem z ludźmi, można rozbijać nawet bardzo grube mury.

Swego czasu tygodnik „Sieci” zapytał, rzecz jasna nieco prowokacyjnie: „Czy Gdańsk chce do Niemiec?”. Czy zjawisko fascynacji niemiecką, odwoływanie się do tradycji Wolnego Miasta zagraża spójności naszego państwa?

Nie sądzę, by to zagrażało spójności naszego państwa. Tak źle nie jest. Gdańszczanie czują się Polakami i chcą być częścią Polski. To, o czym panowie mówicie, to są przede wszystkim pewne kompleksy. Władza samorządowa na tym gra. Mocno stawia na kontakty z Niemcami, być może ważne są dla niej także nie-

mieckie pieniądze, które wspomagają niektóre inicjatywy polityczne. I rzeczywiście, dochodzi do kuriozów: na posiedzenia Rady Miasta Gdańska zapraszani się niemieccy politycy, którzy zachęcają samorzą-

Kto jak nie my, czyli umiarkowana polska prawica, ma odciągnąć choćby część Zachodu od Rosji? Nie możemy tego pola oddawać walkowerem. Dziś już wiemy, że główny nurt Europy Zachodniej też nie umie się przeciwstawić Putinowi, że co najwyżej zakłada bardziej eleganckie rękawiczki. Musimy wyjaśniać, przekonywać, pokazywać prawdę

dowców, by nie stosowali polskiego prawa, a wiceprezydent Piotr Grzelak twierdził, że „złe słowo Polaka” przyczyniło się do wybuchu II wojny światowej. W mojej ocenie to jednak władzom miasta bardziej szkodzi, niż im pomaga.

Pański śp. ojciec Maciej Płażyński był jednym z „trzech tenorów”, którzy założyli Platformę Obywatelską. Z tym nazwiskiem mógłby pan pewnie daleko zajść z PO.

Mój tata był bardzo wiarygodnym politykiem, w 1997 r. miał najlepszy wynik w kraju spośród wszystkich kandydatów do Sejmu. I dlatego właśnie, mimo że Platformę założył, to już po dwóch latach z niej odszedł. Już wówczas wiedział, że w PO nie powstanie silne, autentyczne skrzydło konserwatywne. Później popierał kandydaturę Lecha Kaczyńskiego na prezydenta, startował z listy PiS do Sejmu. Członkom Platformy raczej

nie zależy więc na przypominaniu osoby mojego taty.

Co było jego najważniejszym przesłaniem? Czy jego metoda polityczna jest dla pana ważnym wzorem?

Dla taty najważniejsza była państwowa postawa. I chcę, by w PiS było tego jak najwięcej. By rozumiano, że owszem, ludzie są bardzo ważni, ale bez silnych instytucji nie będzie silnego państwa. Musimy mieć silny aparat urzędniczy. Tu trzeba wzorować się na Niemcach; tam każdemu politykowi, niezależnie od opcji, w strukturach europejskich towarzyszą specjaliści, zawodowi urzędnicy skupieni na celach państwowych, a nie partyjnych. To są bardzo sprawne maszyny. Z tego wyrasta długofalowa siła państwa niemieckiego.

Śp. Maciej Płażyński zginął w Smoleńsku, pan jednak bardzo rzadko mówi o tej tragedii. Czy to świadomy wybór?

W chwili katastrofy smoleńskiej miałem 21 lat. Przeżywałem to wszystko bardzo, ale na swój sposób. To sprawa bardzo indywidualna. Czulem, że będzie bardziej wiarygodnie, jeśli w tych sprawach będą wypowiadały się osoby, które nie są osobiście z tą tragedią związane. Mam też w sobie obawę, że będzie to wykorzystane przeciwko mnie, iż pojawi się zarzut „kariery na śmierci ojca”. To oczywiście zawsze boli, mimo że nie jest to zarzut prawdziwy. Tata zawsze wierzył, że trzeba samemu zabiegać o swoją pozycję, a nie korzystać z różnego rodzaju dźwigni czy ułatwień. Jestem niezwykle dumny z taty, on jest moim politycznym idolem, ale idę swoją własną drogą.

Śledzi pan wyjaśnianie tragedii smoleńskiej?

Oczywiście, że tak. Liczę, że przyjdzie moment, gdy będziemy mogli powiedzieć: było tak i tak, i nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jedno jest dla mnie jasne: teza o „pancernej brzozie” to wersja dla ludzi bardzo naiwnych.



Wywracanie świata

Sylwia Spurek niedawno ogłosiła, że nieuchronnie zbliża się „koniec kotleta i rosolu” na naszych stołach. Tego rodzaju deklaracje lewicowej europosłanki wzbudzają zazwyczaj sakwy śmiechu.

Jednak ideologia, którą ona reprezentuje, nie ogranicza się wyłącznie do kulinariów. To zwiastun coraz bardziej totalitarnych zapędów lewicy, która za sprawą kolejnych zakazów i nakazów chciałaby ingerować w każdy aspekt życia ludzkiego



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Lewica nie potrafi przeskoczyć samej siebie. Zawsze wśród jej rozlicznych, niekiedy zresztą wartościowych nurtów pojawiają się zamordyści, którzy ogarnięci fanatyczną misją zbawienia świata gotowi są sprowadzić na ten świat największe możliwe katastrofy. Niekoniecznie są oni żądni krwi jak bolszewicy. Często po prostu najwyraźniej nie zdają sobie sprawy z konsekwencji własnych postulatów.

CZŁOWIEK JAK ZWIERZĘ

Dość charakterystycznie w tym kontekście przedstawia swoją drogę europosłanka Sylwia Spurek. Niestrudzona propagatorka weganizmu i „praw zwierząt” mówi w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”, że mocno wierzy w to, że „świat może funkcjonować bez przemocy. Od ponad dwudziestu lat zajmuję się prawami człowieka, zwłaszcza kobiet, kwestią przemocy wobec kobiet w każdym aspekcie, działam przeciw dyskryminacji i przemocy ze względu na płeć, wiek, orientację seksualną, pochodzenie narodowe i etniczne. I to działanie przeciwko przemocy ze względu na gatunek było naturalną konsekwencją mojej dotychczasowej drogi. Do grup, które wspierałam, w sposób naturalny, doszły zwierzęta pozaludzkie”.

Inaczej mówiąc, Sylwia Spurek doszła w pewnym momencie do wniosku, że można postawić znak równości pomiędzy dyskryminowanym człowiekiem a wykorzystywanym dla celów konsumpcyjnych zwierzęciem. To zapewne dlatego zamieściła kiedyś w internecie szokujący plakat przedstawiający krowy w pasiakach idące do komory gazowej. Bo przecież zwierzę – jak wynika z poglądów Sylwii Spurek – ma takie same prawa jak człowiek. Zabijanie go na mięso jest więc niejako nową odsłoną Holocaustu.

To zupełnie absurdalne z punktu widzenia kultury ludzkiej wywyższenie zwierzęcia jest jednocześnie bardzo niebezpieczne, ponieważ prowadzi do dehumanizacji człowieka. Bo skoro zwierzę jest równe człowiekowi, to znaczy również, że człowiek jest jak zwierzę (stad Spurkowy podział zwierząt na „ludzkie” i „pozaludzkie”). Tymczasem zwierzę można lubić, można się o nie troszczyć, chronić, ale nigdy nie będzie ono traktowane podmiotowo.

W ten sposób pani Spurek, wychodząc od walki z przemocą i troski o przesładowanych, dociera do punktu, w którym nie ma już człowieka i zamiast niego pozostaje wyłącznie zwierzę. Być może to naiwność, może fanatyzm, ale jego skutki mogą być groźne. Już są groźne.

NAJPIERW ZABIORĄ DZIECI

Tak jak u Orwella są zwierzęta równe i równiejsze. Lewicowi kapłani nowego świata są oczywiście równiejsi, bo to oni – który to już raz – wiedzą najlepiej, czego potrzebują inni i jak powinien wyglądać raj na ziemi. Wszyscy pozostali powinni głęboko wierzyć w lewicowe zbawienie i podążać ku świetlanej przyszłości. Kapłani chcą przecież zbawić każdego, nawet tego, który się opiera. Dlatego – oczywiście w trosce o dobro człowieka – muszą prowadzić go za rękę i kierować, jeśli trzeba, każdym aspektem jego życia. Jak dziecko.

Nic więc dziwnego, że lewica, zwłaszcza ta najbardziej postępową, w pierwszej kolejności zawsze walczy

Lewica, zwłaszcza ta najbardziej postępową, w pierwszej kolejności zawsze walczy o dzieci. Bo dzieci, jeśli je odpowiednio wcześniej wyrwać spod kurateli rodziców, są łatwe do uformowania

o dzieci. O nasze dzieci. Bo dzieci, jeśli je odpowiednio wcześniej wyrwać spod kurateli rodziców, są przecież łatwe do uformowania. Zaczęło się z dzisiejszego punktu widzenia niewinnie, bo od wspierania swobody obyczajowej w latach 60. na Zachodzie, choć i wcześniej bolszewicy chętnie brali dzieci „wrogów ludu” na „wychowanie” w domach dziecka. Dziś ta swoboda obyczajowa zamienia się w zinstytucjonalizowany bunt przeciwko rodzicom. Przesuwana jest w dół granica dorosłości, nawet jeśli nie formalnie, to faktycznie. Niezadowolone do krytycznej oceny rzeczywistości dzieci od małego pozbawiane są intelektualnej samodzielności i faszzerowane ideologicznymi bredniami podawanymi w lekkostrawnej popkul-

turowej papce. Narusza się ich tożsamość płciową i niszczy w ten sposób nieuformowaną jeszcze psychikę. Autorytetami nastolatków stają się samowolniczy, przekupieni influencerzy, często również nastoletni, a przez to bardziej podatni na manipulację i zarazem bardziej wiarygodni dla młodych odbiorców. Przekaz jest bardzo prosty i opiera się na pobudzaniu naturalnego generacyjnego buntu. Tyle że ten bunt przeciwko pokoleniu rodziców i wyznawanym przez nich zasadom jest sterowany.

Treści, które dzięki rewolucji internetowej mniej lub bardziej subtelnie podsuwa dziś młodzieży wielki przymysł medialny, zachęcają do wyzwolenia się spod wszelkich zasad. Wystarczy obejrzeć seriale dla młodzieży, posłuchać tekstów piosenek czy zajrzeć do rozmaitych TikToków. Pozytywnymi bohaterami są dziś chłopcy, którzy stali się dziewczynkami (lub na odwrót), czarnoskórzy, lesbijki, zniewieściali młodzieńcy, a w ostateczności pary żyjące w wolnym związku. Z kolei szwarccharakterami są zawsze biali mężczyźni, patriarchalne, a często po prostu żyjące nudnym, monotonnym życiem rodziny oraz oczywiście katoliccy księża – zwykle pedofile. Nic dziwnego, że wielu młodych ludzi jest całkowicie zagubionych. Zwłaszcza jeśli ich rodzice, goniący za pieniędzmi lub po prostu zbyt zapracowani,

nie mają już czasu, siły lub wystarczającej świadomości, aby przeciwstawić się nadciągającym zagrożeniom.

Niedawno na łamach „Kultury Liberalnej” ukazał się artykuł, którego autorki w afirmatywnym tonie (w końcu to liberalny periodyk) opisywały klasę w pewnej wielkomińskiej szkole społecznej, w której wszystkie dziewczynki, oprócz jednej, nazwanej w artykule Ulą, zadeklarowały się jako nieheteronormatywne (biseksualne, homoseksualne i niebinarne). „Ależ ta Ula jest odważna! Bo musiało wymagać odwagi, żeby powiedzieć całej grupie, że jest się inną... hetero kobietą” – pisała autorki artykułu. Nieoczekiwanie więc dziwadłem w tej szkole okazała się 14-latką, która odczuwa zainteresowa-

nie płcią przeciwną. I być może chciałaby w przyszłości założyć rodzinę.

Takie szkoły nie są jeszcze w Polsce typowe, ale to przecież kwestia czasu. Nieprzypadkowo lewica domaga się dostępu do szkół i ich ideologizacji w genderowym duchu. Oczywiście pod pretekstem tolerancji i obrony praw człowieka.

KLIMAT DLA INŻYNIERII

Młody człowiek jest formatowany przez lewicę po to, aby stał się jej janczarem na wojnie z ideologicznym wrogiem. Wrogiem jest ciągle ten sam – to przeciwnicy zmian – zmienia się jedynie pole bitwy. Dziś rozgrywa się ona wokół walki w obronie klimatu. Nastolatki są straszone zmianami klimatycznymi i dość powszechnie rezygnują z diety mięsnej. Walka z ociepleniem klimatu ma także zniechęcić młodych ludzi do rodzicielstwa i – co za tym idzie – do zakładania rodzin. Bo przecież każdy nowy człowiek to kolejny groźny dla środowiska ślad węglowy.

Umiejętne podsycane obawy pełnią tu dwojaką funkcję. Z jednej strony są zarzutem w stosunku do pokolenia rodziców, że „zawłaszczyło” i „zniszczyło” planetę, zaniebując w ten sposób bezpieczeństwo potomnych. Z drugiej strony strach wciąga młodych w orbitę lewicy, która – gdy ich rodzice „zawiedli” – przejmuje rolę autorytetu jako jedyna siła, która jest w stanie uchronić świat przed nadciągającą z winy poprzednich pokoleń katastrofą.

Koncept katastrofy klimatycznej jest – jak wiele na to wskazuje – oparty na rzeczywistych zmianach klimatu. Zostały one jednak zgrabnie wykorzystane jako pretekst do zakrojonej na wielką skalę inżynierii społecznej. Gdy lewica zbuduje nowe społeczeństwo, klimat wróci do normy i zapanuje raj na ziemi. Na razie jednak konieczne są wyrzeczenia i rewolucja cywilizacyjna.

Przed wszystkim człowiek nie jest niczym więcej niż zwierzęciem i nie ma żadnego powodu, aby być traktowany lepiej niż każde zwierzę. Musi więc w imię solidarności międzygatunkowej oraz dla zmniejszenia śladu węglowego

ustąpić miejsca innym organizmom. Przede wszystkim powinien ograniczyć swoją liczebność, a swój popęd seksualny kontrolować środkami antykoncepcyjnymi i aborcją. Dzieci powinno się rodzić jak najmniej i niewykluczone, że w przyszłości każde narodzone dziecko będzie obłożone rodzajem podatku, który będą musieli płacić jego rodzice, swego rodzaju odwrotnością 500+. Nie każdego będzie na to stać, uboższym pozostanie aborcja, zapewne dotowana lub bezpłatna – wszak chodzi o dobro planety.

Wywyższenie zwierzęcia jest niebezpieczne, ponieważ prowadzi do dehumanizacji człowieka. Bo skoro zwierzę jest równe człowiekowi, to znaczy również, że człowiek jest jak zwierzę

Świadoma polityka depopulacyjna – niczym dżuma – doprowadzi do gwałtownego spadku liczby ludności europejskiej, ale dzięki temu znajdzie się więcej miejsca dla imigrantów z uboższych regionów świata. Taką wielokulturowość lewica powita z zadowoleniem, bo będzie to oznaczać dalsze osłabienie dawnego społeczeństwa. Kłopotem może się okazać „niekompatybilność” imigrantów z lewicowym modelem życia, ale tym nikt się na razie nie przejmuje.

W świecie bez dzieci rodzina straci jakiejkolwiek znaczenie. Celem człowieka będzie praca i konsumpcja na własne potrzeby. Zwłaszcza że życie stanie się droższe, bo ochrona klimatu wymaga nowych, coraz to kosztowniejszych technologii: energii odnawialnej, wysoko przetworzonej żywności zastępującej mięso i nabiał oraz zupełnie nowych materiałów budowlanych. Zniknie tradycyjne rolnictwo i hodowla zwierząt, a wraz z nimi wiejskie społecz-

ności. Jak zapewnia Sylwia Spurek, zakazane będzie nawet wędkarstwo, bo przecież zwierzęta nie mogą służyć zaspokajaniu jakichkolwiek potrzeb człowieka.

NIE DO ŚMIECHU

Na tych zmianach, jeśli do nich dojdzie, nie wszyscy stracą. Zawsze jest bowiem grupa, która zyskuje kosztem innych. W tym przypadku to wielcy macherzy biznesu, głównie z Ameryki, którzy łączą zarabianie pieniędzy z ideologią.

Przebudowa społeczeństwa daje im możliwość wysforowania się daleko przed konkurencję i wielokrotnienia zysków. Kontrolując przepływ informacji, są w stanie wypromować dowolny produkt i dowolną ideologię. A jednocześnie zniszczyć potencjalnych oponentów.

Kto skusiłby się dziś na piekielnie drogą energię odnawialną czy na kosztowne i mało praktyczne samochody elektryczne, gdyby nie klimatyczny przymus? Kto kupiłby kotlety ze sklonowanego mięsa z próbki albo jajecznicę z alg, gdyby nie ideologiczna presja weganizmu? A jeżeli nawet ktoś miałby opory, to do zmiany przyzwyczajen szybko zmuszą go opłaty emisyjne doliczone do ceny paliwa lub wysokie podatki nałożone na tradycyjną żywność. W ten sposób kreuje się nowe rynki i zarazem unicestwia dotychczasowe, razem z konkurencją, która nie nadążyła za zmianami.

Na bazie nowych technologii tworzą się wielkie monopole, wobec których jesteśmy jako społeczeństwa bezradni.

Lewicowi radykałowie wraz z wielkim biznesem zaprzęgają dziś nieświadomych manipulacji młodych ludzi do budowy ponurego świata wielkich nierówności ekonomicznych i społecznych, którym będzie towarzyszyć ideologiczny i polityczny zamordyzm. Nie inaczej robi Sylwia Spurek, która walczy dziś z przemocą oraz z kotletami i rosołem, ale – podobnie jak wielu innych lewicowców w przeszłości – chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, co jest na końcu drogi, po której kroczy. Naprawdę nie powinno nam być do śmiechu. 



Sztuka budowania piramidy

Kiedy w Hiszpanii zatrzymano Joannę S. (na zdj.), organizatorkę finansowej piramidy, sprawiała wrażenie zaskoczonej. A była przecież najbardziej poszukiwaną Polką nie tylko przez nasze służby. Ale to dopiero początek długiej batalii, która nie musi się zakończyć sukcesem. Nie wiadomo, gdzie są pieniądze wyłudzone od klientów i czy zostaną odnalezione



MAJA NARBUTT

To był biznes dla wtajemniczonych, którym obiecano wielkie i szybkie zyski. Nie było reklam w mediach, do klientów docierano przez marketing szeptany – tak zaczynał się artykuł w tygodniku „Sieci”, w którym w styczniu 2018 r. opisałam

prowadzoną przez Joannę S., Polkę ze szwedzkim paszportem, Galleri New Form. Stworzyła zaskakujący mechanizm inwestowania – klienci kupowali dzieła sztuki, a Joanna S. zobowiązywała się odkupić je po pół roku. Ściśle rzecz biorąc, w większości przypadków nigdy nie dostali rzeźby ani obrazu, a jedynie certyfikat zaświadczaający, że są ich właścicielem.

W tej historii od początku do końca jest sporo niejasnych i tajemniczych okoliczności. Zdumiewające jest nawet to, że poszukiwana Europejskim Nakazem Aresztowania i czerwoną notą Interpolu Joanna S. długo przebywała w Hiszpanii – kraju, którego teoretycz-

nie powinna starannie unikać, bo miała tam mnóstwo znajomych, dom w Marbelli i galerię sztuki.

– Sprawia to wrażenie, jakby tak naprawdę poważnie się nie ukrywała, a jedynie postanowiła spokojnie wszystko przeczekać – przyznaje jeden z adwokatów, który reprezentował poszkodowanych.

Jeśli posiada się elementarną wiedzę o tym, gdzie ukrywają się poszukiwani przestępcy, to oczywiste jest, że kraj Unii Europejskiej nigdy nie jest takim miejscem. Preferowane są kraje, z którymi nie ma umowy o ekstradycji, zwłaszcza Ameryki Łacińskiej, jak Peru czy Argentyna.

SZTUKA UKRYWANIA

Znalezieniem Joanny S. i jej syna Miaka S., który razem z nią został zatrzymany przez hiszpańską policję, od dawna zainteresowani byli nie tylko Prokuratura Regionalna w Białymstoku, która prowadzi dochodzenie, ABW czy szwedzki syndyk. Szukali jej także wierzyciele – a niektórych można zaliczyć do kategorii naprawdę niebezpiecznych ludzi.

Galleri New Form funkcjonowała bowiem nie tylko jako piramida inwestycyjna, lecz również jako pralnia pieniędzy. Wkładali do niej gotówkę także przestępcy, niekoniecznie z kategorii białych kolarzyków.

Z moich informacji wynika, że prawdopodobnie niektórzy z nich zdawali jako się z Joanną S. skontaktować i odzyskać depozyt.

– Doświadczenie uczy, że osoba poszukiwana może się ukrywać skutecznie, dopóki ma duże pieniądze. Kiedy się kończą, najczęściej wpada – mówi mi detektyw zajmujący się poszukiwaniem wierzycieli.

Trudno sobie jednak wyobrazić, że Joannie S. mogły skończyć się pieniądze. Stanisław Żaryn, rzecznik prasowy ministra koordynatora służb specjalnych, potwierdza, że w grę może wchodzić nawet miliard złotych, który zdołała przejąć od klientów. Odnalezienie go powinno być teraz priorytetem.

Jak wynika z Pandora Papers, czyli zbioru poufnych dokumentów, które wyciekły z rajów podatkowych, Joanna S. zdołała przetransferować znaczne kwoty przez założone na Cyprze spółki.

Dotychczas prokuratura zdołała zabezpieczyć sumę bardzo skromną w stosunku do tego, co stracili klienci – ok. 22 mln zł. Ściągnięto je głównie z majątku czterech koordynatorów Galleri New Form, czyli najbliższych współpracowników Joanny S. To właśnie oni pomogli jej już w 2012 r. rozkręcić biznes w Polsce i prowadzili galerie w Trójmieście, Białymstoku i Warszawie. Usłyszeli już zarzuty i prawdopodobnie spotka to jeszcze inne osoby, bo, jak podkreśla prokuratura, „sprawa jest rozwojowa”.

Polski wymiar sprawiedliwości czeka teraz batalia ekstradycyjna.

– Mamy świadomość, że nie będzie łatwo i Joanna S. oraz jej syn nie poddadzą się bez walki. Zrobią wszystko, by utrudnić nam działania – przyznaje Stanisław Żaryn.

Nie trzeba wróżyć z fusów, by przewidzieć prawdopodobny scenariusz. Joanna S. i jej syn będą się odwoływać, jeśli zapadnie postanowienie o ekstradycji. Zapewne będą argumentować, że nie można im zagwarantować w Polsce uczciwego procesu, co ostatnio stało się modne wśród ukrywających się za granicą przestępców.

Mogą wyciągnąć to, że w Galleri New Form zainwestował Marian Banaś, ówczesny wiceminister finansów i później-

Finansowy przekręt Joanny S. był skonstruowany znakomicie. To było wręcz arcydzieło marketingowej socjotechniki. Nie tylko mamiono inwestorów obietnicą wielkich zysków, sięgających 30 proc. rocznie, ale dowartościowywano tym, że dołączyli do elitarnego grona wybrańców

szy szef NIK, który popadł teraz w niełaskę rządzących. Inwestowanie przez wiceministra finansów w firmie, która była na liście ostrzeżeń Komisji Nadzoru Finansowego, jest oczywiście bulwersujące, ale to zupełnie inna historia.

W końcu jednak do ekstradycji Joanny S. i jej syna z pewnością dojdzie.

– Prokuratura zrobi wszystko, by zapadł sprawiedliwy wyrok. A sprawiedliwy oznacza w tym wypadku surowy. Z pewnością będziemy wnioskować o górną granicę kary, czyli 15 lat. Będziemy też czuwać, gdyby wnioskowano o przedterminowe zwolnienie i zaprotestujemy – zapewnia mnie prokurator

Paweł Sawoń, rzecznik Prokuratury Regionalnej w Białymstoku.

ELITY I ZŁA ENERGIA

– Kiedy Joanna zaczęła działać w Polsce, mówiła pośrednikom, że całe przedsięwzięcie ma być elitarne. Mielśmy się wystrzegać ludzi, którzy nie są na poziomie, bo uważała, że mają „złą energię”. Przestrzegała, że takie osoby mogą się awanturować o pieniądze albo upić na imprezie i wywołać skandal. Za każdym razem chciała wiedzieć, czym zajmują się pozyskani przez nas klienci – mówi mi jeden z pośredników współpracujących od samego początku z Joanną S.

Biznesmeni, właściciele kancelarii prawnych, celebryci stanowili idealny cel przestępczych działań Joanny S.

Kiedy w opublikowanym przed laty artykule ujawniłam, że w Galleri New Form zainwestowały m.in. aktorki Jolanta Fraszyńska i Grażyna Wolszczak, media zaczęły się ekscytować, że powstała piramida finansowa, której klientami są osoby z pierwszych stron gazet. Ale to nie do końca opisuje sytuację – większość inwestorów to osoby mało znane, a ich jedynym wyróżnikiem jest to, że miały czasem zaskakująco duże pieniądze.

– Zgłosiło się do mnie małżeństwo. Nie należy oceniać książki po okładce, ale wydało mi się, że mogli zainwestować jakieś 30 tys. Długo nie chcieli mówić, ile stracili, w końcu przyznali: 10 mln, w tym pięć swoich, a pięć dalszej rodziny – opowiada mi windykator, który określa się jako specjalista od długów trudnych.

Historia Galleri New Form pokazuje, że w Polsce jest spora grupa ludzi skłonnych zainwestować duże sumy w ryzykowne przedsięwzięcia. Kiedy w biznes Joanny S. zainwestowały już finansowe elity Trójmiasta, Warszawy i Białegostoku – czyli miast, gdzie znajdowały się jej galerie – pośrednicy zaczęli przeczesywać mniejsze miejscowości. Docierali do zamożnych ludzi i czasem skłaniali ich do inwestowania w zaskakujący sposób.

– Bywały sytuacje, gdy ktoś, kogo upatrzone sobie jako inwestora, sam

wręcz prosił, by pozwolono mu wpłacić pieniądze. Nie wiedział, że wpadł w pułapkę. Wyglądało to tak: w restauracji, w której jadł obiad, przy sąsiednim stoliku dwaj panowie rozmawiali o świetnym interesie, na którym zarobili. W końcu nie wytrzymał, podszedł do nich, przedstawił się i powiedział, że bardzo przeprasza, ale przypadkiem podслушаł rozmowę i też byłby zainteresowany – opowiada jeden z moich rozmówców.

Finansowy przekręt Joanny S. był skonstruowany znakomicie. To było wręcz arcydzieło marketingowej socjotechniki. Nie tylko mamiono inwestorów obietnicą wielkich zysków, sięgających 30 proc. rocznie, ale dowartościowywano tym, że dołączyli do elitarnego grona wybrańców. Nieoczekiwanie okazało się, że uczestniczą w czymś, co wydawało się niektórym spełnieniem marzeń o wielkim świecie – bywali na imprezach, czasem ocierali się o osoby, które dotąd mogli zobaczyć tylko na telewizyjnym ekranie.

Zainteresowanych inwestorów Joanna S. zapraszała albo do swojej galerii w Szwecji, albo na późniejszym etapie działalności do hiszpańskiej Marbelli. Płaciła za hotel, pokrywała koszty pobytu. Wiele osób jechało tam z czystej ciekawości i było nastawionych sceptycznie. Ale wracały przekonane, że zyskały wielką szansę.

NA OBCYM TERYTORIUM

Joanna S. zazwyczaj nie mówiła o pieniądzach. Od tego byli inni, którzy potem znów przejmowali pałeczkę. Ona mówiła o sztuce, tej przez wielkie „s”. O europejskich współczesnych artystach tworzących w natchnieniu, o ich warsztacie i tym, skąd czerpią inspirację. Opowiadała, jak od dzieciństwa wyrastała w atmosferze obcowania ze

Pejzaż z przerażonym inwestorem

To był biznes dla zainteresowanych, którzy obawiali się i wolać zyski. Nie było ryzyka w nauce, do którejś decyzji o inwestycji w sztukę. Elity finansowe z Trójmiasta, Warszawy, Białegostoku i innych miast zaawansowały oferty i nie mogli ich odpuścić. Ciepło finansistów, bo nie przynosiły im zysku – oznaczałoby to zignorowanie ich i obrażenie finansistów.



JOANNA S.

Przez wiele lat Joanna S. nie miała w życiu większych sukcesów. W 1998 roku, kiedy miała 25 lat, wyjechała do Szwecji, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2000 roku, kiedy miała 27 lat, wyjechała do Hiszpanii, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2002 roku, kiedy miała 29 lat, wyjechała do Polski, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2004 roku, kiedy miała 31 lat, wyjechała do Szwecji, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2006 roku, kiedy miała 33 lat, wyjechała do Hiszpanii, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2008 roku, kiedy miała 35 lat, wyjechała do Polski, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2010 roku, kiedy miała 37 lat, wyjechała do Szwecji, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2012 roku, kiedy miała 39 lat, wyjechała do Hiszpanii, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2014 roku, kiedy miała 41 lat, wyjechała do Polski, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2016 roku, kiedy miała 43 lat, wyjechała do Szwecji, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2018 roku, kiedy miała 45 lat, wyjechała do Hiszpanii, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2020 roku, kiedy miała 47 lat, wyjechała do Polski, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2022 roku, kiedy miała 49 lat, wyjechała do Szwecji, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2024 roku, kiedy miała 51 lat, wyjechała do Hiszpanii, gdzie zaczęła działać jako artystka.

Finansową piramidę Joanny S. opisaliśmy już w styczniu 2018 r.

sztuką, jej ojciec był przeciwko marzom. Wywierała wręcz piorunujące wrażenie. Niektórzy płakali ze wzruszenia – po raz pierwszy w życiu ktoś apelował do ich duchowości, uznał, że są wrażliwi i wszystko rozumieją i doceniają. Nawet dzisiaj oszukani klienci potrafią odtworzyć jej słowa, wryły się im w pamięć. Wierzyli jej bez zastrzeżeń, choć później się okazało, że zmyśliła nawet swój życiorys. W rzeczywistości po maturze wyjechała do Szwecji z Wadowic, a jej rodzina nie miała nic wspólnego z rynkiem sztuki.

– Kiedy byłem w jej willi w Marbelli, odebrała telefon. Powiedziała mi później, że dzwonił król Hiszpanii, był zainteresowany pewną rzeźbą – opowiadał mi biznesmen, który zainwestował w jej biznes kilkanaście milionów. Powinna mu się wtedy zapalić lampka ostrzegawcza: sytuacja wyglądała jak podręcznikowa ilustracja tego, jak działają oszuści. Ale klienci Joanny S. słuchali jej opowieści podekscytowani tym, że dzieła sztuki kupują od niej Barack Obama, Zlatan Ibrahimović i inne znane osobistości i utwierdzali się w przekonaniu, że dobrze trafili.



Przedstawiciele wiedeńskich i warszawskich galerii sztuki, w których wystawiano dzieła Joanny S. Należały do nich: Galeria Sztuki Współczesnej w Warszawie, Galeria Sztuki Współczesnej w Krakowie, Galeria Sztuki Współczesnej w Łodzi, Galeria Sztuki Współczesnej w Poznaniu, Galeria Sztuki Współczesnej w Wrocławiu, Galeria Sztuki Współczesnej w Gdańsku, Galeria Sztuki Współczesnej w Katowicach, Galeria Sztuki Współczesnej w Lublinie, Galeria Sztuki Współczesnej w Olsztynie, Galeria Sztuki Współczesnej w Rzeszowie, Galeria Sztuki Współczesnej w Szczecinie, Galeria Sztuki Współczesnej w Toruniu, Galeria Sztuki Współczesnej w Warszawie, Galeria Sztuki Współczesnej w Wrocławiu, Galeria Sztuki Współczesnej w Gdańsku, Galeria Sztuki Współczesnej w Katowicach, Galeria Sztuki Współczesnej w Lublinie, Galeria Sztuki Współczesnej w Olsztynie, Galeria Sztuki Współczesnej w Rzeszowie, Galeria Sztuki Współczesnej w Szczecinie, Galeria Sztuki Współczesnej w Toruniu.

W 2018 roku, kiedy miała 45 lat, wyjechała do Hiszpanii, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2020 roku, kiedy miała 47 lat, wyjechała do Polski, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2022 roku, kiedy miała 49 lat, wyjechała do Szwecji, gdzie zaczęła działać jako artystka. W 2024 roku, kiedy miała 51 lat, wyjechała do Hiszpanii, gdzie zaczęła działać jako artystka.

Zaskakujące, że nawet osoby, które na co dzień działały w brutalnym świecie podejrzanych interesów, wierzyły Joannie S.

Z pewnością posiada niezwykle talenty interpersonalne, co podkreślają wszyscy, którzy ją poznali. Ale też zadziałał fakt, że jej klienci nagle znaleźli się na nieznanym dla siebie gruncie. Stracili czujność, bo wydawało im się, że w świecie sztuki obowiązują inne, nie tak drapieżne reguły.

Kiedy opowiadałam znanym marzszandom, ile pieniędzy zainwestowali klienci Joanny S. w dzieła sztuki, których nawet nie dostali, a tylko obejrżeli w katalogu, łapali się za głowę. Polka ze szwedzkim paszportem naciągnęła klientów na sumę wielokrotnie większą niż – zgodnie z branżowym portalem Artinfo.pl – wynoszą roczne obroty całego rynku sztuki w Polsce.

Problem polega na tym, że wielu ludzi, którzy zapłacili Joannie S. za certyfikat posiadania współczesnej rzeźby czy obrazu, wcześniej nigdy nie przepięło nawet progu galerii sztuki. Nieśmiesznie im się, że będą w sztuce inwestować.

To, co proponowała Joanna S., było zupełnie innym, równoległym rynkiem dzieł sztuki.

– Moi klienci mogli równie dobrze inwestować w działki czy coś, co gwarantowałoby dużą stopę zwrotu. Wybrali ofertę, która wydawała się atrakcyjna, a przy tym pewna – mówił mi jeden z rozmówców, który określa się jako trener inwestycyjny.

AKCJA EWAKUACJA

Bardzo długo klienci Joanny nie mogli uwierzyć, że zostali oszukani. Nawet kiedy w 2017 r. cała piramida zaczęła się sypać i nie mogli wycofać zainwestowanych środków, ludzili się, że pieniądze w końcu do nich wrócą.

Joanna S. przyjęła przemysłaną strategię – nie zerwała kontaktów, nie zamknęła galerii, co wywołałoby panikę. Kontaktowała się z klientami i coraz bardziej zdeenerwowanymi agentami przez pośredników. Tłumaczyła, że mają zachować spokój i absolutnie nie nagłaszać sprawy.

To bardzo niezwykle, ale cała historia Galleri New Form, funkcjonującej na polskim rynku też jako Timeless Gallery, nie wyciekła wówczas do mediów. Tylko na jednym blogu i niszowym portalu pojawiły się o niej wzmianki.

Przedstawiając wyniki dziennikarskiego śledztwa w artykule, który ukazał się tygodniku „Sieci” w styczniu 2018 r., zastanawiałam się, jaka będzie reakcja Joanny S. Była anemiczna – wydała oświadczenie, że jej przedsięwzięcie nie jest piramidą finansową, a kłopoty finansowe są przejściowe. Żadnego grożenia prawnikami, wezwań do zaprzestania naruszenia dóbr osobistych.

Wtedy stało się oczywiste, że Galleri New Form z pewnością jest piramidą finansową, a Joanna S. kupuje sobie czas, by bezpiecznie wytransferować środki i zniknąć.

– Prokuratura miała podane na tacy fakty. Jeszcze w 2017 r. dałem jej dokumenty, screeny, a nawet nagrania. Dostała m.in. dowody, że Joanna S. sprzedaje dzieła sztuki, które do niej nie należą – twierdzi jeden z moich informatorów. Na własną rękę dotarł do artysty, którego dzieła, a właściwie certyfikaty własności, sprzedawa in-

westorom. Okazało się, że rzeźby stoją w pracowni w Szwajcarii, rzeźbiarz nie ma pojęcia o transakcji, a rzeczywista wycena rzeźb jest wielokrotnie niższa niż cena, za którą zaoferowała ją klientom Joanna.

To było klasyczne oszustwo. Nie potrzeba było żmudnego rozkładania na czynniki pierwsze mechanizmu działania przedsięwzięcia Joanny S. i ekspertyz, by to ustalić.

Ale dopiero w lutym 2018 r. agenci ABW wkroczyli do jednego z lokali w Trójmieście, związanych z działalnością Joanny S. i zabezpieczyli 5 mln zł oraz sztabę złota i monety kolekcjonerskie. A nakaz aresztowania i list gończy wydano za nią dopiero pod koniec maja 2018 r., gdy zdążyła rozpląnąć się bez śladu.

Rozpląnęła się bez śladu przynajmniej oficjalnie. Wydaje się, że co najmniej kilka osób mieszkających na Polsce utrzymywało z nią kontakt. Nie musiały oczywiście wiedzieć, gdzie się znajduje, jeśli kontaktowały się z nią przez media elektroniczne. Jednak było to zapewne do namierzenia przez służby, tym bardziej że sprawa powinna mieć z uwagi na skalę oszustwa najwyższy priorytet.

EMPATIA I WSTYD

Mieszkająca w Trójmieście przyjaciółka Joanny S. jest zaskoczona, gdy do niej dzwonię. Ale przynajmniej z początku chętnie rozmawia. – To okropne, że tak osądzają Joannę. Przecież każdy, kto zajmuje się biznesem, wie, że coś może się nie udać. Joanna to taki dobry człowiek, jest głęboko religijna. A ludzie zupełnie nie mają empatii – ubolewa Marzena M.

Trochę mnie zatyka. Kiedy rozmawiałam ze znajomymi Joanny S. na samym początku afery, niektórzy żalcząc jej bronili, sugerując wręcz, że nie powinnam pisać o sprawie. Potem się okazało, że są z nią ściśle powiązani biznesowo i czerpią zyski z jej działalności. Ale trudno było się spodziewać, że i teraz ktoś będzie bronił twórczyni piramidy finansowej.

Pewna rzecz wydaje się ciekawa – gdy pytam, kiedy przyjaciółka Joanny ostatnio się z nią kontaktowała,

słyszę enigmatyczne „dość dawno”. Tę formułę słyszę i od innych osób. Żadnych kategoriycznych zapewnień, że był to jeszcze przed wystawieniem nakazu aresztowania.

Wydaje się, że krąg ludzi związanych z Joanną S. nigdy nie miał poczucia szczególnego dramatyzmu sytuacji. Mogli też sądzić, że sprawa przyschła i nie będzie żadnych rozstrzygnięć.

Dużo osób chce zapomnieć o sprawie Galleri New Form. Przede wszystkim pośrednicy, którzy znajdowali klientów, zapewniając, że to świetna inwestycja.

– Czuję wstyd. Wstyd, że sam dałem się tak oszukać, uwierzyłem Joannie S. Chcę to już definitywnie zamknąć – mówi mi pośrednik z Warszawy, który działał w kręgu warszawskich elit artystycznych.

Nie on jeden szybko postanowił przejść nad aferą do porządku dziennego. Przyczyny są całkiem prozaiczne – osoby, które zachęcały do inwestycji w dzieła sztuki, zaangażowały się już w inne projekty biznesowe. Nie chcą, by nowi klienci kojarzyli ich z piramidą finansową, byłaby to fatalna rekomendacja.

Zapomnieć o Joannie S. pragną też niektórzy klienci – oczywiście ci, którzy na to stać. Pogodzenie ze stratą, nawet bardzo dużą, znacznie łatwiej przychodzi tym, którzy wciąż obracają pieniędzmi, niż tym, którzy utopili wszystkie długo zbierane oszczędności.

Teoretyczne Joanna S. celowała w szeroko rozumiane elity, przynajmniej te finansowe. Pod koniec jej działalności coś się jednak zasadniczo zmieniło. Można odnieść wrażenie, że wręcz łapano przypadkowe osoby, tak jakby chciano zagarnąć jak najwięcej pieniędzy, zanim wszystko się skończy.

– Straciliśmy wszystkie oszczędności, które gromadziliśmy przez ponad 20 lat, dołożyliśmy nawet pieniądze z komunii syna. W sumie 250 tys. Mąż jest kierowcą tira, wciągnęła go właścicielka firmy spedycyjnej. Potem przestała odbierać telefony. Dowiedziałam się, gdzie chodzi do kościoła, podeszłam do niej po mszy. Ludzie patrzyli, a ona mówiła: „Nie znam tej kobiety, to jakaś wariatka, proszę wezwać policję”. No to strzeliłam ją w pysk i poszłam – opowiada pani Janina z Białegostoku. ▀

Trwa obrzydzanie polskości

Dziś mamy do czynienia z głębszym i szybciej postępującym zerwaniem cywilizacyjnym niż w czasach PRL. Mamy do czynienia z odrzuceniem absolutnie wszystkiego, co było choćby przed rokiem nawet 2015. Unieważnia się przeszłość. I to jest dla mnie zerwanie dużo głębsze niż to, którego dokonała PRL – mówi prof. **Andrzej Nowak**, historyk, publicysta, w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Dziwnie pan profesor w swojej najnowszej książce zestawiał w pary postacie polskiej historii. Zbigniew Herbert z Andrzejem Wajdą? Jan Paweł II z Czesławem Miłoszem?

Andrzej Nowak: Miłosz chciał odgrywać rolę papieża polskiej literatury i niezależnie od tego, jak ocenimy jego rolę, której się świadomie wobec polskiej tożsamości podejmował, to odcisnął ogromnie piętno na naszej poezji. W książce „Żywoty równoległe” chcę pobudzić do rozważań nad źródłami i wyobrażeniami polskości, nie zawsze przeciwnymi – jak u Andersa i Świerczewskiego, jednak odmiennymi – jak u Herberta i Wajdy.

Co jest kwintesencją postawy Herberta?

Jego jednoznacznym wyborem jest, tak zdawałoby się śmiesznie dzisiaj brzmiące słowo „honor”. Herbert podejmował z XX w. tę grę, w której poeta odwołuje się do honoru, a świat się śmieje. Postawa Wajdy była bardziej niejednoznaczna, ale obaj stali się niewątpliwie symbolami kultury polskiej. Ostatnio przekonałem się o zewnętrznej sile oddziaływania tego symbolu, gdy rozmawiałem z Antonym Polonskim, historykiem stosunków polsko-żydowskich, który pochodzi z Republiki Południowej Afryki. Po raz pierwszy zetknął się on z polskością jeszcze w południowej Afryce, ale nie poprzez swoje korzenie – jego przodkowie



Fot. Andrzej Wiktor

wyemigrowali z odległych peryferii dawnej Rzeczypospolitej jeszcze w XIX w. – lecz poprzez filmy Wajdy.

Pan profesor wzbrania się przed oskarżeniami o zdradę czy szkodliwość.

Gdy zestawiam Jana Lechońa i Jarosława Iwaszkiewicza, widać, jak przeszli razem przez to samo środowisko Skamandra, by później pójść w różnych, czy raczej nawet przeciwnych, kierunkach. Ten pierwszy dokonał wyboru „niezłomnych”, a drugi stał się symbolem przetrwania, „ratowania substancji” w warunkach kompromisów, ocierających się nie rzadko o kompromitację. Nie każdy ma wewnętrzną siłę, by stać się niezłomnym. Płaci się wielką, choć różną cenę, za każdy z tych wyborów.

Lechoń cierpiał na emigracji, bo nie chciał współpracować z komunistyczną Polską, Iwaszkiewicz był członkiem nomenklatury PRL. Jak tu ich nie oceniać?

Chodzi o coś więcej niż wartościowanie, do którego nie namawiała raczej redaktor Dorota Truszcza, współautorka książki. Trzeba nam było sięgnąć głębiej, odpowiedzieć na pytanie: dlaczego dylemat, jaki stanął przed dwoma literatami, był ważny, dlaczego Iwaszkiewicz błędził? Gdzie jest wielkość jego dziedzictwa literackiego? Na pewno nie w jego „Liście do prezydenta Bieruta”. Nie da się jednak zaprzeczyć wspaniałej jakości opowiadania „Panny z Wilka”. A jak ocenić jego „Bitwę na równinie Sedgemoor”, opowiadanie z czasów wojny, w którym Iwaszkiewicz całkowicie kwestionuje sens historii, a historii Polski w szczególności? Musimy wciąż dyskutować nad tymi dylematami.

Muszę się jednak poupiąć nad tym wartościowaniem. Wajda przecież potrafił w filmie „Lotna” umieścić scenę z szarżą polskich ułanów z szablami na niemieckie czołgi. Było to wprost wyjęte z goe-

belowskiej propagandy, zainspirowanej zniekształconym obrazem potyczek z września 1939 r.

Dyskusje nad szlachetnością i honorem oraz zdradą i koniunkturalizmem w polskiej historii mogą przynieść zaskakujące wnioski. Jeden z historyków, odwołujący się do dziedzictwa Kresów, potrafił nawet usprawiedliwić marszałka Konstantego Rokossowskiego. Zrozumiałem wtedy, że jednak istnieje w Polsce nie tak małe grono ludzi, którzy nawet do tej najbardziej zideologizowanej części peerelowskiej spuścizny odnoszą się z szacunkiem. Gene-

Pod względem stosunku do tradycji, do „tożsamościowego dziedzictwa” dzisiejsze tzw. elity lewicowo-liberalne są gorsze niż peerelowskie, ci wszyscy aktorzy, blogerki, modelki, publicyści, profesorki...

rała Świerczewskiego zestawiam w książce z generałem Andersem – nam, a w każdym razie mnie się ta para wydaje czarno-biała, ale nie dla wszystkich tak jest.

Czy dziś możemy mówić o ciągłości z tymi historycznymi postaciami, które razem z redaktorem Truszcza omawiacie? Trudno się oprzeć sugestywnemu „Esejowi o duszy polskiej” Ryszarda Legutki, w którym czytamy o braku ciągłości pokoleń, przerwanej II wojną światową.

Mój punkt widzenia jest trochę inny niż profesora Legutki. Dla mnie najbardziej dramatyczne zerwanie następuje nie w czasie II wojny światowej, lecz teraz.

Teraz z naszą tożsamością jest gorzej niż po hekatombach totalitaryzmów?!

Dziś mamy do czynienia z głębszym i szybciej postępującym zerwaniem cywilizacyjnym. Nikt nie chciałby przeżywać tego, co nasi przodkowie w czasie II wojny światowej czy pod rządami Bieruta, ale proszę zwrócić uwagę, że nawet władze PRL potrafiły się odwoływać do przeszłości. Ci śmieszni prymitywni komuniści wiedzieli, że w Polsce trzeba się jakoś adaptować, jakoś ten kod kulturowy rozumieć. Gomułka wiedział, na czym polega znaczenie tradycji Wigilii czy wielkanocnego stołu. Był ateistą, zwalczał religię, ale wiedział, o co chodzi w polskiej tradycji, to nie były dla niego pojęcia abstrakcyjne. Towarzysz Bierut był agentem przywiezionym przez NKWD, ale nawet on wiedział, że trzeba się pokazać w procesji Bożego Ciała, trzymając baldachim, by posłużyć się powszechnie rozumianymi pojęciami.

Później jednak zerwał z tymi gestami.

Ale wiedział, że zamiast hostii musi „uszanować” polską literaturę: rozłożył parasol ochronny nad będącą jej symbolem Marią Dąbrowską. Komuniści, kiedy dostali już tutaj władzę od Stalina, mieli w sobie taki odruch zachowania czy choćby udawania ciągłości, nawet jeśli było to karykaturalne i pokraczne, jak zaproponowanie stanowisk państwowych Krzysztofowi Radziwiłłowi wywodzącemu się z książęcego rodu. Ta władza mordowała tysiące ludzi, ale żeby się uwiarygodnić, odwoływała się do historii, do tradycji – oczywiście ją fałszując.

W czym więc dzisiaj jest gorzej?

Mamy do czynienia z odrzuceniem absolutnie wszystkiego, co było choćby przed rokiem nawet 2015. Unieważnia się przeszłość. W jednej z krakowskich szkół studentka mojej żony powiedziała na zajęciach: „My historii nie musimy się uczyć, my ją tworzymy”. Nieświadomie strawestowała II „tezę o Feuerbachu” Karola Marksa. Sympatyczna i inteligentna studentka nie zna historii, więc nie

wie, że nie wymyśliła niczego nowego, tylko powtarza stare „nic nas nie zobowiązuje, żyjemy tu i teraz”. To już nawet postkomuniści z SLD w 1993 i 1995 r. ze swoimi hasłami wyborczymi „Lepiej już było” czy „Wybermy przyszłość” mieli jakąś świadomość historii. Duża część pokolenia dzisiejszych nasto- czy dwudziestoparolatków zakłada, że nic, co było wcześniej, nie jest ważne – po prostu nic. I to jest dla mnie zerwanie dużo głębsze niż to, którego dokonała PRL.

Przypomina mi się Jakub Berman, który jednak w rozmowie z Teresą Torańską wyrażał obawy, że Polska bez wschodniego sojusznika będzie jak Księstwo Warszawskie. To jednak – o zgrozo – świadczy o większym zakorzenieniu stalinistów niż dzisiejszych liberałów.

Pod względem stosunku do tradycji, do „tożsamościowego dziedzictwa” – i tylko pod tym względem – dzisiejsze tzw. elity lewicowo-liberalne są gorsze niż peerelowskie, ci wszyscy aktorzy, blogerki, modelki, publicyści, profesorki...

Jednak nie piją wody z muszli klozetowej jak w 1945 r.

Berman nie pił wody z muszli klozetowej. Pili ludzie, którzy nie oglądali wcześniej bieżącej wody. A dziś ze strony np. pana Sikorskiego, który nie wyszedł przecież z chlewa, mamy do czynienia z takim otwartym, manifestacyjnym chamstwem wobec kobiety, że próżno szukać czegoś takiego w najciemniejszych momentach polskiej historii. Chamstwo było zawsze, ale teraz chamstwo jest elementem autopromocji elity. I to jest znak owej zapaści cywilizacyjnej, o której mówię. Natomiast struktura działania opozycji, płynnie przechodząca w zdradę, okazuje się nienową, ale mocno zakorzenioną niestety w naszej historii. Kończąc tom V „Dziejów Polski”, dostrzegam to samo nastawienie części magnatów z 1625 r., którzy uznawali, że

skoro kraj nie będzie rządzony przez nich, to niech w nim dzieje się jak najgorzej. Pierwszym politykiem, który tak to sformułował, był Jan Zamoyski, jeszcze wcześniej.

Ten Zamoyski? Twórca Zamościa, wielki kanclerz i hetman?

Niewątpliwie był on wybitnym mężem stanu i światłym człowiekiem, ale pycha pchnęła go na drogę psucia państwa, do montowania opozycji totalnej przeciwko legalnym rządom króla i sprzyjającej mu większości senatu. I ta opozycja wybuchła, tuż po śmierci Zamoyskiego, beznadziej-

Tusk zawarł sojusz z chamstwem, z postpolityczną hołotą, która nie chce wiedzieć nic o tradycji polskiej, europejskiej, o kulturze, o historii, która chce wyrzucić na śmietnik „tych Mickiewiczów i Sienkiewiczów”. Zrobił to, by zrealizować swoje cele polityczne

gładały te argumenty, w imię których w końcu także trzech główni targowiczanie: Potocki, Rzewuski i Branicki, rzucili swoje weto ustawodawstwu Sejmowi Wielkiemu i uczepili się w tej opozycji rąbka spódnicy imperatorowej... Oni zresztą akurat, zwłaszcza Rzewuski i Potocki, szczerze wierzyli w te idee. Mam wrażenie, że w dużej części dzisiejszej opozycji nie ma nawet specjalnie silnej wiary we własne idee, jest tylko furia, że ten rząd jeszcze rządzi...

Biorąc pod uwagę kondycję poważnej części klasy politycznej i do tego jeszcze bardzo trudną sytuację międzynarodową, można faktycznie obawiać się perspektywy jakiegoś „rozbioru nowej generacji”, jak to ujął Antoni Libera.

Oczywiście że tak. Ona jawi się coraz bardziej konkretnie i wyraźnie. Ale jednocześnie widać też nadzieję, której uczy nas historia: Opatrzność jest silniejsza od najsilniejszych korporacji oraz imperiów. Niewierzącym można to wyjaśnić inaczej – wskazać, że ekstrapolowanie trendów na podstawie aktualnych prognoz bardzo rzadko się sprawdza. Przekonania o niezwykłym trwaniu mocarstw zaborczych czy ZSRS niegdyś tak obezwładniająco „realistyczne” rozsypały się w pewnym momencie. Nasi przeciwnicy są chwilowo silniejsi, ale to nie powinno nam przeszkadzać w zaangażowaniu na rzecz kraju. Przecież Kościuszko czy książę Józef Poniatowski byli symbolami przegranej, byli „loose-rami”, a ostatecznie stali się wychowawcami symbolami, inspiracją dla przyszłych pokoleń, by to, co oni tak odważnie, szlachetnie zaczęli: walkę o niepodległość, dokończyć zwycięsko. Nieprzypadkowo zaborcy chcieli umniejszyć Polskę, zniekształcając ich historię, np. gdy beczelna propaganda niemiecka włożyła Tadeuszowi Kościuszkę w usta słowa „Finis Poloniae”. To miało pokazać, że wraz z klęską pod Maciejowicami nie ma już szans dla Polski. Także próby ośmieszenia księcia Józefa

– że tak żałośnie podobno trzymał się honoru, zamiast szybko przejść na stronę silniejszego – szły w tym samym kierunku: wiedźcie, Polacz-kowie, że zawsze będą silniejsi od was sąsiedzi, więc uczcie się, że honor i walka o niepodległość zawsze prowadzą do klęski. I otóż: nie! Nie możemy nigdy rezygnować, szanse na odrodzenie Polski i jej umocnienie są zawsze, to nasi wrogowie próbują nas przekonać, że jest inaczej.

Chcą nam odebrać przyszłość przez niekształcenie przeszłości.

Wroga, pogardliwie nastawiona wobec nas część elit zagranicznych ma swoje koncepcje urządzania tego „dzikiego kraju”, a my musimy mieć swoją wizję Polski – i ją realizować. Gdyby nie było takich ludzi z wizją przed 1918 r., to Polska by na mapę nie wróciła. Zwyczajnie mocarstwa wcale nie musiały odbudować niepodległej Polski. Ktoś im to przypominał, ktoś się im tutaj przeciwstawiał, kiedy chcieli zrobić nad Wisłą małe państewko przyczepione do Rosji. Jak to przypominałem w „Pierwszej zdradzie Zachodu”, lord Balfour, patrzący na mapę Europy z punktu widzenia interesów brytyjskich, mówił jednoznacznie, że nie ma sensu tworzyć Polski niepodległej, bo oddzieliłaby ona Niemcy od Rosji, a tym samym służyć będzie zbliżeniu tych dwóch mocarstw, niekorzystnemu dla Londynu. Więc już lepiej niech zostanie przy Rosji... Żeby wykonywać pracę takich Piłsudskich, Dmowskich, Paderewskich, takich tysięcy Polaków, których imię było w roku 1918 „legion”, a którzy przeciwstawili się koncepcji Polski podległej, należy uznać sens istnienia naszego państwa. Tymczasem część tzw. elit próbuje ze wszystkich sił polskość obrzydzić, nie tylko w tak prymitywnych obrazach jak Smarzewskiego, ale także swoją „czystą” niewiedzą. Z tej niewiedzy, na której znakomicie można zasadzić antypolskie stereotypy, wynikają takie np. sugestie: Skłodowska – z czego

tu być dumnym? Musiała wyjechać „z tego kraju”, bo tu przecież kultura i brak uznania dla kobiet, nie to, co na Zachodzie... Owszem, Marysia Skłodowska wyjechała na Zachód...

...bo w państwach zaborczych nie mogła zrobić kariery naukowej.

W kraju podbitym, traktowanym przez Rosję i Niemcy jak kolonia, nie było żadnego uniwersytetu dla „tutejszych”. A jednak, właśnie na przekór zaborcom, społeczeństwo polskie zorganizowało w Warszawie, pod najsurowszą władzą carską, tajny

Studentka mojej żony powiedziała na zajęciach: „My historii nie musimy się uczyć, my ją tworzymy”. Duża część młodego pokolenia zakłada, że nic, co było wcześniej, nie jest ważne – po prostu nic. I to jest dla mnie zerwanie dużo głębsze niż to, którego dokonała PRL

system nauczania dla kobiet, jakiego nie było w takiej skali w żadnym innym kraju europejskim. To był tzw. Uniwersytet Łatający, w którego podziemnych kursach wzięło udział blisko pięć tysięcy kobiet, uzyskując namiastkę wyższego wykształcenia. Tę szkołę przeszła młodziutka Skłodowska, dzięki czemu mogła rozbudzić swoje zainteresowania i odkryć swoje naukowe zdolności. Takie rodzime kursy nie stworzyły z niej jeszcze laureatki Nagrody Nobla, tu, w podzaborowej Polsce, nie było materialnych ani organizacyjnych warunków do pracy naukowej na najwyższym poziomie (do tego też potrzebna jest niepodległość), warto jednak wiedzieć, że jeden z pierwszych jej tekstów naukowych został

wydrukowany w Krakowie w 1900 r. przez Akademię Umiejętności, że tutaj została wybrana do tejże Akademii jako honorowy członek, bardzo wcześnie, już po jej pierwszych wielkich odkryciach, podczas gdy Francuska Akademia Nauk odrzuciła jej kandydaturę tylko dlatego, że była kobietą, i to obcą, Polką... Pierwsza w ogóle kobieta zostanie przyjęta Francuskiej Akademii Nauk jako pełny jej członek dopiero w 1979 r. Warto też dodać, że kiedy tylko powstało państwo polskie, od listopada 1918 r. Polki mogły się cieszyć pełnymi prawami wyborczymi, podczas gdy pani Maria Curie nie dożyła takich praw we Francji, bo zostały one nadane obywatelkom Republiki Francuskiej dopiero w roku... 1944.

Gdyby pan profesor miał zestawić żyjące postacie z jakimiś ich odpowiednikami: Jarosława Kaczyńskiego, Adama Michnika i Donalda Tuska.

Połączenie tych panów ze sobą, w obrębie tej trójki, byłoby bardzo ciekawe. Znamy słynne „polskość to nienormalność” Tuska, warto ten „bon mot” ukazać w kontekście środowiska gdańskich liberałów, z którego Tusk (rocznik 1957) wyrastał. Wtedy się jeszcze czytało, najchętniej Gombrowicza, Bobkowskiego, kulturalnych szyderców. Tusk jeszcze więc pamięta o kulturze polskiej przez taki pryzmat rozpatrywanej, ale traktuje ją chyba (jak wszystko, co służy mu w polityce, albo przeszkadza) – całkowicie instrumentalnie. Wie, kim był Piłsudski, napisał przecież pracę magisterską na historii – ale bez żadnych oporów jest gotów zanegować tradycję niepodległościową i kulturę, z której ona wyrasta. Zawarł sojusz z chamstwem, z postpolityczną hordą, która nie chce wiedzieć nic o tradycji polskiej, europejskiej, o kulturze, o historii, która chce wyrzucić na śmietnik „tych Mickiewiczów i Sienkiewiczów” (jak to publicznie zadeklarował pewien aktorzyzna celebryta). Zrobił to, by zrealizować swoje cele polityczne.

A co ze starszymi o pokolenie panami?

Jarosław Kaczyński i Adam Michnik są bardziej zakorzenieni w tej kulturze, choć naczelny „Wyborczej” chyba nie do końca akceptuje ten nurt tradycji, w którym Żydzi – tacy jak Szymon Askenazy czy Bolesław Leśmian – tworzyli tradycję polską, a nie „krytyczną”. Prezesowi PiS i twórcy „Wyborczej” nie można odmówić głębokiej znajomości tych nurtów ideowych, które tworzą polską myśl intelektualną. Nawet jeśli się założy, że Michnik źle życzy Polsce i chce jej szkodzić, to niewątpliwie zna on polską historię i ma pewną jej wizję. Bliższy jest pokoleniu Bermana niż pokoleniu smartfona, który zastąpił mózg.

Dla Jarosława Kaczyńskiego istnieje na pewno ten problem, że nie bardzo ma się z kim porozumieć, bo kolejne pokolenia (w tym duża część otaczających go doradców i dworaków) są coraz bardziej wyjałowione

intelektualnie. Myślę, że prezes PiS poważnie traktuje swoje kulturowe zobowiązania, choć i on nie stroni od umiejętnego rozgrywania różnych polskich tradycji. Na pewno miałby więcej wspólnych tematów (o które by się spierali oczywiście) z Michnikiem niż Tuskiem. Nie miałby jednak, w odróżnieniu od obu pozostałych bohaterów tego zestawienia, żadnych wspólnych tematów ani ochoty na to, żeby prostytuować się intelektualnie na kanapce pewnego starszego pana, zabawiacza z TVN.

Kogo?

Pana Jakuba Wojewódzkiego.

Nazywać „starszym panem” człowieka, który chce być wiecznie młody, to cios w samo serce.

Siląc się na tę młodość, Wojewódzki dobrze reprezentuje wizję wyrażoną przez błyskotliwą studentkę mojej żony: nic nie wiedzieć o tym, co było.

Wszystko jest „teraz”, ani wczoraj, ani jutro się nie liczy, możemy zmieniać tożsamość, mieć dowolny paszport, dowolną pleć i wiek, a gust możemy zmieniać jak skarpetki, a raczej jak nam nastoletnia influencerka podpowie. Społeczeństwo jest poddawane nie kulturze masowej, ale masowemu oglupianiu. Wkrótce elitą, wąską i wyjątkową, będą ci, którzy w ogóle czytają książki i potrafią cokolwiek opowiedzieć o bohaterach naszej rozmowy: Kościuszcze, Poniatowskim, Leśmianie czy Miłoszu. Przypomina mi to słowa tego ostatniego: „Lawina bieg od tego zmienia, Po jakich toczy się kamieniach”. Poeta odnosił to moralne wezwanie do przeciwstawienia się wielkim machinom totalitaryzmu roku 1950. Zaczęły zgrzytać, a w końcu zatrzymały się w swym niszczącym działaniu – pod niewidocznym na pozór wpływem opierających mu się ludzi. Widzę to samo zjawisko, tę samą potrzebę i tę samą szansę w 2021 r.

REKLAMA



3 - 5 LISTOPADA 2021

BEZPŁATNE POKAZY KINOWE, KINOTEKA

3 - 30 LISTOPADA 2021

BEZPŁATNE POKAZY ONLINE

heartofeurope.tvp.pl

HEART OF EUROPE. W JEDNYM DUCHU

PIERWSZY FESTIWAL TWÓRCZOŚCI TELEWIZYJNEJ EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ



Wirginia, Trump i wojna kulturowa



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Mieszkańcy amerykańskiego stanu Wirginia 2 listopada wybiorą nowego gubernatora. Stan od lat jest rządzony przez demokratów – w ostatnich wyborach prezydenckich Joe Biden uzyskał tu 10-punktową przewagę nad Donaldem Trumpem – więc wynik wyścigu wydawał się przesądzony. Po stronie demokratów walczy w końcu doświadczony polityk i były gubernator Wirginii

Joe Biden miał wnieść nową jakość do amerykańskiej polityki. Jak na razie generuje jednak głównie kryzysy. Jeśli to się nie zmieni, prezydent może zatopić szanse lewicy na utrzymanie władzy w Kongresie

w latach 2014–2018 Terry McAuliffe, a po stronie republikanów polityczny nowicjusz Glenn Youngkin. Na ostatniej prostej kampanii szala przechyliła

się jednak w stronę tego ostatniego i teraz w sondażach obaj idą łeb w łeb (45/45 proc.). To konsekwencja ideologicznej choroby, która coraz mocniej trapi demokratów i może zwiastować dla nich kłopoty w przyszłorocznych wyborach uzupełniających do Kongresu. Ale też utrzymująca się wciąż na wysokim poziomie popularność Trumpa, w sytuacji gdy notowania Bidena w sondażach coraz bardziej pikuja.

Co więc stało się w Wirginii, by zagrozić gubernatorskim perspektywom McAuliffe'a? Zaczęło się, jak pisze Michael Goodwin na łamach „The New York Post”, niewinnie. Rodzice zaczęli się skarżyć na wprowadzenie do planów nauczania szkół w hrabstwie Loudon na północy stanu krytycznej teorii rasowej. Doszło do przepychanek podczas spotkań rodziców z nauczycielami. Posypały



się groźby oraz oskarżenia o szerzenie „kulturowego marksizmu”. Matka jednego z uczniów, której rodzina uciekła z Chin przed reżimem Mao Zedonga, porównała demokratów oraz ich szkolne programy do „czerwonej gwardii”. W odpowiedzi prokurator generalny Stanów Zjednoczonych Merrick Garland zagroził rodzicom, że zajmie się nimi FBI. Władze stanu mówią o „terroryzmie krajowym”. Teraz wielu rodziców skarży się, że śledzą ich „nieoznakowane wozy” policyjne, a oni boją się wyjść z domu. Na domiar złego McAuliffe stwierdził, że „rodzice nie powinni dyktować nauczycielom, czego mają uczyć dzieci”.

Wybory w Wirginii zamieniły się więc w referendum nad wojną kulturową, która coraz bardziej pochłania Amerykę. To wojna, której ani McAuliffe, ani Joe Biden nie chcą zatrzymać.

WEWNĘTRZNY SPÓR

Nawet jeśli wyścig o fotel gubernatora Wirginii skończy się zwycięstwem kandydata demokratów, nie będzie to triumf, na który liczył. A to, co dzieje się w Wirginii, może się powtórzyć w chwili wyborów uzupełniających do Kongresu (mid-term elections) w 2022 r. Biden zdobył rok temu władzę,

pokonując urzędującego prezydenta po raz pierwszy od czasu, gdy Bill Clinton pokonał George’a H.W. Busha w 1992 r. Z programem, który był bardziej lewicowy niż program Hillary Clinton czy Baracka Obamy. Teraz ten program jest powodem poważnych podziałów w jego partii. W Kongresie wąż się obecnie losy dwóch flagowych ustaw Białego Domu: wartego ponad 1 bln dol. pakietu infrastrukturalnego, popieranego przez obie partie, i większej reformy, wartej 3,5 bln dol., promowanej pod hasłem lepszej odbudowy (Build Back Better), obejmującej m.in. cele klimatyczne bliskie sercu prezydenta oraz lewicowego skrzydła demokratów. Aby przejść przez Senat, muszą ją poprzeć wszyscy demokratyczni senatorzy, bo obie partie mają w nim równą liczbę mandatów – 50 do 50. Niektórzy z nich, z senatorem Joem Manchinem z Zachodniej Wirginii na czele, mają do niej jednak poważne wątpliwości. Biden chce ją bowiem sfinansować, opodatkowując najbogatszych (billionaires tax) i korporacje oraz tworząc nowe daniny, w tym podatek węglowy. Manchin, bliski lobby węglowego, na to się nie zgadza oraz domaga się poważnego okrojenia pakietu – do 1,5 bln dol. Nie podobają mu się także zapisy w ustawie

dotyczące aborcji i ochrony zdrowia. W skrócie: dla części umiarkowanych demokratów reforma jest zdecydowanie zbyt postępową. Negocjacje toczą się już od miesięcy i nie wiadomo, czy Bidenowi uda się wykuć kompromis. Demokraci w Izbie Reprezentantów odmawiają bowiem głosowania nad reformą infrastrukturalną (negocjowaną przez Manchina i uchwaloną przez Senat), jeśli najpierw nie zostanie zatwierdzona w Senacie flagowa reforma społeczno-klimatyczna.

TRUCIZNA PRZY URNACH

Amerykańskie media odczytują szarpaninę wokół reformy, która miała pozwolić Bidenowi zaprezentować się na szczycie klimatycznym COP26 1 listopada w Glasgow jako główny obrońca klimatu, za oznakę słabości prezydenta. Jego malejąca popularność – od marca do października poparcie dla niego spadło z 55 do 43 proc. – poważnie ciąży na perspektywach reelekcji demokratycznych deputowanych w przyszłorocznych wyborach uzupełniających do Kongresu. Odczuł to także kandydat demokratów w wyścigu o fotel gubernatora stanu New Jersey Phil Murphy. Po tym jak Biden „pomógł” mu w kampanii,

jego przewaga nad republikańskim rywalem Jackiem Ciatarellim zmalała z 16 do 11 proc. Faktycznie od połowy sierpnia odsetek Amerykanów, którzy źle oceniają pracę prezydenta w Białym Domu, jest większy od tych, którzy skłonni są wystawić mu pozytywną notę. To m.in. konsekwencja chaotycznego wycofania wojsk USA z Afganistanu, malejącej siły nabywczej Amerykanów, rosnącej przemocy w miastach oraz kryzysu migracyjnego na granicy z Meksykiem. Nie wspominając o utrzymujących się uporczywie pogłoskach, że Biden czasami nie wie, gdzie jest i co robi.

Po zawarciu umowy między Australią, USA i Wielką Brytanią w sprawie zakupu przez Canberę amerykańskich okrętów podwodnych z napędem nuklearnym i zerwaniu kontraktu na dostawę okrętów podwodnych z Paryżem specjalny wysłannik Bidena ds. klimatu John Kerry tłumaczył we francuskiej telewizji BFMTV, że prezydent USA „nic nie wiedział o żadnym dealu z Australią”. „Dośłownie nie wiedział, co się stało” – przekonywał Kerry łamanym francuskim. Prezydent, który nie wie, co robi, nie jest raczej marzeniem większości wyborców. Perspektywom demokratów na utrzymanie władzy w Kongresie nie pomaga także to, że 10 deputowanych Izby Reprezentantów nie zamierza już ubiegać się o reelekcję. Wolą odejść na emeryturę. A już teraz przewaga demokratów nad republikańskimi wynosi w Izbie zaledwie osiem mandatów. Podczas przyszłorocznych wyborów zostanie wymieniony cały jej skład oraz jedna trzecia składu Senatu.

TRUMP WIECZNIE ŻYWY

Demokraci nie mogą więc sobie pozwolić na błędy. Republikanie muszą obrócić tylko pięć mandatów w Izbie, aby odzyskać nad nią kontrolę, a tradycyjnie partia prezydenta przegrywa wybory w połowie kadencji. Tymczasem wielu wyborców odczytuje spór o flagowe ustawy Bidena w Kongresie jako „więcej tego samego”, czyli kontynuację telenoweli o nieudolności władzy. Demokratom będzie więc trudno przekonać ich, by znów im zaufali. Dane sonda-

żowe także nie są zachęcające. 47 proc. zarejestrowanych wyborców pytanych o to, kto powinien kontrolować Kongres, odpowiedziało, że republikanie, a 44 proc., że demokraci (Quinnipiac University poll). Pozostaje więc tylko jedno: straszenie Trumpem. To okazało się skuteczne w 2020 r. i może się okazać skuteczne także teraz. W każdym razie na to liczą demokraci.

26 października na wiecu poparcia dla Terry'ego McAuliffe'a w Wirginii Biden wymienił byłego prezydenta aż 24 razy podczas swojego 17-minutowego przemówienia.

Joe Biden nie chce zatrzymać wojny kulturowej, która dzieli Amerykę, choć poparcie dla niego od marca do października spadło z 55 do 43 proc. Czy to jest szansa dla republikanów?

wienia. I to mimo że Trump nie prowadził kampanii na rzecz republikańskiego rywala McAuliffe'a, Glenna Youngkina, ani go oficjalnie nie poparł. Niemniej jednak niczym widmo wisiał nad gubernatorskim wyścigiem. Wynika to przede wszystkim z tego, że były prezydent zachowuje ogromne wpływy w Partii Republikańskiej i zamierza odegrać decydującą rolę w wyłanianiu przyszłorocznych kandydatów prawicy do Izby Reprezentantów i Senatu. Zdaniem demokratów Trump wciąż nie pogodził się ze swoją porażką w wyścigu prezydenckim. A tych, którzy głosowali wtedy „przeciwko niemu”, da się ponownie zmobilizować.

To jednak miecz obosieczny. Podobnie mobilizując Trump działa na wyborców demokratów. Ponadto Trump, choć kieruje de facto Partią Republikańską, nie rządzi Ameryką. To demokraci rządzą. A jeśli McAuliffe ma kłopoty w Wirginii, to dlatego, że rządzi źle. Te pretensje słyhać zresztą coraz częściej z samego obozu Bidena, że obiecane reformy nie są realizowane,

a gospodarka po krótkim rozkwicie za prezydentury Trumpa, po doświadczeniu pandemią COVID-19, popada ponownie w stagnację.

Trump rozpoczął kampanię do Kongresu wizytą w stanie Iowa, gdzie mówił o odzyskaniu władzy przez republikanów, nie tylko w 2022, ale także w 2024 r. I możliwe, że to on będzie ponownie kandydował na prezydenta. W Iowa spotkał się z pozytywnym odbiorem. Według sondażu opublikowanego w regionalnej gazecie „Des Moines Register” 53 proc. mieszkańców stanu ma o nim „dobre zdanie”. Wśród wyborców republikanów aż 91 proc. Trudno obecnie o innego, równie popularnego kandydata na prawicy.

SKRADZONE WYBORY

Wpływ Trumpa na republikanów i tym samym ich szanse przy urnach nie są oczywiście bez ryzyka. Były prezydent, podobnie jak jego nemezis Biden, ma swoje obsesje. Przede wszystkim uważa, że „skradziono” mu jego zwycięstwo w 2020 r. Domaga się „jednoznacznego wyjaśnienia oszustwa wyborczego”, inaczej jego zwolennicy nie pójdą do urn ani w 2022 r., ani dwa lata później. Trump wywiera także presję na potencjalnych kandydatów republikanów do Kongresu, by uznali wyjaśnienie fałszerstw przy urnach za swój priorytet, inaczej ich nie poprze.

Jak pisze „New York Post”, wielu partyjnych towarzyszy Trumpa uważa jego postawę za „niepotrzebnie dzielącą”. Powoduje ona poważny dylemat dla republikanów: z jednej strony były prezydent jest dla nich dużym atutem, z drugiej, kierując uwagę na siebie, mobilizuje wyborców demokratów. Tymczasem wybory uzupełniające do Kongresu powinny być „referendum nad prezydenturą Bidena”. Bo im gorzej idzie Bidenowi, tym lepiej dla republikanów. „Chcemy, by Donald Trump odegrał ważną rolę w kampanii do Kongresu. Ale musimy patrzeć w przyszłość. Nasz wzrok powinien być skierowany na odebranie demokratom władzy” – przekonywała w rozmowie z „Washington Post” deputowana Izby Reprezentantów z Nowego Jorku Elise Stefanik.

Prywatny las z dotacją z PROW

Rolnicy, którzy posiadają las, będą mogli się ubiegać w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa o dofinansowanie z PROW 2014–2020.

Wnioski o przyznanie pomocy na inwestycje zwiększające odporność ekosystemów leśnych i ich wartość dla środowiska będą przyjmowane od 22 listopada do 31 grudnia 2021 r.

Nabór odbędzie się na korzystniejszych niż dotychczas zasadach

Pomocą objęte są lasy prywatne w wieku 11–60 lat – o powierzchni od 0,1 ha do 40 ha – stanowiące własność lub współwłasność wnioskodawcy, lub własność jego małżonka, które nie są objęte premią pielęgnacyjną PROW i dla których opracowany jest Uproszczony Plan Urządzenia Lasu lub dla których zadania z zakresu gospodarki leśnej określa decyzja starosty.

Należy też pamiętać, że las, który ma być objęty dofinansowaniem, powinien się znajdować poza obszarami Natura 2000, rezerwatów przyrody, parków krajobrazowych bądź narodowych lub ich otulin. Wyjątkiem jest sytuacja, w której planowane inwestycje nie będą wchodziły w konflikt z celami ochrony wyznaczonymi dla wyżej wymienionych terenów.

Wsparcie przyznawane jest do powierzchni lasu, w którym realizowane są konkretne inwestycje, i można je otrzymać na: wprowadzenie drugiego piętra w drzewostanie, dolesianie luk, zróżnicowanie struktury drzewostanu, założenie remizy, czyszczenie późne czy zabiegi ochronne przed zwierzyną. Warto podkreślić, że w obecnym naborze rozszerzony został zakres przyznawania pomocy na przebudowę składu gatunkowego drzewostanu przez dolesienia luk w drzewostanach uszkodzonych nie tylko w wyniku procesu chorobowego – tak jak było w poprzednich naborach – lecz również zniszczonych przez szkodniki, zwierzynę lub ekstremalne warunki pogodowe.

Wysokość dofinansowania jest uzależniona od rodzaju inwestycji oraz warunków, w jakich ma być realizowana i wynosi:

- przebudowa składu gatunkowego drzewostanu przez wprowadzenie

w nim drugiego piętra w lasach w warunkach korzystnych – 8137 zł/ha lub 9 249 zł/ha na gruntach o nachyleniu terenu powyżej 12°;

- przebudowa składu gatunkowego drzewostanu przez dolesianie luk powstałych w wyniku procesu chorobowego, uszkodzonych przez szkodniki, zwierzynę lub ekstremalne warunki pogodowe wraz z zabezpieczeniem pniaków po wyciętych drzewach na gruntach w warunkach korzystnych – 12 538 zł/ha lub 14 213 zł/ha w przypadku gruntów o nachyleniu terenu powyżej 12°;
- zróżnicowanie struktury drzewostanu przez wprowadzenie podszytu na gruntach w warunkach korzystnych – 4 610 zł/ha oraz 5 210 zł/ha na gruntach o nachyleniu terenu powyżej 12°;
- założenie remizy bez względu na powierzchnię realizacji inwestycji i rodzaj gruntu – 848 zł;
- czyszczenie późne lasów na gruntach w warunkach korzystnych – 764 zł/ha lub 917 zł/ha na gruntach o nachyleniu terenu powyżej 12°;
- zabiegi ochronne przed zwierzyną w przypadku wprowadzania drugiego piętra w drzewostanie lub podszytu, lub dolesiania luk, lub założenia remizy: zabezpieczenie drzewek repelentami – 424 zł/ha, zabezpieczenie sadzonek osłonkami – 1488 zł/ha, ogrodzenie remizy siatką metalową o wysokości minimum 2 m – 8,82 zł/mb.

Wnioski będzie można składać w biurach powiatowych

ARiMR osobiście, przez upoważnioną osobę, rejestrowaną przesyłką nadaną w placówce Poczty Polskiej lub za pośrednictwem skrzynki podawczej ePUAP. ➤



Agencja Restrukturyzacji
i Modernizacji Rolnictwa

Greta Thunberg zamiast Franciszka



GRZEGORZ GÓRNY

31 października w Glasgow rozpoczął się światowy szczyt klimatyczny COP26. Kilka tygodni przedtem Stolica Apostolska poinformowała, że w Szkocji nie pojawi się Franciszek, mimo że wcześniej zapowiadał swój udział w spotkaniu. W tej sytuacji Watykan będzie reprezentował sekretarz stanu kard. Pietro Parolin.

Na wieść o tym jeden ze współpracowników Jorgego Maria Bergoglia, były redaktor jezuickiego tygodnika „America” ks. Thomas Reese, opublikował tekst, w którym zaproponował, by fotel papieża na oenzetowskim szczycie zajęła... Greta Thunberg. Jego zdaniem to właśnie ona powinna przewodniczyć watykańskiej delegacji, wyposażona we wszystkie pełnomocnictwa dyplomatyczne. Pomysł amerykańskiego zakonnika nie spotkał się w przestrzeni medialnej ani ze zdziwieniem, ani z odrzuceniem.

To, że osoba duchowna mogła przedstawić publicznie pomysł, by papieża w roli oficjalnego reprezentanta Kościoła zastąpiła nastolatka, na dodatek sama niebędąca katoliczką, daje wiele do myślenia o stanie umysłów zachodniego kleru. Skoro gimnazjalistka mogłaby zastąpić papieża w sprawach ekologicznych, to dlaczego nie mogłaby tego zrobić w innych sytuacjach?

PROROKINI CZASÓW KRYZYSU

Fenomen Greta Thunberg to rezultat szerszego procesu kulturowego, który na łamach „Corriere della Sera” opisał

*Norwa świecka religia
ekologiczna wkracza dziś
do Kościoła ze swoimi
natchnionymi prorokami,
apokaliptycznymi
wizjami i dogmatami,
które nie podlegają dyskusji.
Dlaczego tak się dzieje?*

prof. Angelo Panebianco z Uniwersytetu w Bolonii. Zauważył on, że kariera szwedzkiej nastolatki jest świadectwem tego, iż nawet społeczeństwa postreligijne potrzebują swoich proroków i proroków. Człowiek z natury jest „homo religiosus” i nawet jeśli odrzuca religię, to znajduje sobie jej zsekularyzowaną namiastkę.

Prof. Panebianco pisze: „Dziś, podobnie jak w przeszłości, prorocтво ma dwie cechy: z jednej strony zapowiada nieuchronność katastrofy, z drugiej wskazuje drogę do zbawienia. W epoce religijnej zbliżająca się katastrofa była karą, którą Bóg lub Niebo przygotowywali do wymierzenia ludziom za ich okrucieństwo lub niemoralne postępowanie. W naszej postreligijnej epoce zapowiadana katastrofa jest owocem buntu natury przeciwko ludzkiej manipulacji środowiskiem. Inna jest istota, ale »forma« prorocтва jest taka sama. W obu przypadkach prorocтво jest skuteczne, gdy napotyka pytania o sens, o znaczenie. Akceptując prorocтво, ludzie nadają nowy sens swojej egzystencji, czują się, przynajmniej częściowo, inni niż przed poznaniem tego prorocтва i uczynieniem ich własnym przesłaniem: jest to prawdopodobnie dokładnie to, co przydarzyło się tak wielu młodym ludziom, którzy odnaleźli w Grecie swój wzór i punkt odniesienia”.

Jak zauważa Angelo Panebianco, istnieje jeszcze jeden element wspólny: „W epoce religijnej prorocтво wdziera się do historii grup ludzkich, gdy stare wierzenia religijne są wyczerpane, kiedy stara religia została sprowadzona do męczącego rytualizmu, gdy jej wyznawcy stracili wiarygodność i autorytet, kiedy nikt lub prawie nikt nie traktuje jej poważnie. To właśnie wtedy prorok swym przepowiadaniem dokonuje miazdzącego ataku na dawne wierzenia i przywraca rozmach, świeżość i siłę życiu religijnemu owej grupy ludzi. Tutaj również, choć z tysiącem rozróżnień, dostrzegamy podobieństwo do zjawiska Greta: sygnalizuje ona dyskomfort cywilizacji, fakt, że wielu głównie młodych ludzi odrzuca lub jest obojętnych na to, co starsze pokolenia nadal uważają za »wartości«, cenne dobra wytworzone przez cywilizację zachodnią”.

„ŚWIAT URATUJĄ DZIECI”

Podobny kryzys religijny, o jakim wspomina prof. Panebianco, Kościół przeżywał na początku XIII w. Wtedy właśnie, w roku 1212, na arenie dziejów pojawił się 12-letni pastuszek Stefan z Cloyes, który porwał za sobą młodzież płomiennymi mowami. Jego zdaniem świat dorosłych zawiódł, wobec czego nowe pokolenie powinno wziąć na siebie odpowiedzialność za przyszłość ludzkości. Traktowano go jak proroka, który wskazuje drogę całemu chrześcijaństwu. Wielu dorosłych słuchało go jak wyroczni, spijając słowa z jego ust. Znalazł wyznawców nawet wśród księży, którzy uważali, że to właśnie on uratuje Kościół. Kiedy ogłosił krucjatę dziecięcą, pod jego rozkazy zgłosiło się ponad 30 tys. nastolatków, co w średniowiecznej Europie było liczbą gigantyczną. Wyprawa do Ziemi Świętej zakończyła się jednak totalną klęską. Do celu nie dotarł nikt. Uczestnicy albo stracili życie, albo dostali się do niewoli.

Greta Thunberg jawi się współczesnym odpowiednikiem Stefana z Cloyes, skrojonym na miarę naszych sekularnych czasów. Jeździ po świecie, karcąc polityków niczym niesfornych uczniów, snując apokaliptyczne wizje przyszłości i wywołując entuzjazm młodzieży. Jest pytana niemal o wszystko, niczym Pytia w mitologii greckiej – i na wszystko ma odpowiedź.

Jej prorocтва trafiają na żyzny grunt także w Koś-

ciele, zwłaszcza w krajach zachodnich, co potwierdza tylko diagnozę prof. Panebianco o szczególnej podatności na taki przekaz wspólnot religijnych pogrążonych w kryzysie. Przykładem tego mogą być słowa metropolity Berlina abp. Heinerja Kocha, który swego czasu oświadczył, że społeczeństwo potrzebuje dziś prawdziwych proroków, takich jak Greta, piątkowe demonstracje organizowane przez nią przypominają mu zaś „biblijną scenę wejścia Jezusa do Jerozolimy” w Niedzielę Palmową.

Do rangi symbolu urosła scena, gdy szwedzka nastolatka wiodła za sobą pochód młodzieży ulicami Rzymu w Wielki Piątek 2019 r. Była niczym nowe wcielenie mesjańskiej idei, prowadzące za sobą wyznawców świeckiej religii. Trzy dni później, w wielkanocny poniedziałek, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Franciszka, redaktor naczelny „La Civiltà Cattolica”, jezuita ks. Antonio Spadaro zamieścił na Twitterze zdjęcie Greta z podpisem: „Świat uratują dzieci”.

„BEZEMISYJNE PARAFIE” I „WSPÓLNOTY ENERGETYCZNE”

Tak jak średniowieczni prorocy Greta „z jednej strony zapowiada nieuchronność katastrofy, z drugiej wskazuje drogę do zbawienia”. W jej nauczaniu jedynym ratunkiem dla świata przed zagładą klimatyczną jest ograniczenie emisji dwutlenku węgla. Taka

narracja pojawia się także w wielu wypowiedziach przywódców religijnych, np. w uroczystym apelu ogłoszonym 4 października w Rzymie i podpisanym wspólnie przez Franciszka, patriarchę Konstantynopola Bartłomieja, patriarchę Moskwy Cyryla, wielkiego imama Al-Azhar Ahmada Al-Tayyeba, rabina Noama Maransa oraz przez przedstawicieli buddyzmu i innych religii.

Włoski watykanista Sandro Magister zwrócił uwagę, że na pięciu stronach owego dokumentu (mimo iż jego sygnatariuszami są przywódcy religijni) wśród 2350 wyrazów ani razu nie pojawiają się takie słowa, jak

„Bóg”, „Stwórca”, „stworzony” czy „stworzenie”. „Jedyne, nieśmiałe, niejasne odniesienie do transcendencji znajduje się w jednej linijce, jedynej, w której rozpoznawane są »znaki boskiej harmonii« w świecie przyrody”, zauważa komentator. Zamiast perspektywy nadprzyrodzonej w tekście pojawiają się natomiast alarmistyczne

ostrzeżenia w stylu Greta Thunberg, że „na odbudowę planety może zostać tylko jedna dekada”.

Powyższe prognozy najwyraźniej wziął sobie do serca abp Filippo Santoro z Taranto, który podczas zakończonego niedawno w swej archidiecezji Tygodnia Społecznego przedstawił program działań na najbliższe lata. Jego priorytetem ma być tworzenie



„bezemisyjnych parafii” i „wspólnot energetycznych”. Jak zauważa hierarcha, aby włoska gospodarka osiągnęła zeroemisyjność węgla do 2050 r., potrzeba produkcji energii ze źródeł odnawialnych o łącznej mocy 7 GW rocznie. W tym celu w każdej z 25 610 parafii w Italii powinna powstać co najmniej jedna „wspólnota energetyczna”, wytwarzająca energię o mocy 200 kW, a wówczas cel zostanie osiągnięty.

IDEOLOGIA, CZYLI SWIECKA GNOZA

Przypadek archidiecezji Taranto jest ilustracją szerszego procesu, czyli zastąpienia celów nadprzyrodzonych celami świeckimi, a więc wyparcia religii przez ideologię. Nadrzednym zadaniem Kościoła przestaje być ratowanie dusz przed potępieniem, a staje się ratowanie planety przed zmianami klimatycznymi. Drogo wskazem nie są już Pismo i Tradycja, lecz antropogeniczna teoria globalnego ocieplenia, wokół której nie ma nawet powszechnego konsensusu wśród naukowców.

Ta różnica wynika ze zdefiniowania największego zła obecnego w świecie. Nie jest to zjawisko nowe. Od początku istnienia Kościołowi niczym cięń towarzyszyła gnoza, inaczej odpowiadająca na to podstawowe pytanie. Chrzęścianie uważali, że źródłem zła jest wewnątrz człowieka, skażone grzechem pierworodnym, dlatego naprawę świata należy zacząć od samego siebie, czyli od własnego nawrócenia. Gnostycy uważali z kolei, że źródło zła leży poza człowiekiem, w toksycznych strukturach tego świata, które należy zniszczyć, by na ich miejscu zbudować nowy ład. Odmienna była również droga do zbawienia. O ile dla chrześcijan źródłem zbawienia jest przyjęcie prawdy i podążanie za nią, o tyle dla gnostyków kluczem jest wiedza [gr. Gnosis] i jej zastosowanie w życiu.

Z czasem, gdy Zachód coraz bardziej oddalał się od religii, pojawiły się świeckie ideologie, które były niczym innym jak zsekularyzowanymi wersjami systemów gnostycznych. Nie odwoływały się już do świata nadprzyrodzonego, lecz

zachowywały ten sam schemat myślenia, oparty na przekonaniu o posiadaniu wiedzy wyższego rzędu, pozwalającej ludzkości na zbudowanie odpowiednika raju na ziemi. Eric Voegelin nazwał to zjawisko „gnozą polityczną”, zaliczając do niego m.in. komunizm, nazizm czy liberalizm.

Ta sama matryca kryje się za współczesną ekoideologią, dla której źródłem śmiertelnego zagrożenia i największego zła pozostaje niszcząca przyrodę działalność człowieka. W tej sytuacji ratunkiem może być jedynie radykalna zielona transformacja energetyczna, a nawet odejście od kapitalistycznego modelu rozwoju gospodarczego. Te czysto świeckie założenia i cele znako-

Ekologiczna intuicja wielu chrześcijan jest słuszna, jednak często bronią oni dobrej sprawy, odwołując się do złych argumentów. W efekcie namaszcza na proroków osoby pokroju Greta Thunberg, sprzyjając tworzeniu nowej świeckiej ekoreligii

micie mieszczą się w perspektywie politycznej i społecznej. Problem polega na tym, że w dzisiejszych czasach, gdy miliony ludzi porzuciły wiarę w Boga, wspomniana ideologia stała się dla nich świeckim surogatem religii ze swoimi dogmatami, z którymi nie ma dyskusji i którym wszyscy muszą się podporządkować.

ŚRODOWISKO CZY STWORZENIE

Takie myślenie przeniknęło także do Kościoła, gdzie coraz rzadziej mówi się o konieczności nawrócenia, a coraz częściej o „nawróceniu ekologicznym”. Oczywiście opieka nad przyrodą powinna być bliska sercu każdego

chrześcijanina, jednak nie może ona przesłaniać ani unieważniać podstawowej misji Kościoła, jaką jest troska o życie wieczne. Co ciekawe, w rozdziale II encykliki „Laudato si” Franciszek przedstawia biblijne i teologiczne podstawy ekologii, jednak ta część jego dokumentu jest dziś najrzadziej przywoływana i cytowana. Zamiast tego dominuje narracja, którą odnaleźć można w wypowiedziach Greta Thunberg czy Billa Gatesa. Przede wszystkim znika kategoria „stworzenia”, która zastąpiona zostaje pojęciem „środowiska”. Kryją się za tym dwie odmienne wizje.

W rozpowszechnionej dziś koncepcji Ziemia przypomina samowystarczalny organizm, który pozostawałby w doskonałej równowadze, gdyby nie interwencja człowieka. Jawi się on jako ktoś „obcy” wobec świata przyrody i naruszający jego homeostazę. Dlatego konieczna staje się „ochrona środowiska” przed człowiekiem. Przed jego agresją buntuje się też natura, reagująca podobnie jak organizm zaatakowany przez wirusa – odpowiednikiem planetarnej gorączki staje się globalne ocieplenie.

Inna jest koncepcja stworzenia, która odsyła nas do osoby Stwórcy, od którego wszystko zależy. Człowiek jest z jednej strony integralną częścią świata stworzonego, ale z drugiej istnieje hierarchia ontologiczna, która na szczycie stworzenia stawia właśnie jego. Ziemia jest darem Boga dla człowieka i na końcu swej wędrówki będzie on

musiał zdać sprawę Stwórcy, jak z tego skorzystał. Ta koncepcja porzucona została w czasach nowożytnych wraz z ubóstwieniem rozumu. Człowiek przestał być królem stworzenia we „wspólnocie wszystkich istot żyjących”, a stał się tyranem i absolutnym właścicielem.

Ekologiczna intuicja wielu chrześcijan jest więc słuszna, jednak często bronią oni dobrej sprawy, odwołując się do złych argumentów. W efekcie namaszcza na proroków osoby pokroju Greta Thunberg, sprzyjając tworzeniu nowej, świeckiej ekoreligii. Warto jednak pamiętać, że w XIII w. Kościół uratowany został nie przez Stefana z Cloyes i jego krucjatę dziecięcą, lecz przez św. Franciszka i św. Dominika.

K

ULTIMY

Rola księżnej Diany wprowadziła Kristen Stewart na mistrzowską orbitę. Filmowa ukochana wampira, która dała jej światową rozpoznawalność, odeszła ze „Zmierzchem”. Teraz tytułowa „Spencer” ma szansę doprowadzić aktorkę do Oscara

Jak Diana, ale na krótko

Fot. Forum Film



Fot. Forum Film



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Kiedy na skutek wypadku w pańskim tunelu zginęła księżna Diana, Kristen Stewart miała siedem lat. Mieszkała w Los Angeles i można powiedzieć, że wychowywała się na filmowym planie. Często towarzyszyła w pracy matce – pochodzącej z Australii scenarzystce i reżyserce. Za sprawą ojca – producenta związanego z telewizją Fox – jako dziewięciolatka zadebiutowała na małym ekranie w komedii „Metamorphoza”, by już w 2001 r. w kinowym „Azylu” Davida Finchera stanąć u boku samej Jodie Foster (zdobywczyni dwóch była ponoć pod wrażeniem talentu 11-latkę).

POZNAĆ NA WYLOT

Dopiero przygotowując się do niej – jak wspomina – zaczęła poznawać historię księżnej Walii. Oddała się temu zadaniu bez reszty. Nim padł pierwszy klaps na planie filmu „Spencer” podkreślała, że „nie chce tylko grać Diany, chce ją znać na wylot”. – Przeczytałam o niej wszystko, co wpadło mi w ręce – mówiła w rozmowie z BBC. – Obejrzałam wszystkie wywiady, do których miałam dostęp, i „The Crown”. Próbowałam ją wchłonąć na emocjonalnym i każdym innym poziomie, a potem zaufałam procesowi. Dodawała też: – Czułam, że chcę ją chronić. Musiałam nie tylko skupić się na wyobrażeniach ludzi na jej temat, ale też na własnych.

O tym, że z aktorskiego zadania wywiała się rewelacyjnie, świadczą reakcje krytyków i widzów. Również reżyser, Pablo Larraín, który od początku widział ją w tej roli, podkreśla: – To dzięki niej ten film ma sens.

W KRÓLEWSKIEJ KLATCE

Obraz „Spencer” już podczas festiwalu w Wenecji, gdzie miał światową premierę, skupił uwagę na odtwórczyni tytułowej postaci. To dzięki niej powiódł się pomysł reżysera, by – osadzając akcję filmu w czasie Bożego Narodzenia 1991 r. – w ciągu ledwie trzech dni opowiedzieć historię życia, miłości i dramatu ukochanej przez miliony „księżnej Di”.

Chilijczykowi udało się – nie naruszając etykiety – przeniknąć do królewskiej klatki. To ponoć podczas przywołanych na ekranie świąt, spędzonych w posiadłości Sandringham, Diana podjęła decyzję o rozstaniu z księciem Karolem.

Zdaniem Pabla Larraína, twórcy znanego z niekonwencjonalnych filmowych biografii (m.in. „Jackie” z Natalie Portman), odtwórczyni głównej roli idealnie wpisała się w graną postać, dopełniła ją. – Kristen potrafi być tajemnicza, niezwykle delikatna i silna zarazem, a właśnie tej mieszanki najbardziej nam było trzeba – mówił, dodając że Stewart „ma fizyczność i styl wielkich kinowych aktorów z lat 50. i 60., ale nie jest ich kopią”.

SZKOŁA BRACI

Niezależność i silny charakter to cechy mocno wybijające się w wizerunku 31-latkowej Stewart. Oddana w pełni swojej bohaterce przed kamerą, dziś całkowicie od niej odeszła. Na czerwonym dywanie londyńskiej premiery – co prawda w sukience domu mody Chanel, którego jest ambasadorką – ale z zaniedbanymi włosami w kolorze wypłowiałej pomarańczy, zupełnie nie przystawała do obrazu, którym oczarowała recenzentów i widzów filmu „Spencer”. Podobnie, na niedawnej premierze w rodzinnym Los

Angeles – może z lepszą fryzurą, ale poza tym na własnych zasadach.

Silny charakter dostrzegła w niej już Jodie Foster. Uważała, że 11-latkę zrobi kinową karierę, ale... po drugiej stronie kamery. Tymczasem aspirująca do aktorstwa Kristen hartowała się, przechodząc szkołę życia – w domu (wychowana wśród trzech braci, w tym dwóch przysposobionych); wśród rówieśników (regularnie podkraδαła braciom ubrania i z tego powodu była obiektem kpin); w świecie mediów, skąd płynęły do niej opinie, że nie rozumie reguł show-biznesu (unikala dziennikarzy i pozowania na tzw. ściankach) i jest „aktorką jednej miny”. Ta ostanía opinia przylgnęła do niej w czasie, gdy filmowy cykl „Zmierzch” (2008–2012, gdzie z Robertem Pattinsonem tworzyła uwielbianą przez nastolatków parę) osiągał szczyty oglądalności.

BYĆ SOBĄ

– Nie chciałam być sławna, chciałam tylko grać – stwierdziła ostatnio na łamach „Harper’s Bazaar”. W 2012 r. wpłynęła się w skandal, romansując z reżyserem filmu „Królowa Śnieżka i Łowca”. Po ostatecznym zerwaniu z Pattinsonem postanowiła poszukać dla siebie nowego miejsca w kinie, zaczęła też eksperymentować w związkach z partnerkami. Z perspektywy czasu oceniła, że jako 21-latkę „nie miała pojęcia, kim jest”, ale jednego była pewna: chciała być sobą.

W lockdownie obchodziła 30. urodziny. – Na początku kwarantanny za dużo pilał i paliłam. Potem się ogarnęłam – mówiła w „InStyle”. W innym wywiadzie dodawała: – Im jestem starsza, tym łatwiej mi się żyje. A potem weszła na plan filmu „Spencer”.

FAKTY RMF FM

NAJBARDZIEJ WIARYGODNE ŹRÓDŁO INFORMACJI



radio nr **1** *w Polsce*

RMF
FM

„Hiacynt” – kino jednak nieoczywiste

Obejrzałem na Netflixie film „Hiacynt” Piotra Domalewskiego. Jedyny z ważnych tytułów, który mi umknął na festiwalu w Gdyni. Już na niego jechałem, ale przedłużyło się spotkanie po innym filmie. Taki jest urok imprezy filmowej w Gdyni.

Jestem zwolennikiem kina Domalewskiego, nawet jeśli serial „Sexify” wywołał pewne moje wątpliwości – jako zbyt publicystyczny w finale. Nastąpiła rzeczywistość, jak zdążył tu ogłosić Łukasz Adamski, zasadnicza zmiana w stylu tego twórcy. Po solidnym kinie społecznym, pełnym empatii dla bohaterów, szukającym tematów na prowincji, najpierw komediowy manifest. A teraz? Czarny kryminał?

Z pewnością obraz długo rozwijający się zgodnie z logiką kryminału, wciągający w lepkie meandry rozmaitych zagadek, podkreślę – bardzo sprawnie. Choć jednak, będę się upierał, to nie tak klarowne kino gatunkowe, jak chce Adamski, bo podszyte społeczno-polityczną tezą. Niby historyczną, bo milicja i Służba Bezpieczeństwa szykanują tu (a nawet więcej niż szykanują) gejów w latach 80., w dobrze uchwyconych realiach PRL. A jednak scenarzysta Marcin Ciastoń, przyznający się do bycia gejem, na gali festiwalu w Gdyni apelował o „poszanowanie każdego człowieka w Polsce”

– dziś. Była w tym sugestia, że każdy, kto się nie podpisze pod ideowo-politycznymi postulatami środowisk LGBT, jest spadkobiercą obrzydliwych milicyjnych praktyk tamtych czasów. Praktyk zdumiewających, bo realizowanych poza jakąkolwiek podstawą prawną, także ówczesną.

Miałem wrażenie, odmienne niż Adamski, że czym bliżej końca filmu, tym owej „gatunkowości”, rozkoszowania się kryminalnymi smaczkami, było mniej, a nie więcej, nawet jeśli kilka razy padły strzały. Poza kontekstem obyczajowym, to także znana nam już dobrze, ale zawsze wstrząsająca, wywołująca poczucie bezsilności, opowieść o policji, która zamiata po samej so-

bie, przygotowując fakty i produkując winnych. Ale w momencie, kiedy główny bohater, sierżant znakomicie grany przez Tomasza Ziętką, przechodzi przemianę (trochę zbyt na mój gust plakatową, ale pokazaną sugestywnie), jest to coraz bardziej manifest o walce o ludzką godność. Momentami nawet melodramat. Notabene, zgoda z Łukaszem, drugi milicjant, grany przez Tomasza Schuchardta, to kawał aktorskiego mięcha. Ale żaden twardziel z klasycznych kryminalów, a odrażająca postać pastwiąca się nad słabszymi. Może na samym końcu tylko ulegająca ludzkiemu odruchowi wobec kolegi.

Co mi się natomiast w filmie Domalewskiego spodobało, to jednak jego nieoczywistość, wątki czy akcenty wychodzące poza logikę manifestu. Geje z lat 80. są tu inni niż chociażby z „Lubiewa” Michała Witkowskiego, które ma filmować Piotr Maślona. To albo ukrywające swą inność szaraczki, albo kolorowe ptaki, epatujące ekscentrycznymi zwyczajami, ale nienazywane się kobiecymi imionami, mniej „freakowate” niż u Witkowskiego, a przez to budzące większą jeszcze sympatię.



A przecież jednak... Reżyser nie pozostawia wątpliwości, kto tu jest ofiarą. Jeśli homoseksualiści dopuszczają się rozmaitych patologii, sugestia jest taka, że nie byłoby tego, gdyby nie atmosfera zakazów i tajemnicy, jaka ich otacza. Ale czy do końca? Można przeoczyć to, że najsympatyczniejsi z nich gotowi są jednak sprzedawać się za pieniądze. Puenta, rozwiązanie intrygi, pozostaje trochę niejasna. Nie na tyle jednak, aby tego nie dostrzec.

W tym sensie to uczciwe kino, nikt tu nie pozostanie do końca czysty, choć winy milicyjnych czynowników warte są tylko wzgardy, a „drugiej stronie” się współczuje.

Piotr Zaremba



ŚMIERĆ ŻYGIELBOJMA

LONDYN 1943. SZOKUJĄCE
ODKRYCIE W JEDNEJ
Z LONDYŃSKICH KAMIENIC!

NEWS

NEWS

ŚLEDZTWO UJAWNIA
WSTRZĄSAJĄCĄ
ZBRODNIĘ!
Jaka będzie reakcja władz?

TAJEMNICZA ŚMIERĆ
MĘŻCZYZNY Z POLSKI!



NEWS

ZASKAKUJĄCE MILCZENIE
WIĘKSZOŚCI MEDIÓW
I POLITYKÓW.

Dlaczego świat
boi się PRAWDY?
Czy uda się
przełamać
zmowę
MILCZENIA?



WOJCIECH
MECWAŁDOWSKI

GRUSZKA
ROTH
POPŁAWSKA
BOSAK
GONERA

W KINACH OD
5 LISTOPADA

Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych przedstawia film „Śmierć Żygielbojma”, wyprodukowany przy wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej, współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej.

Występują: Jack Roth, Wojciech Mecwaldowski, Karolina Gruszka, Will Brown, Christopher Fairbank, Dobromir Dymecki, Marcin Bosak, Paweł Ciołkosz, Robert Goner, Aleksandra Popławska, Marta Ojrzynska, Grant Masters, Beata Fudalej, Sławomir Holland.



Honorowy patronat wiceprezesa Rady Ministrów,
ministra kultury, dziedzictwa narodowego
i sportu prof. Piotra Glińskiego

Manifest pisany śmiercią

Na ekrany kin wchodzi „Śmierć Zygielbojma”. Film o pewnym samobójstwie, które pozwoliło w zupełnie inny sposób spojrzeć na kwestię Holokaustu.

Choć w praktyce zmieniło niewiele



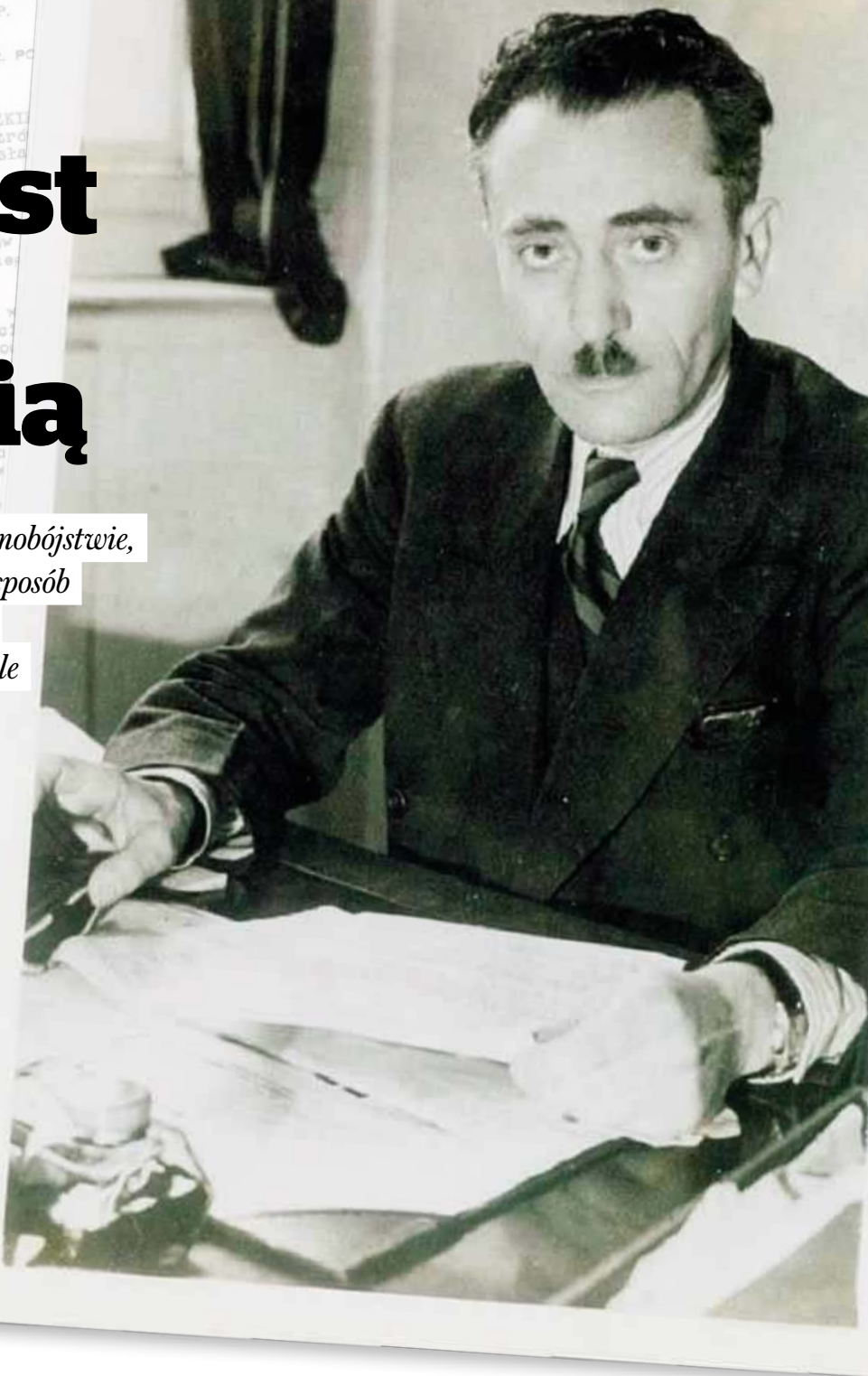
WOJCIECH ŁADA

13 maja 1943 r. Szmula Zygielbojma znaleziono martwego w jego londyńskim mieszkaniu. Co do tego, że zabił się sam, nie było wątpliwości. Nie znaleziono żadnych śladów włamania, nic też nie wskazywało, by użyto wobec niego przemocy. Jeśli śledczy mieli jakiegokolwiek obiekcję, całkowicie rozwiązało je odnalezienie listów pożegnalnych. „Śmiercią swoją pragnę wyrazić najsilniejszy protest przeciw bierności, z którą świat przygląda się i dopuszcza zagłady narodu żydowskiego” – zapisał tuż przed odebraniem sobie życia.

Dobiegał wówczas pięćdziesiątki, był mężczyzną poważnym, praktycznym i rzeczowym. Nie cierpiał na depresję ani żadną inną dysfunkcję psychiczną, nie miał w sobie nic z potencjalnego samobójcy. Owszem, w tym momencie, w połowie 1943 r., był już człowiekiem

znerwicowanym i zdesperowanym, ale po pierwsze – miał ku temu realne powody, po drugie zaś – te właśnie cechy pchały go zawsze do jeszcze większej aktywności. Był raczej typem, który walczy o życie, a nie ucieka w śmierć. W jego jednak przypadku to właśnie śmierć była ostateczną formą aktywności, jaką mógł jeszcze wykorzystać.

I wykorzystał na spokojnie, planowo, całkowicie świadomie. Władysław Bartoszewski wspominał, że 11 maja Zygielbojm zadzwonił do swojego kolegi, historyka Izaaka Deutschera, informując go, że zamierza rozpocząć głodówkę przed siedzibą premiera Winstona Churchilla. Deutscher jednak



odradził mu ją, słusznie uważając, że nie odniesie ona żadnego skutku, bo wojenna cenzura nie dopuści do rozprzestrzenienia się informacji o niej w mediach. Zygielbojm najwyraźniej przyznał mu rację. I dlatego właśnie po dwóch dniach zdecydował się na ruch, którego żadna cenzura nie będzie w stanie zatuszować.

ZA MŁODY NA REWOLUCJĘ

Kiedy pod koniec XIX w. przychodził na świat w prowincjonalnym Krasnymstawie, w jego rodzinnym domu bieda dosłownie popiskiwała zgodnym chórem dwanaścioro dzieci, które usiłowali ze średnim skutkiem wyżywić rodzice – ojciec nauczyciel i matka krawcowa. Ambicje najwyraźniej jednak mieli, skoro mały Szmul w ogóle poszedł do szkoły, choć udało mu się ukończyć w niej zaledwie dwie klasy. „Nie wiem, gdzie on się douczał” – przyznawał Bartoszewski, który poznał Zygielbojma ponad 40 lat później i odebrał jako osobę kulturalną, czytającą i po prostu mądrą. On sam zbywał podobne pytania, mówiąc, że jego przedszkolem był „szum Wieprza, a uniwersyte-tem praca społeczna wśród ludzi”. Wiadomo, że podjął naukę stolarki, by choć trochę ulżyć rodzinnemu budżetowi.

Nie wiadomo natomiast do końca, kiedy zainteresował się polityką i związał z Bundem. Ta żydowska organizacja powstała w 1897 r. na fali wywołanej przez rosyjską Narodną Wolę – bodaj pierwszą grupę terrorystyczną na świecie, która miała na koncie m.in. zabicie cara Aleksandra II. Bund aż takich „sukcesów” nie odnotował, ale młody Zygielbojm mógł słyszeć opowieści, jak to w 1902 r. szewc Hirsz Lekkerter dokonał zamachu na generała-gubernatora wileńskiego Wiktora von Wahla,

albo – już za jego dziecięcej pamięci – podczas rewolucji 1905 r. – bundowcy wyzwolili z rąk rosyjskich Siemiatycze i utrzymali w nich władzę przez kilka tygodni. W tym okresie byli naiwnie marksistowscy, ale ewoluowali. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. zmienili się w partię socjali-

„W tysiącach mieszkań żydowskich w Warszawie pojawili się nagle ludzie, którzy wyjaśniali, że przyszli z polecenia »podziemnego komitetu«. Pytali we wszystkich rodzinach, czy nie dotknęło ich wyjątkowe nieszczęście, czy nie potrzebują specjalnej pomocy, jak lekarza, lekarstwa itp. W każdym mieszkaniu zostawiali pieniądze” – pisał Zygielbojm o aktywności bundowców w pierwszych miesiącach okupacji

styczną w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.

Szmul był za młody na rewolucjonistę, nie miał zresztą temperamentu bojowca, ale podobne legendy kształtują postawy. Jego najwcześniejsza młodość nie była pasjonująca, ale pozwoliła mu dobrze poznać społeczeństwo. Kiedy już udało mu się wyrwać ze stolarni, a nawet ożenić się i założyć rodzinę, zajmował się wyrobem rękawiczek. Jednocześnie jednak dojrzewał w nim społecznik. W pewnym momencie znalazł się w Chełmie, gdzie wyraźnie uaktywnił się jako działacz Bundu, i to z takim powodzeniem, że wkrótce znalazł się w warszawskiej centrali partii. Został wybrany na sekretarza general-

nego Sekcji Żydowskiej Centralnej Komisji Związków Zawodowych, pisywał do gazety „Arbeiter Fragen”, a po pewnym czasie został również radnym Warszawy i Łodzi. „To była wtedy wielka postać! To był ktoś! Członek Komitetu Centralnego Bundu!” – przyznawał Bartoszewski.

KOMPLEKS KASANDRY

I w takiej właśnie roli zastał Zygielbojma wybuch wojny. „Dwaj działacze Bundu, Abrasza Blum i Szmul Zygielbojm, porozumiewają się z prezydentem Stefanem Starzyńskim i organizują oddziały żydowskie” – wspominał Marek Edelman, Zygielbojma określając wprost „naszym przywódcą”. Pozostał nim także po kapitulacji miasta. Bartoszewski przyznawał, że zaprzyjaźnił się z nim wówczas, często wieczorem odprowadzał go do konspiracyjnych lokali. „Wspominając początki okupacji, opowiadał mi ze smutkiem: »wszystkich moich przyjaciół z Ratusza rozstrzelali«”.

Choć jeszcze niewiele na to wskazywało, jako jeden z pierwszych przewidywał Zagładę Żydów. „Jesienią 1939 r. Zygielbojm zwołał zebranie na podwórzu siedziby Gminy Żydowskiej i ostrzegł, że represje, na razie nieznaczne, z pewnością bardzo się zaostrzą. Ciężkie czasy? Tak. Ale

zagłada? Kto by w to wtedy wierzył? Nikomu z nas to przez myśl nie przeszło! Wydawało nam się wszystkim, że wojna jak wojna. Prędzej czy później (raczej prędzej) się skończy” – pisał Edelman.

Rację miał jednak Zygielbojm. Represje nasilały się z miesiąca na miesiąc, ludzie ginęli lub byli wywożeni nie wiadomo gdzie, zaczynał się szerzyć głód. Warszawskie getto wciąż jeszcze nie dowierzało w możliwość masowej i planowej zagłady. Nawet kiedy w lutym 1942 r. dotarł tu Szlamek Fajner, uciekinier z obozu w Chełmnie, a po nim jeszcze dwóch ocalałych z mordu. Z ich relacji wynikało, że w grudniu 1941 r. w Chełmnie zagazowano ok. 40 tys. Żydów łódzkich, drugie tyle

z Pomorza i kilkuset Cyganów z Besarabii. Inny uciekinier, z Bełżca, mówi to samo. Edelman przyznaje, że nawet wówczas nie dowierzano tym relacjom. „To było nie do pojęcia. Ludzie dlatego nie wierzyli, że to było nie do pojęcia. Komu mogło przyjść do głowy, że mogą miliony wsadzać do komór gazowych?” – tłumaczył.

Przyszło to do głowy właśnie Zygielbojmowi. Jeszcze w 1940 r. podjął karkołomną próbę przedostania się z okupowanej Polski na Zachód. Był człowiekiem poszukiwanym przez Niemców, jako jeden z organizatorów obrony Warszawy, przywódca znaczącej partii, i oczywiście jako Żyd. Mimo

to udało mu się wydostać z kraju, przejechać praktycznie całą ówczesną Rzeczę i dotrzeć do granicy z Belgią. Wiele wskazywało, że tu zakończy się jego podróż, bo właśnie na granicy odkryto jego tożsamość i aresztowano. Miał to szczęście, że był już osobą znaną w europejskim ruchu żydowskim i socjalistycznym – dzięki wsparciu Bundu wydostał go z więzienia późniejszy premier Belgii, Paul Spaak. Korzystając z okazji, jeszcze w Brukseli Zygielbojm wygłosił odczyt o sytuacji Żydów w okupowanej Polsce, a następnie zrobił to samo wielokrotnie w Stanach Zjednoczonych, do których wkrótce się przedostał już bez większych przeszkód.

Mógł tam zostać i prowadząc spokojne życie, lobbować w kwestii żydowskiej. Nie było to jednak w jego stylu – chciał być jak najbliższe wydarzeń. Wrócił więc do Europy i został w Londynie członkiem polskiej Rady Narodowej przy rządzie emigracyjnym.

NIE ZROBILI NIC

„Zygielbojm nie miał łatwego życia w Radzie Narodowej. Jak opowiadają ludzie, którzy go znali, był tam izolowany [...]. Stolik, przy którym siedział, musiał odsunąć w kąt i nikt nigdy się do niego nie przysiadł” – wspominał Edelman. Z taką opinią polemizowała co prawda Lidia Ciołkosz, małżonka wspaniałej postaci, jaką był Adam Ciołkosz – stary pepeesowiec, wówczas również członek Rady Narodowej. „Nie był izolowany? Tak. Zygielbojma popierał tylko jeden Ciołkosz” – odpowiadał na jej zarzuty Edelman. Istotnie to właśnie Ciołkosz okazał się dla Zygielbojma największym wsparciem w Londynie, choć wcale niejedynym.

Przygotowywane przez Bund raporty w sprawie sytuacji Żydów pod okupacją trafiały na biurko Zygielbojma od czerwca 1942 r. O tym, że nie leżały tam długo, świadczy choćby to, że informacje z pierwszego z nich, szacującego liczbę żydowskich ofiar hitlerowskiego terroru na 700 tys., przekazał na antenie radia BBC premier Władysław Sikorski. Środowiska żydowskie sceptycznie oceniają pomoc rządu polskiego w nagłaśnianiu Zagłady, ale to nie do końca prawda. Polska jako taka nie posiadała środków na wymierną pomoc i jedyne, co mogła robić, to zwracać na to uwagę zachodnich mocarstw. I z tego wywiązała się całkiem nieźle. Jeszcze w kwietniu 1940 r. polscy politycy wymusili publikację wspólnej deklaracji rządów Wielkiej Brytanii, Francji i Polski „o okrutnym traktowaniu ludności żydowskiej”. Niewiele później ukazało się opracowanie „Prosecution of Jews in the German – Occupied Poland” (Prześladowania Żydów w okupowanej przez Niemcy Polsce). W marcu następnego roku polski rząd wystosował oficjalną notę do rządów państw sprzymierzonych, w której sporo miejsca poświęcono kwestii żydowskiej, a pod



Poruszający film

„Śmierć Zygielbojma” w reż. Ryszarda Brylskiego („Żurek”, „Cudowne lato”) to oparty na faktach i zarazem pierwszy fabularny obraz poświęcony temu bohaterowi (w 2000 r. dokument „Śmierć Zygielbojma” zrealizowała Dżamila An-kiewicz). Muzykę skomponował laureat Oscara Jan A.P. Kaczmarek, autorem zdjęć jest Piotr Śliksowski.

W tytułową postać wcielił się Wojciech Meczaldowski. Brytyjskiego reportera, za-intrygowanego sprawą samobójczej śmierci przybysza z okupowanej Polski, zagrał Jack Roth. Młody dziennikarz nie przeczuwa, że z tragedią Zygielbojma jego życie spleło się już wcześniej. A to za sprawą tajemniczej rudowłosej piękności. Ewa Zemler, którą Adam (dziennikarz) jest zafascynowany

(poruszająca Karolina Gruska), uciekając przed Niemcami, również została w Warszawie bliskich, by już nigdy ich nie spotkać. Podobnie jak Szmul, nie jest w stanie z tym żyć.

Reżyser podkreśla uniwersalny wymiar przekazu swojego filmu: „Postać Szmula Zygielbojma, do niedawna prawie zapomniana i jakby ukryta przez zawstydzony świat, staje się symbolem buntu przeciwko ludzkiej indolencji, a jego spektakularna śmierć przedmiotem dyskusji o mechanizmach milczenia wobec dokonującej się gdzieś w sąsiedztwie zbrodni ludobójstwa. Mam nadzieję, że nasz film odegra znaczącą rolę w tej dyskusji”.

Premiera filmu 5 listopada 2021 r.

JGZ

koniec roku zachodnia opinia publiczna mogła się zapoznać z publikacją „Bestiality Unknown in Any Previous Record of History” (Bestialstwo nieznane dotychczasowym świadectwom historii). Wkrótce potem ukazała się, dwukrotnie wznawiana, praca „The German New Order in Poland” (Nowy ład niemiecki w Polsce). I wszystkim tym zarządzał Szmul Zygielbojm.

Problem tkwił więc raczej nie po stronie polskiej, lecz zachodnich mocarstw – które istotnie nie zainteresowały się otrzymanymi informacjami. „Nie zrobili absolutnie nic. Nawet nie wykonali jednego bombardowania odwetowego ani nie zrzucili ulotek nad Niemcami, że będzie odpowiedzialność. Wydali jakieś oświadczenie dyplomatyczne, że po wojnie sprawcom udowodni się winę i będą z całą surowością ścigani” – oburzał się Edelman. Podobno sceptycznie wobec tych wszystkich informacji nastawiony był nawet Amerykański Kongres Żydowski.

Tymczasem w Polsce sytuacja była już katastrofalna. „Wszystko w getcie wydawało mi się skażone śmiercią, odorem rozkładających się zwłok, brudu i zgnilizny. Staralem się nie dotykać ścian, nie ocierać o ludzi. Odmówiłbym napicia się wody w tym mieście śmierci, nawet gdybym umierał z pragnienia. Zdaje się, że wstrzymywałem też oddech, aby nie nawdychać się za dużo zatrutego powietrza” – opowiadał Jan Karski, który wkrótce przedostał się do Londynu, by osobiście, jako naoczny świadek, wesprzeć Zygielbojma w jego działaniach. Poznali się zresztą i przez pewien czas byli sobie bliscy.

SPOTKANIE W LONDYNIE

Spotkali się 2 grudnia 1942 r. w Stratton House, w siedzibie polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. „Jest to gigantyczny gmach” – wspominał Karski. „Kiedy nareszcie odszukałem właściwy gabinet na trzecim piętrze, Zygielbojm już tam był – czekał na mnie, siedział przy małym biurku. Wyglądał na zmęczzonego. Przypomina typ często spotykany przeze mnie wśród przywódców

żydowskich – miał nieufne, przenikliwe oczy proletariusza, który zaszedł wysoko w hierarchii władzy dzięki wytrwałej pracy. W młodości życie na pewno nie głaskało go po głowie”.

Na Karskim Zygielbojm zrobił duże wrażenie. Większe niż dziesiątki polityków i ludzi kultury, którym opowiadał o sytuacji Żydów polskich. „Zygielbojm

„Muszę tu wspomnieć, że ludność polska ofiarowuje Żydom wszelką możliwą pomoc i sympatię. Solidarność ludności polskiej ma dwa aspekty, po pierwsze, znajduje wyraz we wspólnym cierpieniu, po drugie, w ciągle prowadzonej walce z nieludzką potęgą okupanta” – zauważał Zygielbojm

śluchał pilnie, łapczywie, a jego głodu informacji nie sposób było zaspokoić. Siedział sztywno, z nogami rozstawionymi na boki i nieruchomym, pochylonym do przodu tułowiem, dłońmi na kolanach. Jego ciemne, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w jakiś punkt na suficie. Ani razu nie mrugnął. Wyraz jego twarzy prawie się nie zmieniał, nie poruszył się żaden mięsień, tyle tylko że z rzadka nerwowy tik ściągał mu policzek [...] Wypytywał mnie o wygląd domów, dzieci, chciał wiedzieć, co powiedziała mi kobieta, która położyła mi dłoń na ramieniu, kiedy przypatrywałem się »polowaniu« [...] Pytał mnie, jak wyglądały ciała martwych Żydów na ulicach getta i czy zapamiętałem słowa dziecka konającego na chodniku” – opowiadał kurier.

Karski przekazał także Zygielbojmowi prośbę, a właściwie desperackie żądanie, przywódców getta. To właśnie stąd być może wziął on pomysł zorganizowania głodów, bo to właśnie sugerowali. Choć podobno był wobec tego poczt-

kowo sceptyczny. „Wezwaliby po prostu dwóch policjantów i wywlekli mnie z takiego urzędu. Sądzi pan, że daliby mi umrzeć powolną, przeciągającą się śmiercią? Nigdy... Nigdy by do tego nie dopuścili” – mówił. I być może właśnie wtedy doszedł do wniosku, że jedyną formą zwrócenia uwagi na kwestię żydowską będzie samobójstwo. Nie czuł nienawiści. Nigdy np. nie obciążał żadną odpowiedzialnością ludności cywilnej. „Muszę tu wspomnieć, że ludność polska ofiarowuje Żydom wszelką możliwą pomoc i sympatię. Solidarność ludności polskiej ma dwa aspekty, po pierwsze, znajduje wyraz we wspólnym cierpieniu, po drugie, w ciągle prowadzonej walce z nieludzką potęgą okupanta. Walka z ciemieżcami toczy się nadal, twardo, uparcie, tajnie, toczy się nawet w getcie, w warunkach tak strasznych, że trudno je opisać lub wyobrazić je sobie” – pisał.

Kiedy jednak 13 maja 1943 r. zdecydował się wreszcie na krok ostateczny i odkręcił w swoim mieszkaniu kurek z gazem, w poźegnalnym liście zawarł poważne oskarżenie dla całego świata. „Odpowiedzialność za zbrodnię wymordowania całej ludności żydowskiej w Polsce spada w pierwszym rzędzie na samych morderców, ale pośrednio obciąża ona także całą ludzkość, narody i rządy państw sprzymierzonych, które dotąd nie usiłowały przeprowadzić konkretnej akcji celem wstrzymania tej zbrodni”.

„Nie znalazł ukojenia w śmierci” – smutno przyznawał Karski. Istotnie nie stała się ona medialnym wydarzeniem, bo nikt nie miał w tym interesu. Kto się o niej dowiedział, zazwyczaj był poruszony – to pod jej wpływem Władysław Broniewski napisał wtedy wiersz „Żydom polskim”, dedykowany jego pamięci – były to jednak jednostki, rządy pozostały niewzruszone, a Holokaust trwał.

Postać Szmula Zygielbojma powoli odchodziła w zapomnienie. Wchodzący na ekrany kin film jest w zasadzie pierwszą od dziesięcioleci próbą przypomnienia tej tragicznej postaci i już choćby to wystarczy, by uznać go za ważne wydarzenie.

To, co nas łączy

O Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym Heart of Europe z **Mateuszem Matyszkowiczem**, członkiem zarządu TVP, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Gdzie dziś bije serce telewizyjnej Europy?

Mateusz Matyszkowicz: Usłyszymy je i zobaczymy na każdym nośniku, dzięki któremu widzowie będą mogli uczestniczyć w Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym Heart of Europe. Trafia tu najlepsze produkcje telewizyjne z naszej części Europy. Dla tych, którzy cenią wielki ekran, od 3 do 5 listopada otworzą się sale warszawskiej Kinoteki, ale też każdy mieszkaniec państw należących do tzw. Trójmorza będzie mógł u siebie, na komputerze lub innym urządzeniu elektronicznym, obejrzeć festiwalowe produkcje, wchodząc (od 3 do 30 listopada) na platformę heartofeurope.tvp.pl. Zarówno pokazy kinowe, jak i dostęp online będą bezpłatne, a filmy i inne programy z naszego regionu będą dostępne w oryginalnych językach z napisami w języku angielskim.

Międzynarodowy Festiwal Telewizyjny brzmi poważnie, dumnie...

Ale też ciepło, bo to przecież serce.

Poza serdecznością, jaki był powód stworzenia Heart of Europe?

Przed wszystkim czujemy bliskość doświadczenia i historycznego, i geograficznego, i kulturowego z obywatelami takich państw, jak Czechy, Węgry, Rumunia, ale też państw bałtyckich czy Ukrainy. Gdzieś te nasze języki, nawet jeśli nie należą do grupy języków słowiańskich, jednak się do siebie zbliżają. Poprzez zamieszkiwanie tej, a nie innej części Europy. Tam, gdzie my jesteśmy, tam i nasze serce, więc dla nas serce Europy jest tutaj. I to też widać bardzo wyraźnie w nadesłanych produkcjach. Są one tworzone bez kompleksów Wschodu albo bez kompleksu Zachodu. Są szczere. Są konfrontowane się także z własnymi trudnymi



tematami, stąd wiele tych produkcji dotyka np. przeszłości komunistycznej naszych państw czy doświadczenia II wojny światowej, ale za każdym razem jest to w swoim, nienarzuconym języku. Jest to rzeczywiście nasze serce. I, podkreślam, jest to serce Europy, bo nasze państwa wyraźnie należą do kręgu kultury europejskiej na takich samych zasadach, jak produkcje niemieckie, brytyjskie czy francuskie.

Ponadto w świecie, który się globalizuje, jeżeli chodzi o narzędzia komunikacji, gdzie zaczynają dominować wielkie, ponadnarodowe platformy streamingowe udostępniające treści filmowe, coraz istotniejsze jest dbanie o to, co lokalne. Co jest nie tylko wytwarzane w naszych państwach, ale też inspirowane, kreowane u nas. Ten festiwal jest również wymianą doświadczeń, pokazuje, jak sobie radzimy na globalnym rynku z naszą własną opowieścią.

Ile państw bierze udział w festiwalu? Które? I co pokażą?

12 telewizji publicznych z 12 krajów Trójmorza. Łącznie zgłosiły one ponad 80 produkcji, które zostaną zaprezentowane w ramach festiwalu. Ta inicjatywa zrodziła się w ramach naszych kontaktów w obrębie EBU, Europejskiej Unii Nadawców, gdzie Polska, ściśle współ-

pracuje z innymi nadawcami z krajów Grupy Wyszehradzkiej oraz z państw bałtyckich. Mamy stały roboczy kontakt ze sobą. Chcielibyśmy, żeby to był także kontakt między naszymi widzami.

W pierwszej edycji zaprosiliśmy naszych partnerów do udziału w sześciu kategoriach: film fabularny, serial fabularny, dokument, rozrywka, produkcje dla dzieci i młodzieży oraz digital. Kategorie są nieprzypadkowe, bo fabuła i serial fabularny to znakomita okazja, żeby zobaczyć, jakim językiem siebie opowiadamy; jakie tematy interesują naszą masową publiczność. W dokumencie pulsuje nerw i odbija się wiele lęków naszego świata. Rozrywka to dziedzina, która ulega bardzo intensywnej globalizacji – dziś większość formatów rozrywkowych ma zasięg globalny, uwzględniając lokalne, licencyjne odpowiedniki – a my chcieliśmy zobaczyć, jaki jest potencjał kreowania nowych formatów rozrywkowych w naszej części Europy. Wreszcie produkcje dziecięce – bardzo istotne, bo kierowanie się do najmłodszej części widowni jest niezwykle ważną częścią działania telewizji publicznych na całym świecie. W Polsce mamy TVP ABC. W Stanach amerykańska sieć stacji publicznych PBS stoi „Ulicą Sezamkową” i innymi programami dziecięcymi. Ciekawe, jak w tej dziedzinie radzimy sobie w naszym rejonie.

Co zobaczymy w pierwszej edycji Heart of Europe? Co zgłoszone produkcje mówią o uczestnikach festiwalu?

Przed wszystkim widać zróżnicowanie, specjalności. I tak bracia i siostry Czesi są bardzo silni, jeśli chodzi o filmy i serie fabularne. Zgłosili bardzo dużo bardzo dobrych propozycji. Z kolei państwa bałtyckie czy Ukraina intensywnie dokumentują to, co dzieje się u nich i w ich najbliższej zagranicy.

Moją szczególną uwagę zwrócił estoński „Traitor” („Zdradca”), który – mając formułę bardzo dobrego serialu sensacyjnego, bardzo nordyckiego w formie, co przez język estoński jeszcze bardziej wzmacnia takie wrażenie – tak naprawdę opowiada o walce służb estońskich z rosyjskim wywiadem. To też jest odbiciem jakichś lęków, świadomości bardzo silnej w naszej części Europy.

Z kolei produkcje czeskie – podobnie jak nasze, ale też bułgarskie czy serbskie – często odnoszą się do okresu komunistycznego. Są próbą przetrwania tamtych doświadczeń, ponownego skonfrontowania się z nimi. Widać, że mocno nas to łączy.

Jak na tle innych zgłoszeń wypada polska festiwalowa „reprezentacja”?

Przed wszystkim jest wszechstronna. W każdej z dziedzin mogliśmy zgłosić spory pakiet propozycji. Przy okazji zaznaczmy, że pozycja organizatora nie daje nam ani większej puli, ani decydującego jurorskiego głosu w wyborze zwycięzców.

Wątek ocen i jurorów z pewnością za chwilę się pojawi, ale prosiłabym o przykłady polskich tytułów na festiwalu.

Jeżeli chodzi o seriale, to zaproponowaliśmy bardzo popularne w Polsce i cieszące się ogromnym uznaniem widzów „Stulecie Winnych” oraz serial „Osiecka”, który – co widzimy też po zainteresowaniu zakupowym – jest bardzo atrakcyjny w regionie. W kategorii filmów dokumentalnych pokażemy m.in. „Agonię” Tomasza Knittla o Adamie Strugu i jego odkrywaniu kultury ludowej. Jest to film, który już cieszy się bardzo dużym uznaniem na świecie, m.in. wygrał na Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym Złota Praga.

W fabułach bardzo różne propozycje: od historii ks. Ziei w filmie Roberta Glińskiego po obraz „Zenek”, który w tym kontekście jest bardzo ciekawy – jako doświadczenie muzyki popularnej od dolnej, o silnych inspiracjach ludowych, które jest wspólne i Balkanom, i krajom bałtyckim, i Ukrainie. Bardzo nas ciekawi, jak „Zenek” – potraktowany też jako próba zrozumienia zjawiska socjologicznego – zaistnieje.

W kategorii digital – pokazującej, jak telewizje radzą sobie z nowymi wyzwaniami technologicznymi i cywilizacyjnymi, jak potrafią przechodzić płynnie od tradycyjnego sposobu nadawania do online’u – zgłosiliśmy kanał Kultura 2.

Nadszedł czas na pytanie o jury – jaki jest jego skład i sposób pracy?

Zależało nam, by żadne państwo czy żadna grupa nie miała przeważającej liczby głosów. My też jako organizatorzy nie mamy decydującego głosu. Proces oceny – ponieważ materiału jest bardzo dużo – już się dokonuje. Członkowie jury to specjaliści z branży telewizyjnej, w każdej kategorii mamy przedstawicieli kilku uczestniczących nadawców, maksymalnie po jednym z danego kraju. Jurorzy teraz pracują zdalnie, a spotkają się na gali w Warszawie.

Jakie nagrody otrzymają zwycięzcy? I czy planowana jest transmisja gali?

Uroczystość wręczenia nagród będzie można śledzić za pośrednictwem wspomnianej platformy heartofeurope.tvp.pl oraz na antenie TVP Kultura. Tu też w trakcie festiwalu będzie działać studio i pojawiają się relacje z tematycznych paneli dyskusyjnych z udziałem ekspertów oraz zaproszonych gości. W finałowym wydarzeniu, 5 listopada po godz. 20, mogą też wziąć udział widzowie TVP1. W każdej kategorii wskazanych zostanie pięć najlepszych tytułów, a także przyznane zostaną nagrody za pierwsze i drugie miejsce – będą to statuetki i nagrody pieniężne.

Przed nami pierwsza edycja Heart of Europe. Jakie miejsce ma zająć ten festiwal w niemałej liczbie istniejących już telewizyjnych przeglądów?

Trochę jest to też odpowiedź na pytanie, czy poszerzać formułę geograficzną. Czy jest sens tworzenia kolejnego paneuropejskiego festi-

walu? Chyba nie. Przecież i tak uczestniczymy w mających wieloletnie tradycje festiwalach telewizji publicznych, takich jak Prix Italia czy Prix Europa, w których mieliśmy w tym roku nominacje do nagród. Natomiast o festiwal, który w sposób szczególnie zwracałby uwagę na nasze doświadczenie regionalne, warto się zatroszczyć. Potrzeba wspólnoty, ale też wymiany jest tu bardzo intensywna, co widać po doświadczeniach handlowych – rynkiem dla polskich seriali i fabuł są przede wszystkim państwa naszego regionu. Myślę więc, że Heart of Europe ma przed sobą przyszłość.



O czym śnią rośliny

Ta dziewczyna nie miała 17 lat. Burza rudych włosów i strach w oczach. Gdy ojciec dowiedział się, że szanse na wyleczenie jej nowotworu to 75 proc., zabrał ją i pojechali do uzdrowiciela. Ten mówił im o stuprocentowej pewności uleczenia – po 15 latach ta historia wciąż wywołuje emocje mojego rozmówcy, znanego krakowskiego onkologa. – Wrócili po siedmiu miesiącach. Ale nie było już co leczyć. Z dziewczyny została skóra i kości. Zmarła po tygodniu...

Polscy onkolodzy wyliczają, że co roku umiera pięć tysięcy chorych onkologicznie, którzy rezygnują z terapii na rzecz usług z dziedziny medycyny niekonwencjonalnej.

Jesteśmy wszyscy zajęci bieżącą polityką, ideologiczną presją neomarksizmu, wewnętrzną i zewnętrzną agresją na Polskę. Ale istnieją zagrożenia równie niebezpieczne, a nieomal niezauważalne. Od połowy XIX w. do mainstreamu naszej cywilizacji powoli wsącza się irracjonalizm. Niszczy zaufanie społeczne do nauki opartej na doświadczeniu oraz do chrześcijaństwa. Irracjonalizm oraz ezoteryzm od lat 70. ubiegłego wieku znalazły swoje miejsce w popkulturze, mniej więcej 30 lat temu przeniknął do mediów głównego nurtu. Dziś noce w TVN są własnością wróża Macieja, horoskop jest jedną z najczęściej klikanych zakładerek Onetu, okultystyczne pisma „Nieznany Świat”, „Wróżka”, „Czwarty Wymiar” sprzedawane są w kioskach, a autorzy bestsellerów zastanawiają się, o czym śnią rośliny.

W Polsce kręgi ezoteryczne szacują na 100 tys. liczbę uzdrowicieli, bioterapeutów, zielarzy, homeopatów, kręgarzy, rebirtherów, hipnoterapeutów, radiestetów, irydologów, białych ma-

gów i szamanów czy psychotroników i uzdrowicieli innych specjalności. Nikt tego rynku nie kontroluje, nikt nie sprawdza kwalifikacji znachorów ani ich metod. Reklamowani są w prasie okultystycznej i brukowej, niektórzy trafili do mainstreamu i zdobyli ogólnopolską sławę.

Rynek uzdrowiaczy dzieli się na dwa segmenty o zatartych granicach. Część znachorów to zwykli oszuści. Wykorzystują rozpacz ludzi, którzy dowie-

*Polscy onkolodzy
wyliczają, że co roku
umiera pięć tysięcy
chorych onkologicznie,
którzy rezygnują
z terapii na rzecz usług
z dziedziny medycyny
niekonwencjonalnej*

dzieli się, że medycyna naukowa nie zna sposobu na ich wyleczenie. Druga grupa uzdrowiaczy to ludzie inicjowani w toksyczną duchowość. Otwarcie się na ich autorytet w trakcie seansu sprawia, że chory zaczyna cierpieć również duchowo. Choć objawy duchowej choroby pojawiają się najczęściej dopiero po jakimś czasie. Najczęstszym objawem uczestnictwa w seansach bioenergoterapeutycznych są u nich depresje niedające się leczyć farmakologicznie.

Znany mi biznesmen z południowej Polski zachorował. Nie miał czasu na chodzenie po lekarzach i trafił na energoterapeutów. Uzdrowiali na odległość. Z początku były to tylko seanse



ROBERT TEKIELI

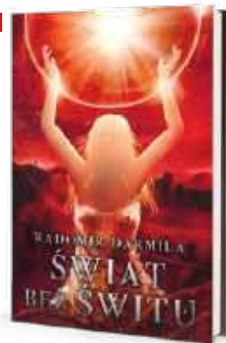
„przekazywania energii”. Potem zaczął się swych rozmówców radzić. Dzwonił raz na tydzień, potem codziennie, na koniec nie potrafił podjąć żadnej decyzji bez kontaktu z oszustami. Stracił firmę, stracił domy, był strzępkiem człowieka. Wielu uzdrowicieli, korzystając z zaufania chorych, uzależnia ich od siebie.

O skuteczności takiego uzależnienia przekonała mnie historia pani docent UJ. Zachorowała na raka. Trafiła do uzdrowiciela. Po sześciu miesiącach guz miał 17 cm. Znachor przekonywał ją, że to dobrze, że „choroba wychodzi na zewnątrz”. Jej ciało śmierdziało, przelewała się ropa. Ale kobieta nadal ufała bioenergoterapeucie. Mówiła mi, że nawet w tym ostatnim etapie wychodziła po seansie rozradowana, w euforii. Jak mówiła, „Na palcach”. Na szczęście w końcu trafiła do lekarza. Po operacji wyzdrowiała. Prowadzący ją profesor nie był w stanie zrozumieć, jak możliwe było takie emocjonalne i intelektualne uwiedzenie, które sprawiło, że kulturalna i wykształcona osoba nie widziała rzeczy takimi, jakie są.

Polskie państwo z urzędu powinno ścigać uzdrowiaczy i znachorów. Jest zaś dokładnie odwrotnie. I musi dojść do niedającej się zamieść pod dywan tragedii, by mordercy duszy i ciała ponieśli konsekwencje swych karygodnych działań. To smutne.

Może być Miesiąc temu miał polską premierę prequel „Zaginionej floty” Jacka Campbella, w której autor przedstawia początki planetarnego Sojuszu, który poznaliśmy w tej wielotomowej serii. **„Narodziny floty # 1 Awangarda”** to militarne science fiction o dość wartkiej akcji. Jack Campbell, czyli właściwie John G. Henry, bo tak brzmi prawdziwe nazwisko autora, był przez wiele lat oficerem amerykańskiej marynarki wojennej. To doświadczenie sprawia, że opisywana przez niego kosmiczna batalia jest w miarę wiarygodna. Autor przedstawia cywilną, rządzoną demokratycznie społeczność jednej z kolonii, która została nakloniona do poddania się rygorowi wymuszonemu przez inwazję. Sytuację komplikuje bowiem nowa technologia, czyli napęd skokowy pozwalający poruszać się w kosmosie z prędkością nadświetlną, paradoksalnie sprawiając, że ludzka wspólnota się atomizuje. Idzie za tym upadek starego porządku i prawa międzygwiazdowego wywiezionego z Ziemi, która przestała być centrum wszechświata.

Kiedy sąsiedni świat przypuszcza atak, jedyną nadzieją młodej kolonii są: przegrany polityk, dziewczyna z Marsa będącego slumsami Układu Słonecznego, młody oficer floty gwiazdowej oraz była szeregową piechoty kosmicznej. Lektura „Narodzin floty” nie jest doświadczeniem oszałamiającym, ale w jej trakcie nie nudziłem się potwornie. W sam raz dla panów powalonych na kilka dni gorączką 37,5 st. Celsjusza.



Może być Postapokaliptyczna powieść fantasy **„Świat bez świtu”** jest debiutem autora o pseudonimie Radomir Darniś. Historia toczy się w mrocznym świecie, który opuściły szczęście, Słońce i bogowie. Ci ostatni 20 lat wcześniej pokonali Naukturów i odeszli, zabierając ze sobą prawie całą ludzkość, pozostawiając niewolników, wykołajeńców, dziwki, żebraków i bandytów. Samozwańczy kapłani, próbując uprosić bogów, by

powrócili, składają krwawe ofiary z bezwolnych ludzi. Nad wszystkim jak brudna szmata zawisła beznadzieja. I w tej zawieszzonej między nocą a świtem rzeczywistości przypadkowo zebrana drużyna składająca się nie tylko z ludzi, wyrusza w podróż, której stawka, jak się finalnie okazuje, jest ostateczna.

Świat przedstawiony powieści jest jałowy, pełen przemocy, cierpienia i gniewu. Trochę tu średniowiecza, trochę klasycznej mitologii, trochę motywów z „Wiedźmina” i Ursuli le Guin. Bogowie są ułomni. Nadprzyrodzoność jest stopniowalna. Zło namacalne. Główni bohaterowie wyrażąście naszkicowani. Konflikt wystarczająco istotny. Akcja wartka. Concept imaginarium w miarę oryginalny, choć zmartwory to jednak mimo wszystko nie dementory. Powieść nie powala na kolana, ale to solidna literatura. W sam raz na podróż do Torunia i z powrotem.

Warte No i na koniec remanenty. Mające już kilka lat filmy i seriale na platformie Netflix, które jednak warto obejrzeć, bo da się dzięki nim odetchnąć od tęczowej atmosfery zatruwającej większość dzisiejszych produkcji. Na początek **„Kobiety mafii”** Vegi. Kino akcji z niezbędnym dystansem do komiksowego nieco świata warszawskich gangów. Przerysowana po umowność przemoc, brudny seks i groteskowy humor. Poprawnie skonstruowana fabuła. Zgrubsza chodzi o to, by się wszystko szybko ruszało. Mamy więc akrobacje na murze, brutalne egzekucje, mięsiste dialogi i skrócony kurs produkcji amfy. Aktorsko jest zupełnie nieźle. Psychopata Milimetr zagrany z porażającą dosłownością – która staje się kpina – przez Tomasza Oświecińskiego, zawodnika MMA. I do tego Olga Bołądź i Agnieszka Dygant, której bohaterka ewoluuje, decydując się na emancypację. Jej ceną jest cynizm i wyrachowanie. Matriarchat okazuje się okrutniejszy od patriarchy. Ponadto niezły Bogusław Linda w roli Padrino, mokotowskiego capo di tutti capi cierpiącego na nerwicę lękową. I wreszcie genialna Katarzyna Warnke w roli żony mafiosa, która swą komediową rolę blondynki zagrała brawurowo, nigdy nie przekraczając granicy wiarygodności.

„Pitbull. Ostatni pies” Pasikowskiego natomiast stoi akorstwem: Despero, Metyl i Nielat, ten ostatni po szkoleniu w FBI z nową ksywką Quantico. Dorociński, Mohr, Stroiński, dopowiadają historię swoich kultowych bohaterów z wcześniejszych odsłon „Pitbulla”. Do tego dający radę Pazura i Woronowicz oraz zupełnie niezła Doda.

I na koniec skrajnie niedoceniony serial telewizyjny **„Prokurator”**. Neurotyczny i staroświecki Jacek Koman w tytułowej roli, niedojrzały policjant grany przez Wojciecha Zielińskiego, Magda Cielecka w roli lekarza sądowego i sprawny Cezary Kosiński jako technik policyjny. W każdym z 10 odcinków tajemnicze zabójstwo i przeplatający całą fabułę serialu wątek porwania? zabójstwa? syna głównego bohatera. Tym razem na zachętę wyjątkowo nie zamieszczę spoilera serialu.

Robert Tekieli
Polskie Radio





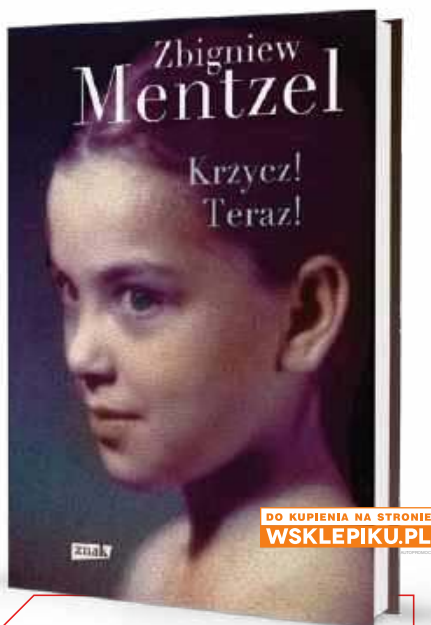
Wojciech Stanisławski

Żoliborskie melancholie

Z tej osnowy, z tych strun z największą siłą wznosi się kluczowy dla Mentzla akord: zdziwienie życiem, takim ogromnym, które wymknęło się, przeszło obok, nie dało spełnienia

Czas mu służy, twarz szczupleje. Odkąd czytam, prowadzi tę samą grę z autobiografią, z portretem dziecięcia PRL. Dwie powieści, opublikowane w odstępnie 20 lat, które traktują o tym samym czasie, doświadczeniach, porażkach, ba, o tym samym złotym zegarku prababci z czarnym reliefem na kopercie, a które czyta się z tą samą ciekawością, które zostawiają taki sam osad smutku? Umie opowiadać Zbigniew Mentzel.

Umie opowiadać, umie też po trochu kokietować. Wiadomo, większość autorów skubie po kawałku z własnego życia, przemyca je do tekstów, czasem kryjąc te kęsy przed sobą samym niczym glony chleba chowane za tapczanem, czasem ciesząc się w cichości z figla, czasem puszczając oko do znajomych: poznaście? W sytuacji jednak, gdy czyjaś prywatność pozostaje nam nieznana, trudno przyjąć zaproszenie do tej gry w fanty, nie jesteśmy w stanie rozróżnić zmyślenia, wspomnienia i cytatu. Co innego, gdy życie autora zostało już raz i drugi opowiedziane, gdy osadzony w sercu środowiska, głośny jako krytyk, stał się bohaterem plotek, opowiadań, dedykowanych mu wierszy, gdy sam odnosił się do swojej przeszłości w szkicach i wywiadach. W takich okolicznościach kolejną książkę czyta się jak powieść z kluczem, utożsamia głównego bohatera z autorem i niemal ze znudzeniem podstawia dość oczywiste postaci z „Krzycz! Teraz!” pod gwiazdy i decydentów Warszawy lat 60. i 70. Dyrektor Instytutu Filologii Polskiej po Marcu to



Zbigniew Mentzel,
„Krzycz! Teraz!”, Znak, 2021

naturalnie straszliwy Jan Zygmunt Jakubowski, wiadomo też, kim jest wykładający na polonistyce błyskotliwy Magister i młody, olśniewający dezynwolturą opozycjonista, pisarka, która przyjaźni się z dysydentem kardiologiem to przecież combo Krall–Edelman, no, a Alicja...

Nie tędy droga. Gdyby Mentzel chciał napisać autobiografię, zrobiłby to i pewnie nieźle by się sprzedała: historia publicysty „Polityki”, który rozstał się z redakcją 13 grudnia, samorodnego talentu giełdowego, wydawcy ineditów Kołakowskiego, człowieka, który zafascynował Osiecką, musi być ciekawa.

„Krzycz! Teraz!” jest jednak, tak jak je postrzegam, zupełnie czym innym: grą literacką w refreny, w powracanie z różną amplitudą motywów (czułość, krochmal, brzana, sen): wiadomo, takie taktyki są sekretem dobrej pieśni i gobelinu. Z tej osnowy, z tych strun z największą siłą wznosi się kluczowy dla Mentzla akord: zdziwienie życiem, takim ogromnym, które wymknęło się, przeszło obok, nie dało spełnienia.

Miłosz, późne dziecko, niemal jednak (starsza siostra żyje własnym życiem, choć nieraz zaważy na życiu brata) w prostych sytuacjach domowych i szkolnych szuka zapowiedzi późniejszych niepowodzeń. Każdy minirozdział, dwu–trzystronnicowy jest domknięty obłym jak ciężarek wędkę, zapadającym na dno wód i pamięci zdaniem. Oczywiście ta powieść jest dobrym zapisem ubóstwa i grotesku Polskiej Ludowej, po autorze, który debiutował „Pod kreską”, czyli, jak sam deklarował, kroniką ostatnich kwartałów PRL, można się spodziewać migawek ukazujących rzeczy dotąd nienazwane: kartonowy fryz „MARYJA ZWYCIEŻA” na rogu Stalingradzkiej, snobizmy Saskiej Kępy i Chamowa, kakofonii języków i wartości na łamach „Sekreśtów”, omszałe kioski Ruchu i nieznacznie tylko mniej omszałe sanatoria na linii otwockiej. Ale ten szarozielony cień, który kładzie się na młodości Miłosza, mniej ma wspólnego z epoką niż z dyspozycją bohatera, któremu raz i drugi zabraknie strzyknięcia adrenaliny, zerwania się do biegu, ciosu, decyzji: na wieczny rzeczy żal.

Oczywiście podobna melancholia znaczy srebrnym słuzem wiele powieści. Słysząc ją bardzo wyraźnie u Kundery, u Kosztolányiego, u Rotha (połowa naddunajskich autorów cierpiała na tę przypadłość, zaraziwszy się nią widać od monarchii), mnie jednak szczególnie bliska wydaje się ona z ennui (ale jest w tym uczuciu i Kunderowa litost) trapiącym Antką, niezapomnianego bohatera „Madame”. Oczywiście jej autor mógłby się na mnie żachnąć za to porównanie,

i niebezzasadnie: to są bardzo różne dykcje i postaci, Antek boksuje się z życiem, podczas gdy Miłosz schodzi z linii strzału, Libera, posilając się szachami i Mozartem, wznosi oszalamiającą konstrukcję tam, gdzie Mentzel snuje smętną melodię na kilka prostych nut, w „Madame” przeważa spokojny żart etruski, w „Krzycz! Teraz!” czeska cierpkość.

A jednak wspólne obu powieściom jest przejmujące poczucie, że to, co najważniejsze, umknęło, jakby park

Żeromskiego leżał na równinie Sedgemoor. Kobiety pozostają dalekie i niepojęte, rozmywają się przyjaźnie, dawne urzeczenia okazują się śmieszne w surowym świetle dnia. Zaczisnie jest w WSM-owskich mieszkaniach, koirytym podwórek, ale na Mickiewicza czy Słowackiego dopada zazdrosna myśl o tych, którym jest prościej, którzy umieją po prostu sięgać po życie, których nie pęta dobieranie słów.

Ten Żoliborz...

Król, hetman, mat

Spieram się o tę prozę od blisko 20 lat, od „Przyszłości z ograniczoną odpowiedzialnością” i „Mistrza”, z jej bezkrytycznymi entuzjastami, którzy, uradowani nazwaniem tego, co dotąd przemilczane, upierają się traktować pisarstwo Wildsteina jako „tęgi realizm”, chcąc widzieć w nim wierne świadectwo, chwając bez umiaru wszystko: intrygę i konstrukcję, i dialogi.

Z jej bezkrytycznymi przeciwnikami się nie spieram, bo i po co: ci mają z Wildsteinem kośę co najmniej od 31 stycznia roku 2005, jeśli nie osobiście dotknięci listą, to doskonale wiedzący, że od chwili jej publikacji obowiązuje anatema, że o tym autorze wolno źle albo wcale, że jego eseistyki się nie uważa, a opowiadania – flekuje.

Jedni i drudzy się mylą, nie dostrzegając rzeczy podstawowej. To pisarstwo nigdy nie miało być „realistyczne”, a jeśli, wbrew przyjętym założeniom, próbowało tego, to obraz, ostry w centrum, rwał się i zamazywał na obrzeżach, jak przy kiepskim renderowaniu. Wildstein nigdy nie miał ambicji bycia powieściopisarzem tworzącym całe światy, budującym siatki odniesień i jeszcze utykającym w nich paragony i kwity z pralni, a to dla obfitości detali. W moich oczach jego proza wpisuje się w tradycję obecną w polskim piśmiennictwie, ale mocno dziś lekceważoną: w pisarstwo oświeconych.

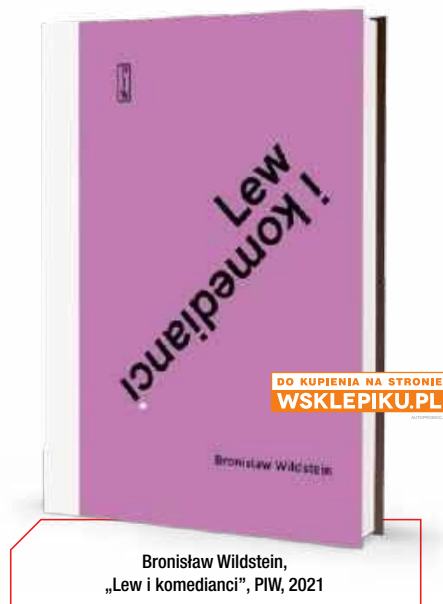
Te pergaminy, te projekty reform, te komedie, które muszą coś zmienić. To ostre, rozpaczliwe niemal widzenie

spraw, tego, jak mało zostało czasu. Ta pasja, jaką rodzi codzienny widok jurgieltników, jegomościów z waszeci, lokajów; świadomość ich śmieszności, ugrzęźnięcia w retoryce, nad którą nie panują, która spętała ich bez reszty. Ta ciekawość konfliktu racji: sceniczne i powieściowe postaci poruszają się ze sztywnością automatów, zgoda, ale to dlatego, że ich jedyną rolą jest nazwać, przekonać, wyśmiać, błysnąć repliką w trzech scenach drugiego aktu i zniknąć.

To ta pasja dyktowała wersy wszystkim Węgierskim, Dmochowskim, Książninom; literatom, inteligentom warszawskim, labusiom z harcapem,

a bodaj czy i nie ich starszemu o pokolenie mistrzowi, dożywającemu dni w Ferney. Fundament tej postawy? Solidne czytanie w filozofach i przekonanie, że to oni są w stanie nazwać to, co najważniejsze. Błahe komedijki nie traktują o przywarach obyczaju i ciała, ukazują spór idei, dla potrzeb spektaklu przystrojonych w żupan i kontusik. Do tego esprit, czyli z polską: zjadliwość. Do tego miejskość i instytucjonalność: bohater Wildsteina nad jeziorem czy na łąkach mógłby dostać najwyżej kataru siennego, spełnia się (lub myśli, że się spełnia) tylko w redakcjach, radach, korytarzach parlamentu, na proscenium. A w głębi serca, pod kamizelką z kamlotu, lęk przed tym, co nadchodzi: „A straszne niańki ciągle stoją nad Europą / Chcąc dzieci oblać wrzątkiem. Chyba tylko słowo / Wiersza mogło je wstrzymać; musiał pisać”.

Oczywiście, nie chodzi o proste nawiązanie do tamtej tradycji. Wildstein krytyk cywilizacji, Wildstein filozof pierwszy wymienia płycizny, na jakie trafiła myśl Europy za sprawą oświecenia. Upieram się jednak, że to ta pasja, ta ciekawość świata międzyludzkiego (czyli polityki), ciekawość ludzkich słabości (i zdolności do samooszukiwania się, by ich nie dostrzec), to przekonanie o starciu racji i doktryn nakręca sprężynę, za której sprawą poruszają się bohaterowie opublikowanych właśnie przez PIW trzech nowel, dramatu i słuchowiska: figurki partii szachów, którą Wildstein rozgrywa z ponowoczesnością.



Nazajutrz...



A jednak... a jednak nie odszedł. Wciąż żył! Za horyzontem wśród chmur czekał na niego tłum umarłaków. „No, chodź do nas! – wołali. – Dołącz! Nie ociągaj się! Tu jest fajnie! Fajniej niż u ciebie. Aniołowie serwują nam sznycle po niebiańsku z jajkiem sadzonym. Pijemy szampana, objadamy się karwiorem. No chodź!”



**KRZYSZTOF LOGAN
TOMASZEWSKI**

Zmarli płasali w zwolnionym tempie. Jak w jakimś teatralnym tangu. Była też orkiestra. Wynajęta widać przez archaniola na życzenie Pana Boga. Tańczyli w sukniach i garniturach w czerni, dokładnie w takich, w jakich ich pochowano. Zamiast włosów mieli szaro-rude pajęczyny. W oczodołach – fosforyzujące lampki. Było w tym coś z karnawału – ze święta ku czci świętego. Choć wszyscy święci, pomyślał, dawno powędrowali do nieba. Pamiętał przebój z 1955 r. „When the Saints Go Marching In”, który na płytę nagrał Bill Haley. Lecz dziś – tu i teraz – otoczył go niemy tłum

z zapalonymi świecami, przekomarzał się, podkpiwał sobie z niego, wkurzał go. Wśród zmarłych dostrzegł twarze swoich wielkich miłości i przelotnych miłości. Garbate, pochylone, otyłe, trzęsące się cienie oblegały go jak natarczywe cmy pod abażurem lampy nocnej. Gdzie rozbiegły się tamte cudowne, młodziutkie i powabne dziewczęta? – myślał. Co stało się z Aldoną, która pięknie malowała olejami? Tak, przypominał sobie, Aldonka umarła na białaczkę. Gdzie jest Hanna K. – pierwsza żona, którą kochał jak wariat dożgonną miłością, a która zapila się zapewne na śmierć? Gdzie podziały się wszystkie kobiety, których białe-czarne fotografie wklejał latami do albumu? Koleżanki i koledzy z liceum plastycznego? W tej grupie byli: Basia, Ewa, Gerard, Teddy, Jacek, Tomek. A także artyści, których płyty kupował w sklepach Nowego Jorku, Londynu, Berlina, Amsterdamu, Sztokholmu. Byli wśród nich: Del Shannon, P.J. Proby, The Everly Brothers,

Roy Orbison, Etta James i Billie Holiday. Wkrótce za horyzont wśród chmur odeszli: Niemen, Grechuta, Kurylewicz, Szukalski, Mec, Stańko, Demarczyk, Święciński, Warska. On żył, trwał, wbrew logice, pomimo obsesyjnych, wierzących się w mózg myśli o śmierci.

A może śmierć, myślał, jest dobra? Może po prostu bywa wybawieniem? Wciąż gdzieś sunęły pociągi. Frunęły samoloty. Płynęły łodzie, promy i okręty. Ktoś wyjmował listy ze skrzynki. Z nadzieją, że nadszedł ten jeden, wyczekiwany, miłosny list. Wytrząpywał na balkonie z koldry i prześcieradła okruszki nocy. Przygotowywał na drugie śniadanie tost z morelowym dżemem. Za szybą opadał z kłonu ostatni jesienny liść. Na podwórku kundel bawił się z kotem. Film Smarzowskiego „Pod Mocnym Aniołem” miał wstrząsnąć Polską, lecz naród nadal chlwał wódkę na umór. Kryzys społeczeństwa pod tym względem był nazbyt widoczny. Lecz wciąż tliła się nadzieja. Życie było zdumiewającą ener-

gią. W szpitalu ktoś po raz trzeci oddawał krew, by uratować nieuleczalnie chorego. Co minuta kogoś reanimowano. Na tyśnięcach cmentarzy trwały ceremonie pogrzebowe, a w tym samym czasie w piecach krematoryjnych palono zwłoki nowych zmarłych. Ci, którzy pozostali, przez miesiące oplakiwali dziecko, które zginęło w wypadku, żonę, która zmarła na raka, męża, który odszedł, gdyż był stary jak ziemia. Następni spisywali ostatnią wolę. Zastanawiali się, komu pozostawić dom, książki, kolekcję płyt czy obrazów. Życie toczyło się dalej. Dla jednych magiczne, dla innych banalne, dla kolejnych wzniosłe. Czyjeś nogi kroczyły chodnikiem. Krok za krokiem miliony ludzi zbliżało się do iluzorycznego celu. Gdzież on był? Na czym się opierał? Czy człowiekowi potrzebne były jeszcze myśli i przykazania filozofów: Arystotelesa, z jego nauką i prawem logiki, Diogenesa z pochwałą starości, Platona z teorią dobra i sprawiedliwości. Nikogo to nie obchodziło. Mieszkańcy wielkich metropolii jechali swymi wehikułami do pracy. Do zajęć, które miały im przynieść pieniądze i sławę, która w istocie przynosiła utratę, zgryzotę, samotność, depresję. Przekonywali się o tym chorzy na raka milionerzy z Wall Street.

Ten bezduszny chory świat tworzyły telewizja, Instagram, Facebook, stal, zwoje kabli, plastik, korporacje, koncerty, banki. Ludzkość potykała się o swe nogi. Zjadając własny ogon i własne ekskrementy, starała się zaspokoić już nie tylko głód, pragnienie, lecz i żądzę posiadania. Ludzkość pożerała wszystko: zwierzęta, kulturę, bogactwa planety, a następnie zwracała wszystko zmielone dziurawymi zębami w postaci śmierdzącej papki. Taką papką była technologia i jej nośniki. Bawiły się nimi dzieci.

„Trzeba przetrwać! Trzeba ratować Ziemię!” – wolano histerycznie. Lecz jak to uczynić, gdy wszystko się wali, płonie, topnieją lodowce, a tornada na zmianę z powodzią zamieniają planetę w krainę śmierci? „Tylko silni przetrwają” – odpowiadał zebrany w kościele nawiedzony kaznodzieja.

Ale świat stawał się impotentny. Masowo zaczęto wiały. Przemysł farmakologiczny zarabiał na niej krocie. Ludzi już nie podniecało. Ani wysokiego lotu kultura, ani dawna sztuka. W tym jałowym biegu było wszystko prócz miłości, przyjaźni, koleżeństwa, krztyny zainteresowania

drugą osobą. Ludzkość szukała natchnienia i energii w alkoholu i narkotykach. Zanikła wszelka motywacja do prawdziwego życia. Królowały małość, tandeta, zawiść, tęsknota za utraconą młodością. Zanikła niewinność, wodziła jej wszechobecna rutyna i wieczne oskarżanie innych – nie zaś siebie. Widoczne były nieprawdopodobne bogactwo oraz porażająca bieda.

Oto z czego składa się nasz kaleki świat, myślał. Świat chłodny, wyobcowany, egocentryczny. Żadna z istot, które jak w mrówczym kopcu tysiąca miast wędrowały każdego ranka do metra, nie miała ochoty ani odwagi, by podzielić się z drugą istotą prawdziwym stanem swego ducha. Swymi wątpliwościami, swą melancholią. A przecież – podobno – tak trudno żyje się bez drugiego człowieka. Tak niewiele nam potrzeba do spełnienia, do szczęścia. Wystarczy jedno zdanie, jeden krok we właściwą stronę, ciepły kąt, koszula, miska strawy, kubek wody. Może w tym, myślał z resztką nadziei w duszy, zawarty jest kawałek nieba nad głową? W drugiej istocie. Która niczym się od nas nie różni. Poza kolorem skóry, wychowaniem, wykształceniem, narodowością, wyznaniem. Dlaczego zatem się odseparowujemy?

Niebo czy piekło? Któż je wymyślił? W jakim celu? Byśmy za życia choć jeden raz spróbowali być mniej okrutni? Nie zabierzesz tam – w ostatnią drogę – ulubionego psa. Nie spakujesz ulubionych płyt z muzyką, która przez kilka dekad inspirowała cię albo po prostu – po ludzku – uspokajała. Możesz swoje sentymenty zgnieść wreszcie jak kartkę w papierową kulę i wyrzucić do kosza. Już nie musisz myć zębów, gimnastykować się, golić zarostu, a o ósmej rano, przebrawszy się w nowe ciuchy, mizdrzyć się przed lustrem jak nastolatek. Wyluzuj. Daj za wygraną. Nie musisz nic! Już nie musisz się ścigać ani nieustannie zbiegać o swoją karierę. Czym ona jest w istocie? To tylko wymysł zadufanych w siebie małostkowych ludzi. W dążeniu do sławy zatarli zdrowy rozsądek i umiar. Przestali wyciągać wnioski. Zatem, czy i ty chcesz zatrać samego siebie? Utonąć w oceanie pychy?

Umarli wciąż go wołali, wymachując rękoma. Głosy docierały do jego podswia-

domości, lecz on udawał, że w ogóle nikogo nie słyszy. Szedł po swojemu wolniutko, spacerowym krokiem, a Solomoni biegł dwa metry przed nim, co chwila obskując każdą latarnię i każde źdźbło trawy. Jednak, pomyślał, nie narzekaj, życie jest piękne. Mimo wszystko i na przekór temu, o czym próbowałeś napisać. Nawet gdy ma się skończone siedemdziesiąt lat. Nawet wówczas, gdy przy tobie jest tylko on – twój pies. Przecież to jemu możesz wieczorem szepnąć: „Dobranoc”. Czy mokry nos i ciepłutka łapa twojego prawdziwego przyjaciela nie są więcej warte niż najpiękniejsze, najbardziej podniecające biodra i piersi kobiety?

Zasnęli jak dawniej, przed dziesięć laty. Złączeni niewidzialną nicią, gdyż każdy z nich spał wyjątkowo mocno. Śnili same dobre, romantyczne sny. Były wypełnione przygodą, bieganiem po łąkach, spożywaniem wspaniałych, pożywnych śniadań i wystawnych obiadów. Nocą nic nie było ważne. Ile miał lat on sam i ile miał lat jego pies. Czy w czterech puszkach zostało mu jeszcze trochę monet, choć o tym jednym zawsze pamiętał w myśl niegłupiej zasady, którą podrzucił mu pewien stary Żyd: „Odkładaj pieniądze, bo oszczędzanie pieniędzy uczy nas szacunku dla nich”.

Mijała godzina za godziną. Umarłacy w niebie dawno posnęli. Na bładoróżowym obłoku siedział na czatach młody anioł. Wyglądał, czy nikt się nie zbliża i nie zechce namalować kilku wulgarnych słów z serii ziemskiego graffiti. Gdzieś w Ameryce 92-letni Burt Bacharach nagrywał swoją pożegnalną płytę z Danielem Tashianem „Blue Umbrella”. Ta płyta składała się zaledwie z siedmiu ballad. Każda miała nieprawdopodobny nastrój, wdzięk, linię melodyczną – nie na darmo stary Burt uczył się muzyki, słuchając jazzu w nocnych klubach Harlemu. Te siedem ballad można określić jednym słowem – artyzm. Płyta nadeszła wczoraj z Osaki. I z tego także składa się moje szczęście, przemknęło mu przez myśl, po czym w głębokim śnie przeturlał się na drugi bok.

Za szybko czaił się już świt – nowego, wspaniałego dnia. ▀

Fragment ostatniego rozdziału nowego wydania książki Krzysztofa Logana Tomaszewskiego „Kino samotnych psów”.



Darmowy listopad w Rezydencjach Królewskich 2021



Fot. Dział Dokumentacji Wzrostu Zmian Królewskiego na Wawelu



Fot. Albert Zawada PAP

Prof. Piotr Gliński
Wiceprezes Rady Ministrów,
Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Szanowni Państwo,

z wielką radością i satysfakcją zapraszam do odwiedzenia w listopadzie polskich rezydencji królewskich. Z radością, bo już po raz dziesiąty odbywa się akcja „Darmowy listopad w rezydencjach królewskich”, dzięki czemu te ikoniczne, najbardziej znane polskie muzea, w których nasza historia łączy się z niezwykłymi zbiorami sztuki, są dostępne nieodpłatnie dla wszystkich chętnych, a jak najszerza dostępność kultury jest przecież celem działania ministra kultury.

I z satysfakcją, bo po raz pierwszy w akcji uczestniczy osiem dawnych rezydencji królewskich – nie tylko w Warszawie i Krakowie, lecz również w Malborku, Sandomierzu, Wieliczce i Poznaniu. To m.in. wynik naszej pracy na rzecz wzmacniania polskiej kultury i poszerzania liczby instytucji prowadzonych i współprowadzonych przez MKiDN, do których w ostatnich latach dołączyły m.in. mające zamkowe siedziby muzea w Lublinie i Sandomierzu.

W ramach akcji „Darmowy listopad” Zamek Królewski w Warszawie, Zamek Królewski na Wawelu, Zamek Królewski w Poznaniu, Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie, Muzeum Pałac Króla Jana III w Wilanowie, Muzeum Zamkowe w Malborku, Muzeum Okręgowe – Zamek Królewski w Sandomierzu, Zamek Żupny w Wieliczce zapraszają dzieci, młodzież, dorosłych i seniorów do zwiedzania wystaw stałych i czasowych, udziału w spotkaniach, wykładach, konferencjach, warsztatach i lekcjach muzealnych.

Zachęcam do odwiedzania skarbów polskiego dziedzictwa. Szczegółowe informacje na temat wydarzeń akcji „Darmowy listopad” dostępne są na stronie ministerstwa: <http://www.gov.pl/kultura> ●

Zamek Królewski na Wawelu

Początki wawelskiej rezydencji wiążą się z kamienną romańską budowlą z około połowy wieku XI. Jednak okres świetności krakowskiej siedziby polskich władców rozpoczyna się wraz ze zjednoczeniem Polski w XIV w., kiedy na wawelskim wzgórzu nastali ostatni Piastowie – Władysław Łokietek i Kazimierz Wielki. Ojciec rozpoczął rozbudowę zamku, syn dopełnił dzieła, tworząc imponującą gotycką rezydencję. Na początku XVI w. król Aleksander Jagiellończyk przystąpił do przebudowy rezydencji, nadając jej kształt renesansowy. Zachowana do dziś budowla z pięknym arkadowym dziedzińcem, imponująca rozmachem założenia, przestrzennością jasno oświetlonych wnętrz i wspaniałością nieznaną wcześniej na polskich ziemiach, dzięki zastosowaniu form architektonicznych wywodzących się ze sztuki antycznej spowodowała przełom w rozwoju architektury w Polsce.

Gdyby mury wawelskiego zamku potrafiły mówić, niechybnie dowiedzielibyśmy o wielu sekretach, o których milczą kronikarze, a których ziarna przetrwały w ustnych podaniach, plotkach, opowieściach. Dzisiaj wydobywają je na światło dzienne pracownicy zamku – detektywi naszej historii.

Jednym z najciekawszych eksponatów, jakie znajdziemy w zbiorach Zamku Królewskiego na Wawelu, jest Szczerbiec – miecz koronacyjny królów Polski. Po raz pierwszy został użyty podczas koronacji Władysława Łokietka w 1320 r. To jedyne zachowane insygnium koronacyjne dynastii piastowskiej. Jako narodowa świętość przechowywany był przez lata na Wawelu. W dobie rozbiorów ważną funkcję pełniła legenda, że Szczerbiec nie dostał się w ręce Prusaków, lecz ukryty przez patriotów oczekuje na odzyskanie przez Polskę niepodległości. Na jelu miecza widnieje napis łaciński: *Quicumque hec nomina Dei secum tulerit periculum est omnino nocebit* [ktokolwiek te imiona Boga ze sobą nosić będzie, temu żadne niebezpieczeństwo w ogóle nie zaszkodzi].

Do dziś Szczerbiec jest wspaniałym świadectwem polskiej państwowości, symbolem suwerenności władzy. W listopadzie miecz będzie można oglądać w Sali Senatorskiej.

W listopadzie Zamek Królewski na Wawelu – Państwowe Zbiory Sztuki zaprasza na:

- bezpłatny wstęp na ekspozycję stałą wraz z oprowadzaniem przewodnika: „Wawel odzyskany”, „Wawel zaginiony”, „Zbrojownia” (zwiedzanie od poniedziałku do niedzieli), „Sztuka Wschodu. Namioty tureckie” (zwiedzanie od wtorku do niedzieli) oraz „Reprezentacyjne komnaty królewskie” (zwiedzanie wyłącznie 30 listopada);
- bezpłatny wstęp na ekspozycję czasową wraz z oprowadzaniem przewodnika „Wazy, serwisy, misy... Osiemnastowieczne srebra, porcelana i szkła ze zbiorów Zamku Królewskiego na Wawelu” (zwiedzanie od wtorku do niedzieli);
- bezpłatne lekcje muzealne stacjonarne i online, np. „Wszystkie arrasy króla Zygmunta Augusta”, „Życie codzienne na zamku”, „Wawel – rezydencja władców Polski”, „Rycerz i kultura rycerska”, „Sztuka międzywojenna na Wawelu”.

W dniu Święta Niepodległości 11 listopada dostępna będzie tylko wystawa „Wawel odzyskany”. www.wawel.krakow.pl



Fot. Zamek Królewski w Warszawie

Zamek Królewski w Warszawie

Mury Zamku Królewskiego w Warszawie to wyjątkowe świadectwo tego, jak ważne dla wspólnoty są symbole. Podczas II wojny światowej zamek uległ całkowitemu zniszczeniu w wyniku bombardowań oraz wysadzenia murów przez niemieckich saperów we wrześniu 1944 r. Został odbudowany od podstaw w latach 1971–1984, głównie ze środków społecznych. Prace wokół zamku zjednoczyły Polaków, a atmosfera społecznego zaangażowania oraz ofiarności przekroczyła wszelkie oczekiwania. Podczas uroczystości rocznicy odbudowy zamku wiceprezes Rady Ministrów, minister kultury i dziedzictwa narodowego, prof. Piotr Gliński powiedział: „Zamek Królewski w Warszawie jest zwornikiem polskiej tożsamości, tak jak Zamek Królewski na Wawelu, tak jak katedra gnieźnieńska, jak klasztor jasnogórski. Jest symbolem polskiej państwowości i polskiej wspólnotowości”.

Odtworzone z wielką pieczołowitością wnętrza oraz nieustannie wzbogacana kolekcja mebli, dzieł sztuki i eksponatów z epoki odwołują się do stanu Zamku Królewskiego z czasów jego świetności za panowania ostatniego króla Polski Stanisława Augusta i Sejmu Wielkiego. W Sali Senatorskiej warszawskiego zamku 230 lat temu została uchwalona Konstytucja 3 maja.

W listopadzie **Zamek Królewski w Warszawie – Muzeum. Rezydencja Królów i Rzeczypospolitej** zaprasza na bezpłatne zwiedzanie Trasy Królewskiej. W ramach trasy zwiedzania będzie można zobaczyć odrestaurowane wnętrza apartamentów króla Stanisława Augusta, w tym sale reprezentacyjne oraz pomieszczenia mieszkalne ostatniego króla Polski. Trasa zwiedzania obejmuje również Salę Senatorską oraz Pokoje Królewiczowskie z ikonicznymi dziełami Jana Matejki – najsłynniejszymi obrazami wielkoformatowymi: „Konstytucja 3 maja 1791 roku”, „Rejtan – upadek Polski”, „Kazanie Skargi” i „Stefan Batory pod Pskowem” – oraz 12 szkicami z serii „Dzieje cywilizacji w Polsce”.

W trasę zwiedzania włączone zostały wystawy czasowe: „Chopin. Salon romantyczny”, „Albumy prof. Stanisława Lorentza. Dokumentacja historii odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie”, „Traktat ryski – odzyskane dziedzictwo. 100-lecie traktatu ryskiego na Zamku”, „Skarby Stanisława Augusta. Złote monety kolekcjonerskie Narodowego Banku Polskiego”.

Zamek zaprasza również do korzystania z oferty edukacyjnej dla dzieci, młodzieży oraz dorosłych, w tym bezpłatne lekcje muzealne „Twoja najpiękniejsza lekcja historii”, niedzielne spotkania dla dzieci na wystawie „Caravaggio i inni mistrzowie...”, bezpłatne wykłady stacjonarne „Jubileusz – śladami odbudowy”, bezpłatne prelekcje „Roberto Longhi – uczony i kolekcjoner” i „Caravaggio »Wieczera z Emaus« z 1606 r.: pomiędzy realizmem a sacrum”, konferencja naukowa pt. „Zamek Królewski w Warszawie w okresie międzywojennym – przestrzeń państwowa, dyplomatyczna i rezydencjonalna”.

W formie online dostępne będą bezpłatne wykłady dla uczniów klas maturalnych „Zamek dla maturzystów” oraz film edukacyjny „Historia prosto z Zamku – Jaki znak Twój...?”.

Wstęp na podstawie bezpłatnych wejściówek do odebrania w kasie zamku. www.zamek-krolewski.pl

Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie



Fot. Danuta Maloch

Lazienki Królewskie to jedno z ulubionych miejsc spacerowych warszawiaków i przyjeżdżających do stolicy turystów, którzy tłumnie odwiedzają ten wyjątkowy park w sercu miasta. Piękne, historyczne ogrody i rozlokowane w nich klasycystyczne zabytki są świadkami wielu wydarzeń polskiej historii.

W II połowie XVIII w. Łazienki były letnią rezydencją ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego. Za sprawą architektów – pochodzącego z Włoch Dominika Merliniego i urodzonego w Dreźnie Jana Chrystiana Kamsetzera – król przekształcił istniejący barokowy pawilon Łaźni w klasycystyczny Pałac na Wyspie. Wzorowany na włoskich rozwiązaniach miał symbolizować marzenie o państwie idealnym, nowoczesnym i suwerennym, a jego architektura i dekoracje symbolizują odbicie programu politycznego króla.

Po wschodniej stronie pałacu znajdowała się Wielka Oficyna, mieszcząca kuchnie królewskie. Oficynę w 1822 r. przekazano Szkole Podchorążych Piechoty. To tutaj wieczorem 29 listopada 1830 r. Piotr Wysocki poderwał do powstania podchorążych.

Nieco dalej stoi Pałac Myślewicki, zaprojektowany dla Stanisława Augusta, a z czasem przekazany jego bratankowi, księciu Józefowi Poniatowskiemu. W latach 1958–1970 prowadzone były tu tajne rozmowy dyplomatyczne chińsko-amerykańskie.

W Starej Oranżerii mieści się działający do dzisiaj Teatr Królewski – jeden z nielicznych w Europie oryginalnych XVIII-wiecznych teatrów dworskich.

Zabytki Łazienek Królewskich – dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz funduszom europejskim – stopniowo odzyskują dawny blask. W lipcu tego roku ponownie udostępnione zostały zwiedzającym związane z tradycją hippiczną i wojskową Łazienek Królewskich Stajnie Kubickiego, którym przywrócono historyczną formę i układ.

W listopadzie **Muzeum Łazienki Królewskie** bezpłatnie udostępnia dla zwiedzających: Pałac na Wyspie, Starą Oranżerię, Pałac Myślewicki, Koszary Kantoniściów oraz właśnie Stajnie Kubickiego.

Przez cały listopad dostępna jest wystawa „Chocim 1621” prezentująca cenne, niezwykle zdobione uzbrojenie używane niegdyś w armiach Orientu oraz w Polsce i na Litwie.

Do 14 listopada prezentowany będzie również obraz „Przysięga Witolda” autorstwa Jana Styki, jednego z najśłynniejszych polskich malarzy batalistów.

Z okazji rocznicy wybuchu powstania listopadowego 27 listopada o godz. 12 Muzeum Łazienki Królewskie organizuje spacer szlakiem słynnego dramatu Stanisława Wyspiańskiego „Noc listopadowa”. www.lazienki-krolewski.pl

Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie

Wilanowski pałac powstał na zamówienie Jana III Sobieskiego. To z nim i z jego ukochaną żoną Marią Kazimierą związane są wspaniałe dekorowane barokowe apartamenty królewskie. Jeśli bliska jest wam opowieść o królewskiej miłości, koniecznie zajrzyjcie do sypialni królowej w Muzeum Pałacu w Wilanowie. Bogato zdobione łóże przykryte jest jedwabną kołderką, którą król Jan III miał podarować ukochanej żonie po bitwie pod Wiedniem.

W antykamerze królowej, czyli komnacie, w której goście czekali na spotkanie z królową, odnajdujemy motyw jesienny – plafon z alegorią jesieni, który o tej porze roku szczególnie można skonfrontować z barokowymi ogrodami. W bibliotece króla natomiast

zachowała się oryginalna kamienna posadzka! W Wielkiej Sieni można podziwiać ponad 100 antycznych waz greckich oraz rzeźby egipskie pochodzące ze zbiorów Stanisława Kostki Potockiego, który w 1805 r. udostępnił swoją kolekcję publiczności, tworząc jedno z pierwszych polskich muzeów sztuki.

Wizyta w Wilanowie to doskonała okazja, żeby docenić efekty prac konserwatorskich. W ostatnich latach odrestaurowano XVII-wieczne dekoracje malarskie w Galeriach Ogrodowych, którym przywrócono

historyczny kształt i wygląd. Remont przeszła także XVII-wieczna oranżeria, a renowacji poddano zdobione nadbrzeże Jeziora Wilanowskiego cztery barokowe rzeźby Herkulesów.

W listopadzie **Muzeum Pałacu Jana III w Wilanowie** przygotowało specjalne spaceru i warsztaty:

- „Zobacz pałac” – weekendowe oprowadzanie dla młodzieży i dorosłych skupiające się na historii oraz wystroju pałacowych wnętrz;
- „Jeden dzień z życia Jego Królewskiej Mości” – warsztaty skierowane do dzieci w wieku od 6 lat i ich opiekunów o życiu dworu polskiego;
- „Zwykłe niezwykle komnaty” – spaceru dla dorosłych po nieoczywistych pomieszczeniach wilanowskiego pałacu połączone z działaniami twórczymi.



Fot. Zbigniew Raszka

Bezpłatne wejściówki można pobierać w kasie muzeum. Dla grup szkolnych muzeum przygotowało bezpłatne zajęcia edukacyjne. www.wilanow-palac.pl

Zamek Królewski w Sandomierzu



Fot. Tomasz Chmiel

Muzeum Okręgowe w Sandomierzu zaprasza do zwiedzania za darmo: wystaw stałych, np. „Krzemień pasiasty w biżuterii i małych formach złotniczych”, „Dawna kuchnia królewska – zbiory artystyczne. Rzemiosło – malarstwo (XVII–XX w.)”, „Lapidarium”, a także wystaw czasowych: „Droga do wolności – Sandomierz 80–89”, „Początki muzealnictwa i archeologii w ziemi sandomierskiej”. Muzeum organizuje też bezpłatne oprowadzania kuratorskie oraz seanse filmu dokumentalnego do wystawy jubileuszowej „100 lat Muzeum Okręgowego w Sandomierzu 1921–2021”. www.zamek-sandomierz.pl

Zamek Żupny w Wieliczce



Fot. Dariusz Kosiński

Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka oferuje bezpłatny wstęp na wystawy stałe: „Solniczki – małe arcydzieła sztuki”, „Wystawa archeologiczna”, „Sala gotycka” oraz wystawę czasową „Środkowoeuropejska kultura stołu i królewskie srebra stołowe z kolekcji Helga Matzke” (od 2 do 30 listopada). Ponadto w każdą sobotę i niedzielę listopada w wyznaczonych godzinach można nieodpłatnie zwiedzać wystawy zamkowe z przewodnikiem. Zapisy i szczegóły akcji na stronie internetowej muzeum: <https://muzeum.wieliczka.pl/>



Fot. Ewa Białkowska

Muzeum Zamkowe w Malborku

Malbork kojarzy nam się przede wszystkim z zakonnikami-rycerzami w białych płaszczach z czarnym krzyżem. Słusznie o tyle, że twierdzę malborską wybudowali Krzyżacy, przenosząc tu z Wenecji na początku XIV w. stolicę Państwa Zakonnego i siedzibę wielkich mistrzów. W czasie wojny 13-letniej zamek w Malborku, dzięki drobnemu fortelowi, zajął Kazimierz Jagiellończyk. Malbork utracił charakter stolicy, ale tutejszy zamek stał się tymczasową rezydencją królów polskich, którzy przybywali do niego najczęściej w związku z prowadzeniem spraw prowincji lub w podróży pomiędzy stolicą a Gdańskiem. W warowni nad Nogatem odnotowano pobyt 12 polskich władców, przy czym niektórzy z nich przybywali tutaj kilkukrotnie.

Wśród ponad 50 tys. zamkowych muzealiów można zobaczyć unikatowy w skali światowej zbiór artystycznych wyrobów z bursztynu. Na uwagę zasługuje m.in. dwudrzwiowy kabinet – własność ostatniego króla Polski Stanisława Augusta.

W listopadzie **Muzeum Zamkowe w Malborku** zaprasza na:

- zwiedzanie zamku w Malborku oraz wystawy czasowej „Regnum defendo ense et alis tego stricto. Malbork w Prusach Królewskich” na podstawie bezpłatnych biletów (obowiązuje opłata za przewodnika lub audioprzewodnik);
- oprowadzania kuratorskie towarzyszące wystawie czasowej „Regnum defendo ense...” w 1., 3. i 4. sobotę listopada o godz. 12;
- lekcje muzealne towarzyszące wystawom: „Malbork jako rezydencja królewska”, „Malbork jako twierdza i arsenał królewski”, „Pisma, kroniki, pamiętniki – piśmiennictwo i drukarstwo”, „Malborskie mennice w okresie nowożytnym”, „Jezuici w Malborku”;
- zajęcia edukacyjne dla rodzin 20 listopada o godz. 12 pod hasłem „Jezuici w Malborku”.

Ponadto na stronie internetowej muzeum dostępny jest film online „Rozmowy historyczne” dotyczący roli Malborka jako rezydencji królewskiej oraz wojskowości nowożytnej. <https://zamek.malbork.pl>

Zamek Królewski w Poznaniu

Muzeum Sztuk Użytkowych – Zamek Królewski w Poznaniu zaprasza na prelekcje „Co trzeba wiedzieć o Zamku”. Ponadto odbędą się spotkania: „Osobowości: Kenya Hara”, „Alessi – design z włoskiej fabryki snów” (także po włosku), „Porcelana z miasta Hammershoia” oraz „Design północy – projektowanie w duchu hygge, lagom i sisu”.



Fot. Shutterstock

Nasze drogie paliwo

Jako PKN Orlen robimy wszystko, żeby paliwa były jednymi z najtańszych w Europie i to się nam udaje – mówi prezes zarządu PKN Orlen Daniel Obajtek. Czy notowania cen ze stacji w innych krajach Unii Europejskiej potwierdzają jego słowa? Dlaczego paliwa drożeją i czy nie można w jakiś sposób przeciwdziałać podwyżkom? Jak słowa Daniela Obajtka mają się do opinii ekspertów branży paliwowej?

Wysokie ceny paliw na stacjach są jednym z najważniejszych czynników napędzających inflację. Jeśli gospodarkę porównać do organizmu, to benzyna czy olej napędowy pełnią w niej funkcję krwi potrzebnej do napędzania wszelkich procesów życiowych. Nie jest to pewnie wielka pociecha dla polskich konsumentów, ale porównując ceny paliw w Europie, należy dojść do uczciwej konkluzji, że prezes PKN Orlen ma rację, a nasze stacje oferują paliwa po niemal najniższych cenach w Europie. Taniej jest tylko w Rumunii i Bułgarii.

W HOLANDII LEPIEJ ROWEREM

Z danych zaprezentowanych przez e-petrol.pl wynika, że średnia cena litra benzyny 95-oktanowej na dzień 20 października wynosiła w Polsce 5,91 zł. Najgłębiej do portfeli na stacji benzynowej muszą sięgać obywatele Holandii, gdzie taki sam litr benzyny kosztował na 20 października w przeliczeniu aż 9,40 zł! Przykładowo, średnia cena u naszych zachodnich sąsiadów to 7,62 zł za litr, a z kolei Czesi muszą płacić aż 6,46 zł. Co oczywiste różna jest siła nabywcza obywateli poszczególnych krajów (różną ilość benzyny mogą kupić za średnią pensję), natomiast przyznać należy, że polskie kon-

cerny naftowe – Orlen i Lotos – robią wszystko, co możliwe, by oferowane w dystrybucji paliwo było jak najtańsze. Ale faktem jest, że pole manewru mają tu mocno ograniczone.

– To zrozumiałe, że każdy w Polsce chciałby mieć jak najtańsze paliwo, ale musimy pamiętać, że tzw. marża rafinerijna, czyli zarobek koncernów paliwowych, jest naprawdę minimalną składową ceny paliwa na stacji, a jej całkowite usunięcie byłoby dla klientów zapewne nawet niezauważalne. Cenę paliw w głównej mierze kształtują podatki akcyzowe, które w Polsce wynoszą ok. 3 zł w cenie litra paliwa i nie są one na jakimś nadzwyczaj wysokim ani niespotykanym poziomie. Podstawowym czynnikiem, który dziś napędza cenę paliw na świecie, jest odbicie gospodarcze po pandemii, które napędza popyt, za którym ledwo nadąża podaż. Kolejne kwestie to fakt, że na międzynarodowym rynku paliwowym walutą rozliczeniową jest dolar, a dziś cena baryłki ropy wynosi już ponad 80 dol., co przy dodatkowo dość słabej złotówce także wpływa na cenę. Ostatnią rzeczą, o której nie sposób nie wspomnieć, jest polityka klimatyczna Unii Europejskiej, która nie tylko wpływa na coraz wyższe koszty emisyjne ponoszone przez koncerny paliwowe, ale też wymusza stosowanie w paliwach biokomponentów, które także są coraz droższe – tłumaczy ekspert rynku paliwowego Piotr Maciążek.

PRĄD Z ROPY ZAMIAST Z GAZU

Rzeczywiście porównując ceny paliw, często słyszymy, że kilka lat temu baryłka ropy była dużo droższa, a ceny przy dystrybutorach oscylowały na podobnym co dziś poziomie. Faktycznie, dziś za baryłkę ropy płacimy ponad 85 dol., a we wrześniu 2012 r. było to ok. 34 proc. więcej, ale kurs dolara w tym czasie wzrósł o ponad 23 proc. Dlatego porównywanie cen paliw z tych okresów jest niemiarodajne. Biorąc pod uwagę, jak wiele czynników winduje dziś ceny paliw, możemy jednak się cieszyć, że w Polsce wciąż nie są one tak drogie jak w innych krajach (patrz ramki poniżej).

– Zaryzykuję twierdzenie, że obecna sytuacja jest przejściowa i ceny w przyszłości spadną. Natomiast miejmy świadomość, że nie spadną do poziomu 3 czy 4 zł za litr benzyny. Te czasy już nie wrócą – tłumaczy Piotr Maciążek.

Wpływ na wysoką cenę ropy na światowych rynkach ma także gigantyczny wzrost cen gazu.

– Otwieranie gospodarek po pandemii spowodowało znacznym zwiększeniem zapotrzebowania na ropę, a dodatkowo na rynku pojawił się nowy duży gracz, czyli firmy energetyczne. Bezprecedensowo wysokie ceny gazu bowiem spowodowały, że producenci energii zamiast gazu zaczęli produkować energię przy wykorzystaniu paliw rafineryjnych. To kolejny istotny czynnik napędzający ceny. Po prostu podaź nie nadąża za popytem – tłumaczy dr Adam Czyżewski, główny ekonomista PKN Orlen. – W dołku pandemicznym, kiedy zapotrzebowanie na paliwa znacząco spadło, kraje OPEC przykryły kurek i znacznie ograniczyły wydobycie. Teraz niezbyt chętnie zwiększają liczbę baryłek wydobywanych dziennie z obawy przed kolejnym załamaniem rynku. Na obniżkę cen musimy po prostu poczekać po unormowaniu sytuacji, która skutkuje zwiększeniem wydobycia – dodaje dr Czyżewski.

STAĆ NAS NA WIĘCEJ DROGIEGO PALIWA

Dyskusja o cenach na stacjach benzynowych próbuje być oczywiście zaprzęgnięta w konflikt polityczny, jaki toczy dziś Polskę, mimo że przyczyny drożyzny leżą daleko poza naszym krajem. Przekonał się o tym m.in. prezydent Andrzej Duda, któremu wypomniano tweet z 15 lutego 2012 r., kiedy przyszły prezydent napisał „Od 1 marca zdrożeje przejazd autostradą Katowice–Kraków. Super, do tego paliwo po 6 zł. Może czas przesiąść się na psie zaprzęgi?”.

Przykładowe średnie ceny Pb95 w Europie na 20 października:

POLSKA	5,91 zł/l
Bulgaria	5,47 zł/l
Rumunia	5,82 zł/l
Węgry	6 zł/l
Słowenia	6,17 zł/l
Litwa	6,41 zł/l
Czechy	6,46 zł/l
Słowacja	6,70 zł/l
Hiszpania	6,90 zł/l
Irlandia	7,28 zł/l
Niemcy	7,62 zł/l
Wlk. Brytania	7,68 zł/l
Francja	7,69 zł/l
Portugalia	7,90 zł/l
Szwecja	8 zł/l
Grecja	8,04 zł/l
Włochy	8,22 zł/l
Holandia	9,40 zł/l

Źródło: e-petrol.pl

Przykładowe średnie ceny ON w Europie na 20 października:

POLSKA	5,93 zł/l
Bulgaria	5,47 zł/l
Rumunia	5,80 zł/l
Litwa	6,03 zł/l
Słowacja	6,13 zł/l
Węgry	6,17 zł/l
Czechy	6,23 zł/l
Hiszpania	6,34 zł/l
Słowenia	6,71 zł/l
Grecja	6,86 zł/l
Irlandia	6,87 zł/l
Portugalia	7,04 zł/l
Niemcy	7,13 zł/l
Francja	7,34 zł/l
Włochy	7,59 zł/l
Holandia	7,88 zł/l
Wlk. Brytania	7,93 zł/l
Szwecja	8,69 zł/l

Źródło: e-petrol.pl

– Litr benzyny po 6 zł za czasów rządu Donalda Tuska to z pewnością nie jest to samo co 6 zł teraz – zwraca uwagę Marcin Roszkowski, prezes Instytutu Jagiellońskiego i ekspert rynku energetycznego, komentując obecne ceny paliw. – Niestety nie znam zbyt wielu Polaków, którzy analizują to, jak zmienia się ich siła nabywcza, to raczej domena statystyków z GUS – dodaje ekspert.

Krytycy obecnego prezydenta i rządu po odszukaniu wpisu sprzed dziewięciu lat natychmiast przystąpili do zarzucania Andrzejowi Dudzie słabej pamięci czy nawet hipokryzji. Prezydent nie dał się jednak zbić z tropu i odpisał: „Dziękuję za to przypomnienie. Niektóre tweety źle się starzeją. Dla PO i PSL, który wówczas zapewniał szczęście i dobrobyt, »by żyło się lepiej«. Przypomnijcie jeszcze, jaka była siła nabywcza średniej pensji, emerytury i świadczeń społecznych do tego litra benzyny po 6 zł w 2012 r.”.

Prezydent zwrócił uwagę na ważną rzecz: dziś mimo równie wysokiej ceny benzyny co dziewięć lat temu, dochody Polaków są na znacznie wyższym poziomie i mimo drogiego paliwa stać nas na to, by kupować za przeciętną pensję o wiele więcej litrów niż w 2012 r. Konkretnie w 2012 r. średnia cena litra oleju napędowego (diesla) wyniosła 5,68 zł, a litra benzyny 95-oktanowej 5,71 zł. Przy średniej pensji wynoszącej wówczas 3521 zł można było kupić 619 litrów diesla lub 616 litrów 95-ty.

Dziś średnia pensja wynosi wg danych GUS nieco ponad 5841 zł, co przy średniej cenie 5,91 zł za litr daje możliwość zakupu 988 litrów ON lub 95.

– Argument podniesiony przez pana prezydenta jest dobry, ale nie sądzę, by przebił się do szerokiej świadomości. Ludzie nie oceniają zjawiska podwyżek przez pryzmat swojej siły nabywczej, ale po prostu zwracają uwagę na to, co widzą na słupie przed stacją benzynową – mówi Marcin Roszkowski.

Takie spojrzenie klientów na podwyżki potęguje fakt, że jeszcze w zeszłym roku doszło do ogromnych obniżek cen, spowodowanych spadkiem popytu na paliwa przez pandemiczne zamrożenie gospodarki. Wiele osób pamięta, że wiosną 2020 r. można było znaleźć stacje oferujące paliwo poniżej 4 zł za litr. Trudno się spodziewać jednak, by taka sytuacja się powtórzyła, a my jednak powinniśmy mieć powody do satysfakcji, że mimo drogiej benzyny stać na to, by kupić jej o wiele więcej za przeciętną pensję niż jeszcze kilka lat temu.

GAZ-SYSTEM:

inwestycje potrzebne do integracji europejskiego rynku gazu

Polska i Litwa wspólnie realizują ważną dla państw bałtyckich inwestycję – budowę gazociągu, który połączy systemy przesyłowe obu państw. Dzięki interkonektorowi GIPL (Gas Interconnection Poland – Lithuania) nastąpi integracja rynków gazu w środkowo-wschodniej Europie. To z kolei zapewni swobodny dostęp do gazu ziemnego na transparentnych i konkurencyjnych zasadach. 22 października br. odbyła się uroczystość z okazji wykonania symbolicznego „złotego spawu” w miejscu połączenia polskiej części gazociągu z litewską, dokładnie na granicy obu państw

Gazociąg Polska–Litwa ma łączną długość ok. 508 km i średnicę DN 700. Trasa gazociągu po stronie polskiej (Tłocznia Hołowczyce–granica RP) wynosi 343 km i przechodzi przez teren trzech województw: mazowieckiego, podlaskiego i warmińsko-mazurskiego. Długość interkonektora po stronie litewskiej wynosi ok. 165 km i kończy się na tłoczni gazu Jauniunai na Litwie.

ELIMINACJA „WYSP ENERGETYCZNYCH”

– Łączymy gazowe systemy przesyłowe Polski i Litwy i w przyszłym roku popłynie tędy gaz. GIPL zakończy gazową izolację państw bałtyckich i ułatwi swobodny wybór dostawcy, a także zakup surowca po konkurencyjnych, rynkowych cenach. Ten interkonektor to także ważny element strategii dywersyfikacji dostaw gazu do Polski. Wraz z realizowanymi przez Gaz-System inwestycjami, takimi jak Baltic Pipe, rozbudowa Terminalu LNG w Świnoujściu i interkonektor ze Słowacją, pomogą Polsce i innym krajom naszego regionu uniezależnić swoje gospodarki od dyktatu rosyjskiego monopolisty – powiedział minister Piotr Naimski, pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej.

Gazociąg przyczyni się do eliminacji tzw. wysp energetycznych, czyli regionów uzależnionych od dostaw gazu wyłącznie z jednego kierunku, a także do zintegrowania krajów bałtyckich z rynkiem gazu Unii Europejskiej, zapewniając również dostęp do globalnego rynku LNG, np. poprzez terminal skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu.

– GIPL, który włącza „wyspę energetyczną” państw bałtyckich i Finlandii w jednolity unijny rynek gazu, jest w końcowej fazie budowy. Niezależność energetyczna jest wzmocniana dzięki silnemu powiązaniu z kontynentem eu-



Od lewej: Piotr Naimski, pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, Dainius Kreivys, minister energii Litwy

ropejskim. Od dziesięcioleci na ogólnym obrazie naszej infrastruktury energetycznej brak było powiązania między Litwą a Polską. Dzięki większym źródłom dostaw gazu będziemy w stanie zapewnić bezpieczeństwo i niezawodność dostaw gazu, będziemy mogli zdecydować, skąd pozyskiwać zasoby energetyczne i będziemy mogli bardziej elastycznie reagować na zmiany cen na rynku gazu. GIPL otworzy również możliwości dalszego korzystania z terminalu LNG w Kłajpedzie, a w przyszłości będzie on przystosowany do przesyłu ekologicznego wodoru zielonego – powiedział Dainius Kreivys, minister energii Litwy.

INWESTYCJA WSPIERANA PRZEZ UNIĘ EUROPEJSKĄ

Połączenie międzysystemowe Polska–Litwa jest postrzegane przez Komisję Europejską jako infrastruktura przy-

Fot. Gaz-System

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 46/1021/F

czyniąca się do integrowania europejskiego systemu gazowniczego i kształtowania zliberalizowanego rynku gazu w północno-wschodniej części Europy. Celem projektu jest budowa nowego transgranicznego gazociągu, który połączy systemy przesyłowe gazu ziemnego Polski i Litwy, umożliwiając zróżnicowanie kierunków dostaw gazu do krajów bałtyckich. Komisja Europejska przyznała inwestycji status „Projektu wspólnego zainteresowania” („Project of Common Interest”). Budowa gazociągu jest współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach europejskiego instrumentu finansowego „Łącząc Europę” (CEF – Connecting Europe Facility) w zakresie prac projektowych i budowy gazociągu.

STRATEGICZNY PROJEKT

– Interkonektor Polska–Litwa to kolejny z dużych projektów infrastrukturalnych firmy GAZ-SYSTEM, który obecnie finalizujemy. Zaawansowanie prac budowlanych na odcinku 343 km gazociągu w Polsce sięga ponad 90 proc. Symboliczna uroczystość złotego spawu na granicy polsko-litewskiej to zapowiedź ukończenia tego projektu, które planujemy w III kwartale 2022 r. – powiedział Tomasz Stępień, prezes zarządu Gaz-System.

Zdaniem Nemunasa Bikniusa, prezesa zarządu Amber Grid, fizyczne połączenie litewskich i polskich systemów przesyłowych gazu jest momentem historycznym, ponieważ infrastruktura Litwy została w końcu zintegrowana z infrastrukturą gazową pozostałej części Europy.

– Otwiera to nam większe możliwości dostaw gazu, a w przyszłości możliwości planowania przebudowy sieci w ramach przygotowań do zastosowania wodoru i innych ekologicznych gazów. Postęp prac budowlanych GIPL na Litwie wynosi 95 proc. – mamy świadectwa ukończenia trzech z czterech etapów projektu. Szybko zmierzamy ku ukończeniu tego strategicznego projektu energetycznego. Planujemy, że rynek będzie mógł korzystać z rurociągu w 2022 r. – powiedział Nemunas Biknius.

Powstanie gazociągu wpłynie na poprawę stanu środowiska naturalnego i polepszenie standardów życia mieszkańców dzięki możliwości zastąpienia paliw stałych paliwem gazowym. Inwestycja przyczyni się także do wzrostu konkurencyjności północno-wschodnich regionów Polski. Nowa infrastruktura przesyłowa pozwoli na odbiór paliwa gazowego za pośrednictwem sieci dystrybucyjnej, ale także na bezpośrednie przyłączenie dużych odbiorców przemysłowych do systemu gazociągów wysokiego ciśnienia. Pojawi się ponadto możliwość gazyfikacji regionów do tej pory pozbawionych dostępu do gazu ziemnego.

Dzięki realizacji inwestycji możliwy będzie rozwój systemu przesyłowego na nowych terenach oraz poprawa parametrów technicznych sieci w skali całego kraju, podniesienie atrakcyjności północno-wschodnich regionów Polski dla nowych inwestycji oraz promocja wykorzystania gazu ziemnego jako niskoemisyjnego paliwa do realizacji celów środowiskowych i klimatycznych Unii Europejskiej.

Istotną korzyścią dla społeczności lokalnej będzie corocznie odprowadzany przez spółkę GAZ-SYSTEM podatek od nieruchomości w wysokości do 2 proc. wartości odcinka gazociągu zlokalizowanego na terenie danej gminy. Będzie to kwota regularnie wpływająca do budżetu gminy, którą będzie można przeznaczyć na potrzeby społeczności lokalnych.

– Inwestycja ta ma ogromne znaczenie zarówno polityczne, jak i gospodarcze dla naszych krajów. Powstanie transgranicznego gazociągu w połączeniu z funkcjonującymi terminalami LNG w Świnoujściu i Kłajpedzie otwiera całkiem nowe możliwości współpracy i nieosiągalne dotąd kierunki rozwoju rynku gazu w całym regionie bałtyckim – powiedział Marcin Kapkowski, wiceprezes zarządu GAZ-SYSTEM.

Bardzo ważnym elementem w kontekście funkcjonowania polsko-litewskiego gazociągu jest budowana w województwie kujawsko-pomorskim Tłocznia Gazu Gustorzyn. Będzie ona odpowiadała za umożliwienie rozprowadzenia gazu m.in. z Norwegii (Baltic Pipe) w kierunku tłoczni, a następnie skierowania tego strumienia m.in. w kierunku Litwy i pozostałych krajów bałtyckich (GIPL). Dzięki tłoczni gazu w Gustorzynie GAZ-SYSTEM będzie miał możliwość elastycznego sterowania przepływami gazu i przesyłania tego surowca do odbiorców w całej Polsce, a także do krajów sąsiadujących.

Z kolei same prace przy budowie gazociągu GIPL po stronie polskiej przebiegają bez zakłóceń i zgodnie z planem. Do końca tego roku będą zakończone prace budowlane. Przeprowadzane są równoległe również testy, próby techniczne, nagazowanie i odbiory obiektów oraz odcinków liniowych.

Odbywanie się także przywracanie terenu do stanu pierwotnego – zahumusowanie (przygotowanie gruntu do zagospodarowania go roślinnością, ma przeciwdziałać erozji skarp i zapobiegać rozmywaniu poboczy drogowych) oraz prace porządkowe. Rozpoczęto przekazywanie terenów zwrotnie właścicielom.

KLUCZOWE INWESTYCJE

GAZ-SYSTEM jest spółką strategiczną dla polskiej gospodarki. Odpowiada za przesył gazu ziemnego, zarządza najważniejszymi gazociągami w Polsce oraz jest właścicielem Terminalu LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu.

W ramach programu inwestycyjnego 2015–2025 GAZ-SYSTEM realizuje ponad 2000 km nowych gazociągów w zachodniej, południowej i wschodniej części Polski. Kończy się budowa kilkunastu nowych gazociągów w ramach Korytarza Gazowego Północ–Południe oraz tłoczni w Kędzierzynie-Koźlu, a także połączeń międzysystemowych z Litwą i Słowacją. Projektowane są gazociągi lądowe, które połączą planowany terminal pływający FSRU w Zatoce Gdańskiej z krajowym systemem przesyłowym. Trwa rozbudowa Terminalu LNG w Świnoujściu, w wyniku której o ponad połowę zwiększą się zdolności regazyfikacyjne tego obiektu.

Spółka realizuje także jedno z najważniejszych przedsięwzięć infrastrukturalnych w kraju – projekt Baltic Pipe, polegający na wybudowaniu dwukierunkowego gazociągu morskiego łączącego Polskę i Danię, rozbudowie lokalnej sieci przesyłowej oraz trzech tłoczni gazu.

Opracował: RO



rzystać nawet bez użycia różdżki i samomiesającego kociolka.

Na co mogą liczyć smakosze ciekawej magicznej kuchni? Jeśli wyruszą w drogę (nie tylko z peronu 9 i 3/4) przydadzą się im kanapki z peklowaną wołowiną. Do podróżnego koszyka dobrze też zapakować dyniowe paszteciki, a ze słodkich atrakcji: lukrecjowe różdżki czy czekoladowe żaby.

Uczętę czarodziejów z pewnością uświetni pieczeń wołowa, uzupełni yorkshire

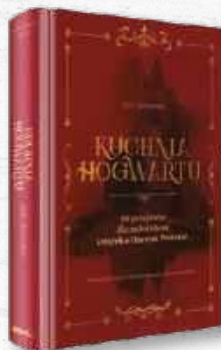
pudding i ciekawie zwieńczy spotted dick (zawdzięczający swoją nazwę kawałkom suszonych owoców, które przypominają piegi, po ang. spots). – W dawnych czasach słowo dick było potocznym określeniem deseru – tłumaczy autorka. – I choć dziś nazwa ta może kojarzyć się nieco niegrzecznie, w rzeczywistości oznacza po prostu „nakrapiany deser”. Ten klasyczny angielski przysmak tradycyjnie podaje się z kremem angielskim.

A co przygotować na imprezę z dreszczykiem z okazji Halloween?

Choćby... karaluchowy blok (dla uspokojenia, w jego składzie znajdziemy: orzechy pekan, czekoladę i słodkie pianki). Do tego piwo kremowe (bohaterowie serii o młodym czarodzieju zamawiali je Pod Trzema Miotłami). I, oczywiście, dania z dyni.

Jolanta

Gajda-Zadworna



Dyniowe paszteciki

Czas przygotowania: 15 min. **Czas pieczenia:** 30 min. **Czas chłodzenia ciasta:** 1 godz. **Składniki** (na 6 pasztecików). **Nadzienienie:** 1 szklanka dyniowego purée, 1 posiekane zielone jabłko, ¼ szklanki cukru, szczypta mielonej gałki muszkatołowej, szczypta mielonego cynamonu. **Ciasto:** ¼ szklanki mąki pszennej typ 550, 1 łyżka cukru, ¼ łyżeczki soli, 5 łyżek zimnego masła pokrojonego na kawałki, 3 łyżki zimnej margaryny do pieczenia, pokrojonej na kawałki, 4–6 łyżek zimnej wody.

Przygotowanie: Umieść wszystkie składniki na nadzienie w misce i mieszaj, aż całkowicie się połączą. Aby przygotować ciasto, wsyp mąkę, cukier i sól do naczynia robota kuchennego i przemieszaj, aż się połączą. Dodaj kawałki masła i margaryny do mąki z solą i cukrem, zmiksuj ok. 15 razy, aż całość się połączy i zacznie przypominać konsystencję kruszonkę. W masie nie powinno być żadnych mącznych sybkich fragmentów. Przełóż ciasto do dużej miski. Dodaj do miski 4 łyżki zimnej wody i mieszaj szpatułką, aż masa się połączy. Jeśli jest zbyt sucha, dodawaj po łyżce zimnej wody do uzyskania jednolitej konsystencji. Ulepij z ciasta kulkę i rognieć ją na placek. Owiń placek folią spożywczą i włóż do lodówki na godzinę. Kiedy ciasto już się schłodzi, rozgrzej piekarnik do 200°C. Rozwałkuj ciasto na grubość ok. 3 mm. Użyj spodka lub miseczki do wycięcia kółek o średnicy 15 cm. Na każdy kawałek ciasta nałóż 1–2 łyżeczki farszu i złóż go na pół. Zwiłż krawędzie pasztecika wodą i docisnij brzegi widelcem, żeby dobrze się połączyły. Ponacinaj każdy pasztecik, żeby ze środka mogła uchodzić para. Piecz na nienatłuszczonej blasze do ciastek przez 30 min, aż zbrązowieją.

Niezależnie od tego, czy dorastaliście, czytając powieści o młodym czarodzieju z blizną na czole, czy dopiero niedawno sięgnęliście po tę serię, magia Hogwartu z pewnością zapadła wam w serce, podobnie jak milionom fanów na całym świecie. Przeżywając liczne przygody, nasi bohaterowie musieli stawić czoła trudnym przeprawom, rozpaczy i niebezpieczeństwom, znaleźć wyjście z rozmaitych magicznych opaleń. Dzięki tym doświadczeniom dojrzewali jako ludzie, pielęgowali łączącą ich przyjaźń i nauczyli się o wiele więcej, niż tylko magii i czarodziejstwa, do których tak chętnie wracamy na kartach ulubionych powieści – pisze Rita Mock-Pike.

A co ma do tego gotowanie? – Cóż, wiele wartych zapamiętania wydarzeń rozgrywało się podczas posiłków i w trakcie świąt na zamku – zauważa słusznie autorka. – Dlaczego zatem nie spróbować przenieść się na chwilę do świata czarodziejów dzięki odtworzeniu potraw z Hogwartu we własnej kuchni?

W książce, wydanej właśnie przez Znak Koncept, znajdziemy 80 przepisów. Uporządkowano je według pór roku i okazji. – Zgodnie z tradycją pielęgowaną w Hogwarcie większość opisanych tu potraw to syjące angielskie dania, a także pyszne desery. Bardziej skomplikowane receptury – deklaruje Mock-Pike – zostały tak uproszczone, by dało się z nich sko-



SŁODKO-SŁONY

Wiśnia na chandrę

ANNA MONICKA

Czasem sezon na jakiś owoc kończy się tak szybko, że zanim się obejrzyysz, już jest po wszystkim. Co roku tak jest z wiśniami. Uwielbiam je. Są kwaśne i rześkie. Można je zasypywać cukrem, a one i tak nie tracą swojego naturalnego smaku. Kompot z wiśni najlepiej gasi pragnienie w upały, a wiśniówka jest niezrównaną pocieszcicielką, gdy dopada jesienno-zimowa chandra. W tych owocach zamknięte jest słońce. Może to ono sprawia, że czujemy się rozluźnieni, spokojniejsi i łatwiej zasypiamy. To chyba jeden z niewielu owoców, które można jeść wieczorem. Zawarte w nich antocyjany poprawiają produkcję czerwonych krwinek i chronią przed stresem oksydacyjnym.

Nawet pestki wykorzystasz – przeżute i wypłute wciąż się do czegoś nadają. Trzeba uszyć woreczek i napęczyć go nimi – będzie świetna poduszka na bolące stawy. Kilka minut w piekarniku i robimy okłady. A z zaparzonych liści wychodzi zdrowotna herbata – wzmacniająca, poprawiająca odporność. Nie wolno z nią przesadzać, bo, podobnie jak w pestkach moreli czy brzoskwiń, znajduje się w nich cyjanowodór, w nadmiarze trujący, ale odrobina w naparze działa przeciwwrzędnie, a dodane do kwaszonych ogórków poprawiają smak i sprawiają, że warzywa są twarde.

Kiedy moi rodzice zakładali przy swoim domu ogródek, pytali mnie, co w nim posadzić. Chciałam oczywiście krzaczki czarnej porzeczki, agrest, pigwowy żywopłot, trochę malin, ale najbardziej interesowała mnie wiśnia. Nie tylko z powodu owoców, chociaż bardzo mi na nich zależało. Kwitnące drzewo wygląda tak pięknie, że wiosną nie można się napatrzeć. Niestety, gdy tylko o owocach dowiedzą się szpaki, napadają na ogród jak wielka rozwrzeszczana chmura i po chwili nic nie zostaje. W tym roku udało się ocalić tylko małe wiaderko. Ratuję się więc mrożonkami. Robię z nich mus lodowy, gęstą przecieraną zupę albo po prostu zasypuję cukrem trzcinowym i zajądam, gdy mój organizm domaga się jakiegś nieoczywistej słodczy. Ostatnio mam do wiśni kompana – córcia uznała, że będzie je zjadać zamiast żelków i lodów. Gdy się znudzi, zaczniemy je zapiekać z koglem-moglem. To już będzie królewski deser. ▀



WILCZYM OKIEM

Zimna półka

Jaszczurka żyworodna
Zootoca vivipara

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gady to zwierzęta zmiennocieplne. Ma to swoje zalety, pozwala np. spowolnić przemianę materii, hibernować i przetrwać długie okresy niekorzystnych pór roku bez pożywienia – podczas gdy ptaki i ssaki muszą zabiegać o pokarm lub migrować. Zmiennocieplność ma jednak też wady. Zimno ogranicza aktywność, zwierzę staje się coraz bardziej ospałe i nie może normalnie funkcjonować. Z tego względu na dalekiej Północy brak jest gadów – niskie temperatury skutecznie eliminują te zwierzęta.

Jak zawsze w przyrodzie są jednak wyjątki, natura nie znośi próżni i wolna nisza ekologiczna prędzej czy później się wypełnia. Wyjątkami tymi są dwa gatunki: żmija zygzakowata *Vipera berus* i jaszczurka żyworodna *Zootoca vivipara*. Oba występują w Polsce, oba też sięgają bardzo daleko na Północ, przekraczając swoim zasięgiem północne koło podbiegunowe.

W przetrwaniu na tych odległych, surowych terenach pomaga im jajożyworodność – młode osobniki wykluwają się wprawdzie z jaj, ale jeszcze w osłaniającym je cieple matki; daje to pozór, jakby się nie wyklwowały, lecz rodziły. Dzięki temu jaja nie są narażone na zimno.

Zarówno żmije, jak i żyworódki stosują jeszcze jedną sztuczkę. Jak wszystkie gady lubią ciepło. Jednak te dwa gatunki potrafią nie tylko wygrzewać się wiosną i latem, ale przed szybko nadchodzącą zimą wyszukać kamienistą skarpe, która wystawiona na południe gwarantuje temperatury zimą wprawdzie niskie, ale i tak kilkadziesiąt stopni Celsjusza cieplejsze niż wiecznie zacienione północne zbocze (dodatkowo kamienistość gwarantuje odpływ wody, dzięki czemu zwierzę nie zostanie uwięzione w lodzie).

Prosty trick, a jakże skuteczny. Jaka nauka płynie stąd dla nas? Podglądanie natury się opłaca. Zwłaszcza w czasach, kiedy energia – przeznaczana w gospodarstwach domowych na podnoszenie temperatury lub jej obniżanie – jest nie tylko droga, ale jej zużycie negatywnie odbija się na środowisku. Jednym z genialnych rozwiązań jest dawna ziemianka – dobrze zbudowana działka jak jaskinia – zapobiega przemarzaniu zimą i przegrzaniu latem, utrzymując stałą temperaturę. Drugim – tzw. zimna półka – niegdyś stosowane w blokach i kamienicach przebicie w północnym murze chłodzące szafkę kuchenną. ▀



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Unijne sabaty

Kolejny sabat nad Polską za nami. Ponadnarodowa zorganizowana grupa pokazała swoją ohydą twarz. Działala z ukrycia, produkując kłamstwa, poza prawem. Jak zwykle chodziło o pieniądze. Totalna opozycja wzmacniała ataki, jak zawsze – bo tylko to potrafi – okrzykami. Jej suplikacje ze Strasburga nigdy nie były jednak aż tak głośne. Zgodnie wołano: „Unio Europejska, wybaw nas ode złego! Zamroź unijne fundusze! Zakończ rządy Prawa i Sprawiedliwości, a nas wprowadź do swojego nieba!”. A wszystko pod hasłem troski o polską praworządność. Dawniej w Polsce Ludowej i krajach sowieckich nazywało się to, zgodnie z tezą Stalina, zaostreniem walki klasowej w miarę postępów umacniania się socjalizmu.

ZAOSTRZENIE WALKI KLASOWEJ

Unijni posłowie pochyliłi się nad Polską z wielką troską. Uparcie przełamywali liberalizm i tolerancję niepokornych krajów wobec ustrojowych błędów. Radosław Sikorski przeszedł samego siebie. Nawet tego z 28 listopada 2011 r., czyli z wystąpienia nazwanego hołdem berlińskim, kiedy mówił w Berlinie m.in.: „Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: mniej zaczynam obawiać

się niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności”.

Tym razem jego strasburska oracja skierowana w stronę premiera i Polski szybko zmieniła się w histeryczne pokrzykiwanie. Tyrada sięgnęła „wyżyn”, gdy władzę sądową i sędziów nazwał „popychłami”. – Sednem sprawy jest to, czy można odsuwać, zastraszać i zastępować rzetelnych sędziów popychłami – wołał. – Czy sędziowie w Polsce mają być tak niezależni, jak Trybunał magister Julii Przyłębskiej czy Telewizja Jacka Kurskiego – krzyczał. Do premiera zwracał się głosem podniesionym, przypominającym ton karbowego pohukującego na parobka. – Więc mam tylko jedno pytanie: Czy wypełni pan orzeczenia TSUE, zlikwiduje Izbę Dyscyplinarną, przywróci uczciwych sędziów i wróci do europejskiego porządku prawnego. Tak czy nie! – wołał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Całość debaty zwękslowała eurodeputowana Beata Szydło, która zauważyła, że wszystkie kłamstwa, które padły, były „tylko i wyłącznie po to, żeby podtrzymać debatę, która jest wygodna dla części PE”. – Wstyd mi za tych polskich eurodeputowanych, którzy stąd i tutaj atakują Polskę, swoją ojczyznę – mówiła premier.

Rytualne już zawrośnięcia opozycji przypominały czasy minionej komunistycznej agitacji przeciwko Polsce.

Jednak żołnierze sowieccy, prowadzący akcję propagandową, wkraczając na polskie ziemie, mieli potrzebny sprzęt do produkcji ulotek, gazetek i wieżli ze sobą przenośne drukarnie instalowane na ciężarówkach. Towarzyszyły im także własne orkiestry wojskowe i grupy artystyczne. Totalna opozycja w PE nawet nie miała nut, a jej donosy na Polskę brzmiały żenująco, choć wypełnione były retoryką hasel o demokracji i przyjaźni polsko-unijnej, równie mocno jak propaganda sowiecka o przyjaźni polsko-radzieckiej.

UPIORY SOWIECKIEGO FRONTU IDEOLO

Rodzimi komuniści w latach 40. bardziej się też starali. W połowie 1944 r. w Białymstoku, mieście, w którym w latach 1941–1944 panowała, połączona z rabunkiem, nieformalna radziecka okupacja, Armia Czerwona codziennie organizowała w miejskim parku zabawy z udziałem sowieckich pieśniarzy, puszczano z gramofonu płyty z sowieckimi pieśniami, organizowano pokazy sowieckich popularnych filmów. Obecna totalna opozycja już tak się nie wysilała. Już sobie dawno odpuściła. Liczyła już tylko na zagranicę i na unijne mrożenie funduszy, o których mówił Rafał Trzaskowski podczas kampanii prezydenckiej. Swój wysiłek

ograniczyła do publicznych połajanek i osłabiania siły państwa. Ostatnio uderzała w Wojsko Polskie. Agdy stawało ono na straży granic, nie traciła okazji, by je poniewierać, wyzywać, mieszać z błotem.

To prawda, w czasach instalacji sowieckiej władzy było inaczej. Wojsko było nośnikiem wiedzy o skutecznej indoktrynacji społeczeństwa. Przekazywało ją podczas różnorodnych kursów w wojewódzkich i międzywojewódzkich spotkaniach partyjnych. Cały partyjny aktyw przechodził szkolenia ideologiczne przy komitetach wojewódzkich, w wieczorowych uniwersytetach marksizmu-leninizmu (WUML). Propaganda wojskowa utrzymywała w społeczeństwie od 1944 r. pogląd o trwałości nowej władzy, legitymując jej trwanie.

Przewidywano, że nowa formacja po wejściu na ziemie polskie u boku Armii Czerwonej spotka się z wrogością Polaków. Dlatego jednocześnie z jednostkami bojowymi szkolono komórki propagandowe, literackie, prasowe. Sowieckie szkolenia przeszli od początku budowy nowej Polski także wojskowi filmowcy, pisarze, dziennikarze. To oni gwarantowali karność i posłuszeństwo na odcinku ideologicznego frontu. Tamten front i dziś jeszcze wydaje głos. Poucza i uderza, gdy trzeba, zza węgła. Gdy Europa pogrąża się coraz bardziej, jak podkreślał Mateusz Morawiecki, podczas ostatniej debaty w PE, w kryzysie ekonomicznym, energetycznym, demograficznym, społecznym i politycznym, unijni eurokraci, chroniąc swoje wysiedziane od lat stanowiska, urządzają dintojrę Polsce. Uznają polski Trybunał Konstytucyjny za nielegalny i wzywają do odebrania środków na odbudowę gospodarki. Polakom powoli otwierają się oczy, a w stronę rządu Prawa i Sprawiedliwości płynie poparcie konserwatywnych polityków Węgier, Francji, Słowenii, Litwy, Wielkiej Brytanii.

REAKTYWACJA KULTURY MAFII

Jeśli jednak w porę nie nastąpi otrzeźwienie, nie pomogą fundusze unijne ani żadne inne. Europie grozi gettoizacja (to za sprawą uchodźców) oraz pogrążenie w strukturalnym kryzysie i wewnętrz-

nych bataliach. Eurokracja, szukając tematów zastępczych, skupiając się na Polsce czy Węgrzech, milczy konsekwentnie o innym potężnym zagrożeniu. Chodzi o wpływ zorganizowanych grup przestępczych, których korzenie tkwią w dawnych służbach wschodnich Niemiec i ZSRR, rozszerzających na całą Europę tzw. kulturę mafii. Wskazywał na te zagrożenia zmarły w 2017 r. niemiecki dziennikarz śledczy Jürgen Roth. Podkreślał on, że przestępczość zorganizowana w UE wcale nie jest czymś obcym. Jest tam mocno obecna. I nie chodzi tu o pojedyncze osoby, ale cały system. Wystarczy przyrzeć się prominentnym politykom europejskim czy niemieckim, którzy po odejściu z polityki rozpoczą-

Suplikacje totalnej opozycji ze Strasburga nigdy nie były aż tak głośne. Zgodnie wołano: „Unio Europejska, wybaw nas ode złego! Zamroź unijne fundusze! Zakończ rządy Prawa i Sprawiedliwości, a nas wprowadź do swojego nieba!”

nają biznesowe kariery jako ludzie Władimira Putina, chociażby w Gazpromie. „Wszędzie tam, gdzie panuje płatna protekcja, nepotyzm, korupcja, wymuszenia, oszustwo, jest ona obecna w Europie. W owej kulturze działa mafia albo wysoko wyspecjalizowani reprezentanci organizacji przestępczych” – mówił Jürgen Roth. I ostrzegał, że chodzi tu o wpływ na gospodarkę i politykę, co dzieje się coraz częściej zarówno w Austrii i Włoszech, jak i w Niemczech, granica między praworządnością a przestępczością zaś znika.

Te zagadnienia Roth opisuje w swoich publikacjach, chociażby w „Niemcy kraj mafii” (2009) czy „Gazprom – niebezpieczne imperium” (2011). „Gazprom jest potężniejszy od włoskiej mafii” – mówił Roth w jednym z ostatnich wywiadów.

W publikacjach znajdziemy szczegóły opisujące ewidentne powiązania spółek córek Gazpromu (jest ich ponad setka) ze strukturami mafijnymi i kryminalnymi, w Europie zarówno Wschodniej, jak i Zachodniej. Kształtowanie cen przez Gazprom jest stałym politycznym instrumentem szantażu i wywierania wpływu przez Władimira Putina. „Gazprom stosuje metodę kija i marchewki, tzn. kto jest posłuszny, ten może liczyć na korzystne taryfy – w przeciwnym wypadku spirala cenowa się nakręca” – podkreślał niemiecki dziennikarz.

Kooperacja rosyjskich tajnych służb i byłych funkcjonariuszy endersowskiej bezpieki (Stasi) wciąż stanowi zagrożenie nie tylko na terenie Rosji czy Niemiec.

Warto o tym pamiętać, gdyż obawiam się, że niedługo zapomnimy o unijnych sabatach nad Polską i pogrążymy się w nowych problemach. Ból głowy ogarnie wszystkich na samo słowo Nord Stream... Choć jak wiemy, USA (po zwycięstwie Joeego Bidena) zobligowały Niemcy (czyli kanclerz Angelę Merkel), żeby pilnowały w tej sprawie Władimira Putina. Ale czy ktoś mógłby wymyślić lepszy żart? A że doktryną Breżniewa, doktryną ograniczonej suwerenności, powiało w całej Europie, co podkreślił Viktor Orbán podczas niedawnego świetnego wystąpienia w 65. rocznicę powstania węgierskiego, to fakt. Widmo Leonida Breżniewa zawisło nad Europą. Mogliśmy się o tym boleśnie przekonać także podczas ostatniego unijnego sabatu.

Autorka jest profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu



Dzisiaj tej mocy nam potrzeba...

W październiku przypada jedna z najważniejszych dla nas rocznic – wybór Polaka na Stolicę Piotrową. Metropolita krakowski, 58-letni kardynał Karol Wojtyła, pierwszy od 455 lat papież spoza Włoch, najmłodszy z papieży od półtora wieku, został wybrany z kraju będącego pod władzą Kremla. „Musicie być mocni, dzisiaj tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiegokolwiek epoce dziejów, musicie być mocni mocą wiary, musicie być mocni mocą nadziei, która przynosi pełną radość życia!... Musicie iść drogą prawdy!” – wołał papież Polak na zakończenie pierwszej wizyty w Ojczyźnie w 1979 r. Dzisiaj te słowa stają przed nami z jeszcze większą siłą, jak polecenie, wręcz żołnierski rozkaz.

Tu jednak nasuwa się pytanie zasadnicze – czy pamiętamy, co mówił do nas przez 27 lat pontyfikatu pierwszy Polak na Stolicy Piotrowej, największy z rodaków? Czy zapamiętaliśmy chociaż kilka zdań, kilka słów, potrzebnych na każdy dzień – nasz polski dekalog? Wołał, prosił swoich rodaków, bo kochał nas, bo kochał Polskę miłością wielką i prawdziwą. Wystarczy poczytać wypowiedzi i relacje z całego świata publikowane w dniach, gdy umierał. „Mocarz świata” – pisano i mówiono o Nim we wszystkich mediach. Pokazywał drogę młodym, dawał przykład swoim życiem, jak być „silniejszym od warunków”. „Tylko Jezus! Nie wolno wam stracić Go z oczu nawet na chwilę, żeby nie zmarnować życia” – mówił z wielkim trudem na ostatnich Światowych Dniach Młodzieży w Kanadzie nad jeziorem Ontario, nawiązując do ewangelicznego spotkania nad jeziorem Genezaret. Najważniejsze zdanie z Ewangelii: „Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli”, przypominał całemu światu, a szczególnie mocno w swojej Ojczyźnie, przez ponad pół wieku niszczonej przez zbrodnicze kłamstwo władzy rodzonej i obcej.

Dzisiaj często wymieniamy hasło „Bóg, honor, ojczyzna”, nie rozumiejąc, że „honor to nieskazitelnność, w każdym wymiarze życia człowieka”. Dodawał: „Tak uczy Jezus Chrystus”. Kochał ludzi i wielki świat, ale pamiętamy, jak bardzo kochał swoje małe ojczyzny, małe skarby, wadowickie miejsca, ścieżki kalwaryjskie i krakowski „każdy kamień i cegły Mu drogie”. Bronił Westerplatte i krzyża spod Giewontu, wołał zdenerwowany z ojcowską troską w Kielcach w 1991 r.: „To jest moja matka, ta ziemia, to jest moja Ojczyzna! Nie może mnie to nie boleć! Was też powinno boleć!”, a w Warszawie kończył swój dekalog dla Polski: „Jestem z Wami teraz, na początku trudnej drogi do wolności, byłem zawsze, ja kocham mój naród!... Każdego z was chciałbym przytulić do serca”.

Pochylał się nad każdym życiem, miał nadzieję w młodych, zachwycił się cudem stworzenia, przyrodą, docierał do najdalszych zakątków świata, ile tylko tchu w piersiach nauczał, jak pięknie żyć, pokazywał to swoim przykładem. Był prawdziwie pełnym człowiekiem, na podobieństwo Boga. Nie trzeba było szukać cudów, uzdrowień jako dowodów świętości. On był po prostu święty, najpiękniej i najbliżej ludzkich



**Alina
Czerniakowska**

serc i umysłów. Właśnie dlatego na placu św. Piotra w dniu pogrzebu zebrany lud wołał: „Santo Subito!”. Przyjacieli i wielki miłośnik młodych, twórca tych jedynych w swoim rodzaju spotkań – Światowych Dni Młodzieży. „Drodzy młodzi, chrześcijaństwo nie jest opinią, nie polega na próżnych słowach. Chrześcijaństwo to Chrystus! To Osoba, to Żyjący! Spotkać Jezusa, kochać Go, sprawić, by był kochany – oto chrześcijańskie powołanie! [...] Tylko Jezus zna wasze serca, wasze najgłębsze pragnienia. Nie lekajcie się waszej młodości i waszych głębokich pragnień szczęścia, prawdy, piękna i trwałej miłości. Tylko On, który umiłował was aż do śmierci, jest zdolny wypełnić wasze pragnienia. Nikt poza Chrystusem nie może dać wam prawdziwego szczęścia”.

Powtarzał na każdych Światowych Dniach Młodzieży: „Jezus rozświecił wasze życie, pokaże drogę, przygarnie do serca i poprowadzi. Jemu zaufajcie bezgranicznie, Jego wielkiej, prawdziwej miłości, która objawiła się najmocniej na krzyżu. Gdy upadamy – podnosi, gdy błądzimy – prowadzi. Jezus – wszystko we wszystkim. Jego Kana Galilejska, Jego Kalwaria i Jego Zmartwychwstanie!”. Trzeba zapamiętać te słowa i obraz upadającego pod krzyżem choroby Wielkiego Papieża, wołającego przejmującego do ostatniego tchu, aby świat się opamiętał i poszedł za Jezusem: „Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”.

Trudno wybrać, bo wszystkie słowa Jana Pawła II mają wielką moc i niesamowitą głębię, siłę prawdziwej miłości potrzebną światu dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. „Drodzy młodzi, niech was nie zadawała nic, co jest poniżej najwyższych ideałów, nie zgadzajcie się na nijakie rozrywki, przelotne mody i propozycje, które was umniejszają. Niech nie będzie w waszym życiu miejsca na kłamstwo, egoizm, lenistwo. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek potrzeba abyście byli »stróżami poranka«, którzy obwieszczają światło świtu i nową wiosnę Ewangelii. Świat, który otrzymujecie w dziedzictwie, jest światem, który rozpaczliwie poszukuje sensu życia. Potrzebuje uzdrowienia poprzez dotyk pięknem, prawdą, bogactwem Bożej Miłości. Potrzebuje was, abyście byli solą dla ziemi i światłością dla świata!” (JP2, Częstochowa 1991 r.).

Wróćmy teraz do Jana Pawła II, starajmy się odszukać Jego homilie, poczytać, popatrzeć na fotografie, zobaczyć z uwagą filmy dokumentalne i zapamiętać. W nadchodzącym czasie będą nam pomocne Jego słowa, wskazania, Jego mądrość i wiedza, przykład życia, umiłowanie Ojczyzny. Mówił do wszystkich narodów i ludów świata, ale zawsze pozostawał Polakiem. To nas powinno kształtować i to nas powinno zobowiązywać przed całym światem. „Nie możemy sobie pozwolić na nieład moralny, bo za to już gorzko w historii zapłaciliśmy. [...] Ducha Świętego nie gaście! Ducha Świętego nie zasmucajcie!” [JP II, Kraków 1991 r.).

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Niesprawiedliwość

Robin Hood, Wilhelm Tell, Janosik. Co łączyło tych trzech bohaterów ludowych legend? Zbrojny opór przeciw skorumpowanym, rozpasanym i opresywnym rządóm. A ucieszeni ludzie, którzy podświadomie tęsknią za sprawiedliwością – nie mogąc dochodzić jej przed uczciwymi sądami – kibicują takim właśnie „oddolnym inicjatywom”.

Na Dzikim Zachodzie prawa strzegł bezwzględny „Wujek Lynch” – rodzaj obywatelskiego samosądu. Honoru porzobiorowej Rzeczypospolitej bronili polscy spiskowcy (zamachowcy, sztyletnicy) i powstańcy. W czas hitlerowskiej okupacji funkcję Temidy przejęła Armia Krajowa. Ostatnimi słowami, jakie zwykle słyszeli zdrajcy narodu, była formułka: „W imieniu Polski Podziemnej skazuję cię na śmierć za zdradę Ojczyzny”. Po wojnie strażnikami praworządności byli żołnierze wyklęci (ich dewiza: „Śmierć wrogom Ojczyzny”). Wymierzanie sprawiedliwości to bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie. Pokusa do nadużyć jest bowiem ogromna. Don Corleone



**Lech
Makowiecki**

– ojciec chrzestny sycylijskiej mafii – zaczynał jako obrońca prześladowanych w USA włoskich emigrantów. Rewolucje francuska, październikowa czy maoistowska wyruszały w swój krwawy marsz pod sztandarami wolności, równości, braterstwa i łączenia proletariatusz całego świata.

Dziś tzw. zamordyzm dominuje zarówno na Wschodzie (Chiny, wskrzeszane imperium Kraju Rad), jak i na Zachodzie (atak genderowego marksizmu). Presji poddawane są całe państwa. Ostatnia próba dyscyplinowania (dosłownie: zagłodzenia) Polski przez PE jest tego jaskrawym przykładem.

Wojujący islam – V kolumna dzisiejszej Europy – prze ku ostatecznej rozprawie z niewiernymi. A nad wszystkimi unosi się złowroga kłątwa z Wuhan, o której niektórzy boją się nawet pomyśleć.

Żyjemy w coraz ciekawszych czasach, w poczuciu krzywdy, wkurzenia na przestępstwa, butę i bezkarność naszych krzywdzicieli. Jeśli władza nie zareaguje stanowczo na całe to zło, wkrótce objawi się nam współczesny Janosik. 

Żubrówka z „Olem”

Pytają, to odpowiada. Chętnie odpowiada, bo martwi się o przyszłość Polski. Zawsze się martwił. Już wtedy, gdy po krwawym grudniu wstąpił do reżimowej PZPR – taką miał odwagę cywilną, i potem, gdy po stanie wojennym został ministrem odpowiedzialnym za wychowanie młodzieży w duchu socjalistycznym, i w chwili upadku komuny, gdy przy „okrągłym stole” reprezentował partię w negocjacjach z opozycją, i później, gdy został prezydentem RP – niezbadane są wyroki nieba... A że wciąż się martwi, to się dzieli.

A to podzieli się opinią z Radiem Zet, jak niebezpieczne dla Polski jest PiS, będące „UE niechętnie, które gra w jednej drużynie z Putinem”, to znów wywodzi w równie zatroskanym „Fakcie” (de domo Ringier Axel Springer), żeśmy osamotnieni, że w tej Unii nawet Węgry nie chcą nas bronić, że należy wykonywać nakazy TSUE, a ten Ziobro i ten Kaczyński, i Morawiecki..., że za komuny nas szanowali, lubili i podziwiali w świecie, a teraz wszystkimi zaprzepaścili... Aa, i o Nowej Lewicy coś powiedział, że to trochę przeroszona ciąża, lecz poród szczęśliwy i ma wszelkie atuty, i ciekawy program ma, i doświadczonych polityków też.

Takich jak on właśnie, Aleksander Kwaśniewski, dla znajomych „Olo”, bo do niego piję. A propos, złośliwi pamiętają mu



**Piotr
Cywiński**

inne doświadczenia, ale przecież nobody's perfect, a poza tym to, co mu wytykają, wynikało z błędów, które każdemu mogą się zdarzyć. Na przykład wytykali mu, że zełgał przed wyborami prezydenckimi, jakoby skończył studia, że „dyplom jest w domu, tylko nie może znaleźć, bo się przeprowadzał” i że we „Frankfurter Rundschau” też nakłamał, że te oskarżenia to „manewr wyborczy” jego przeciwników. Ale, gdy uniwersytet w Gdańsku potwierdził skreślenie „Ola” z listy studentów z powodu niezdań egzaminów, miał odwagę już jako prezydent wyznać, że myślał, że zdał – człowiek jest istotą omylną i on mógł się pomylić. Jak w Charkowie, gdy

dreńczony „chorobą filipińską” i „zapaleniem gołeni prawej” źle ocenił swe siły i gibał się nad grobami ofiar totalitaryzmu, albo gdy szukał schronienia w bagażniku samochodu, czy gdy zaplątał się we flagę, czy gdy poplątały mu się języki w wykładzie dla ukraińskich studentów o „sawlarwiwrze wobec żeńszczyn”, albo w oświadczeniach majątkowych...

Zdarza się, ale kontakt umiał nawiązać. Jak z Kohlem, któremu postawił żubrówkę w Bonn, do wyproszonej przez niego świńskiej żołądków (to była ulubiona potrawa kanclerza) „na spróbowanie”. A że Kohl wódki nie chciał i pił wino? Jego strata... 

PRZEZ ŚWIETLIK

Wojna o pokój



**Wiktor
Świetlik**

Algorytmy nakręcające spiralę społecznej nienawiści, radykalizujące się grupy społeczne, mowa nienawiści, nieprawdziwe lub podkręcone informacje, emocje zamiast argumentów. Wszystko to jest dość okropne, jest dniem codziennym mediów społecznościowych i dlatego uważam, że należy je traktować z wielką ostrożnością. Ale jeszcze bardziej od tych wszystkich nieprzyjemnych zjawisk obawiam się walki z nimi.

Frances Haugen, była ważna szysza w Facebooku, przyznała przed komisją brytyjskiego parlamentu, że wszystko w firmie Zuckerberga było tak skonstruowane, by podkręcać radykalizm i nienawiść, napuszczać ludzi na siebie. Z podobnymi zarzutami boryka się Twitter, choć w jego przypadku już wprost się stwierdza najstraszniejszą zbrodnię, czyli to, że treści konserwatywne mają rzekomo lepiej się na nim rozposzechnić niż liberalne.

Zostawiając jednak na chwilę kwestie ideologiczne. To prawda, media społecznościowe są okropne. Ludzie obrzucają się błotem albo co gorsza zamykają się w gettach nienawi-

ści, gdzie wzajemnie przeprowadzają sobie nienawistną psychoterapię. Wszystko to jest bardzo, bardzo be. Tylko co dalej?

Obawiam się, że będzie jak z walką o pokój toczoną przez Związek Radziecki. Im jej więcej, tym więcej trupów. Przecież, aby opanować te straszne zjawiska, potrzeba będzie jeszcze więcej skomplikowanych algorytmów, które będą jeszcze bardziej nakręcać do boju i budować słuszne tym razem emocje, słuszną nienawiść, do tych, którzy uprawiają mowę nienawiści. Radykalną walkę z radykalizmem, nietolerancję wobec nietolerancji, słuszny gniew wobec gniewnych. I wszystko wymierzone tym razem w jedną stronę globalnego sporu wartości.

A jeśli chodzi o nakręcanie nienawiści w Polsce, to media społecznościowe niewątpliwie miały swoje zasługi, ale nie odbierałbym palmy pierwszeństwa mediom tradycyjnym. Z hordującą środowiska celebryckie i kształtującą głos „elit” od lat gazetą na czele i bliską jej telewizją.

RZECZY POSPOLITE

Pamięć

Wielkim darem jest dobra pamięć. Darem i niezbędnym elementem zdrowia duchowego, moralnego. W wymiarze zarówno osobistym, jak i zbiorowym. Cóż znaczyłby zniczek stawiany na grobie, gdyby za nim nie szła modlitwa i pamiętanie o zmarłych?

Nie na darmo próbowano nas pamięci pozbawić, splamić ją, zakłamać przeszłość. Nie wystarczało zabić Żołnierzy Niezłomnych – trzeba ich było w doły bezimiennie wrzucić, odrzec z nazwiska i krzyża stawianego na grobie, unicestwić fizycznie, ale też wydrzeć z pamięci potomnych, a jeśli nie dałoby się ich całkiem z niej wyrwać, to chociaż wizerunek bohaterów podziemia niepodległościowego splugawić i zozydzić.

Dobra pamięć jest więc odpowiedzią, koniecznością, obowiązkiem, kościołem bycia człowiekiem, Polakiem. Czy będę tylko przechodniem w dziejowym potoku przesypanych się ziarenkami klepsydry Przedwiecznego? Czy też stanę się świadomym kustoszem tej pamięci – wszędzie tam, gdzie mogę to uczynić, poczynając od mego własnego domu, poczynając od tego, co opowiem, co przekażę i pozostawię swoim dzieciom?



**Tomasz
Lysiak**

Jedną z najcelniej dobranych nazw instytucji państwowych to... Instytut Pamięci Narodowej. Słowa znaczą, niosą sensy, kierunkują czyny. Także te ukryte w nazwie, a mówiące o Pamięci Narodu. Czym ona faktycznie jest? I jak nad nią winniśmy pracować?

Czy tylko zapisanym gdzieś zbiorem archiwizowanych informacji, udokumentowanych faktów? Oczywiście jest, iż nie tylko – pamięć to bowiem również czyn, droga do niej, praca nad nią, to wreszcie praca nad prawdą i walka z kłamstwem. Zniczek stawiany na grobie jest znakiem naszej pamięci i modlitwy, jej symbolem. Ale samym tylko „zniczem”

(tak jak pomnikami, obchodami, rocznicami) nie zbuduje się pamięci wspólnej – potrzeba jeszcze mozolnej pracy. Na przykład takiej, jak ta prowadzona na „Łączce”, czy w muzeach, czy też poprzez publikacje historyków, czy też wreszcie wytaczając procesy, stawianie przed sądem katów, zdrajców, lotrów. Nieukarani bandyci, mordercy z czasów komuny to naszej pamięci zbiorowej obraza. Nieukarani (bądź mający śmiesznie niskie wyroki po II wojnie światowej) Niemcy to kolejna bardzo bolesna zniewaga pamięci naszego narodu. A zatem nie wolno nam jedynie stawiać zniczy. Musimy się ciągle bić o pamięć.

Michał Korsun prezentuje:
Kto z TSUE Polskę psuje, czyli Lars Bay Larsen



Wycinki z przeszłości

Tak wyglądała okładka popularnego tygodnika „Światowid” relacjonującego obchody „w wielkim dniu Państwa Polskiego 11 XI 1928”. Cóż wtedy się działo?

Dowiadujemy się, że marszałek Piłsudski „śledził przebieg defilady na polu Mokotowskim” w Warszawie. Był tam też obecny prezydent Mościcki, a kazanie „po mszy świętej wygłosił ks. Biskup Bandurski”. W dzień poprzedni w Sejmie pod przewodnictwem marszałka I. Daszyńskiego 10 listopada w południe odbyło się uroczyste posiedzenie, a na rynku Starego Miasta prezentowały się wieczorem „oddziały wojska w mundurach z r. 1831”.

Również tego dnia „przybyła na uroczystości Dziesięciolecia delegacja armji estońskiej”. Uroczyste obchody miały również miejsce w Krakowie, gdzie m.in. podświetlono pięknie Wawel, i we Lwowie, gdzie u stóp pomnika Adama Mickiewicza odbyła się defilada oddziałów przysposobienia wojskowego i pokrewnych, w tym żeńskich.



(mk)

„Lecz nie było już świata”

Zdumiewa, olśniewa wciąż ta poezja. Niekiedy wręcz zatrzaża jej śmiałość, oryginalność wnioskowania. Przyswojone powszechnie jest raczej: ze zgonem gaśnie rzeczywistość i wszelkie światy... Ale i Bóg? Miłość...? To ona, póki ożywia, ustanawia ostateczną determinację? Jest sprawcą i gwarantem wszelkiego uniwersum? Oj Bolesławie, Bolesławie, ludzie ludzińkowie... Powiem ja wam, opowiem...



Leszek Długosz

Bolesław Leśmian Dwoje ludzińków

*Często w duszy mi dzwoni pieśń, wyłkana w żalobie,
O tych dwojgu ludzińkach, co kochali się w sobie.*

*Lecz w ogrodzie szept pierwszy miłosnego wyznania
Stał się dla nich przymusem do nagłego rozstania.*

*Nie widzieli się długo z czyjejś woli i winy,
A czas ciągle upływał – bezpowrotny, jedyny.*

*A gdy zeszedli się, dłonie wyciągając po kwiecie,
Zachorzeeli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!*

*Pod jaworem – dwa łóżka, pod jaworem – dwa cienie,
Pod jaworem ostatnie, beznadziejne spojrzenie.*

*I pomarli oboje bez pieszczoty, bez grzechu,
Bez łzy szczęścia na oczach, bez jednego uśmiechu.*

*Ust ich czerwień zagasła w zimnym śmierci fioletcie,
I pobledli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!*

*Chcieli jeszcze się kochać poza własną mogiłą,
Ale miłość umarła, już miłości nie było.*

*I poklekli spóźnieni u niedoli swej proga,
By się modlić o wszystko, lecz nie było już Boga.*

*Więc sił resztą dotrwali aż do wiosny, do lata,
By powrócić na ziemię – lecz nie było już świata.*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIĘCI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIĘCI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIĘCI i wSIĘCI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIĘCI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIĘCI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

Dwie stacje metrem

Czy nadmierne przeklinanie jest ekologiczne? Tyle mówimy o zanieczyszczeniu środowiska, które nas otacza, o zatrutym powietrzu, o szkodliwości spożywania mięsa, a język?

Późnym wieczorem wracam z synem z Filharmonii Narodowej. Mamy za sobą wspaniały koncert laureatów Konkursu Chopinowskiego. Jeszcze czujemy muzykę i nawet zimno z deszczem nam nie dokwiera. Od trzech tygodni śledziliśmy konkurs w radiowej Dwójce i w internecie, kilka razy uczestnicząc w przesłuchaniach i koncertach finalistów na żywo.

TRZY DZIEWCZYNY W METRZE

Nucąc pod nosem szopenowskie motywy, wsiadamy do metra. Naprzeciwko nas trzy dziewczyny. Mają po kilkanaście lat, mniej niż dwadzieścia. Wszystkie ubrane na czarno, bez maseczek ochronnych. Dwie mają wyzywający makijaż, w tym jedna chyba założyła kolorowe szkła kontaktowe i wygląda tak, jakby miała czerwone, demoniczne oczy. Poza nienaturalnym kolorem oczu wyróżnia ją też czarny kapelusz, rozpięta kurtka eksponująca dekolt i spodnie poszarpane na kolanach. Są głośne, choć mówią jakby w zwolnionym tempie. Nie wyglądają na pijane, raczej pod wpływem jakichś substancji. Jedna z nich nawet nie przyciągnęłaby uwagi, gdyby nie mętny wzrok i opo-

wieść o incydencie na jakiejś imprezie. Osobliwa, opowiedziana za pomocą bluzgów. Nie chce się tego słuchać, ale mówi tak głośno, że nie sposób nie słyszeć. Nie potrafię tych odrażających fraz przytoczyć precyzyjnie.

Moja pamięć z trudem utrwała rynsztokowe frazy. Ta dziewczyna wzbudzona i podekscytowana relacjonuje, jak komuś rozcięto butelką głowę. Myślę, że chodzi o głowę, bo używa określenia „ryj”. Wspominają, że jakaś ich koleżanka za bardzo „odjechała” na imprezie. Chyba już chodzi o inne wydarzenie niż to z butelką wymierzającą karę. Dziewczyna, która wygląda najmniej wyzywająco, jest za to najbardziej aktywna w „konwersacji”. Na głos zastanawia się, jak mogło do tego dojść? Rozwija wypowiedź. Tu częściowo spróbuję zacytować: „No, ku..., no nie wiem, czym się naje..., na ch... nie mam pojęcia, bo przecież ku... onanizowałam się wtedy”. Pozostałe koleżanki z pełnym zrozumieniem przyjmują okoliczności, w których trudno było zauważyć, co łyka koleżanka.

RZECZYWISTOŚĆ

Nigdy dotąd tak krótkiego odcinka metrem nie jechałam tak *długo*! Dystans dwóch stacji wydawał mi się nieskończony. A trwało to kilka minut. Myśl, żeby się przesiąść do innego wagonu, przyszła w momencie, w którym trzeba było wysiadać. Dalszą drogę przeszliśmy z synem pieszo, rezygnując z autobusu, moknąc i w zasadzie milcząc.

OHYDNY JĘZYK CZY ŚWIAT

Mam szczęście żyć i przebywać w otoczeniu osób, które ładnie mówią. Mam

alergię na przeklinanie. Jasne, że nie żyję w całkowitej izolacji od przekleństw. Mnie też przydarza się wyrzucić emocje – ujmijmy to tak – na sposób szewski. Nie mogę jednak pogodzić się z tym, że bluzganie staje się „normalnym” elementem rzeczywistości. Już nawet nie chodzi o to, że przeklinają politycy, księża, nauczycielki, uczenice, przedstawiciele świata akademickiego, ale o powszechną akceptację takich form ekspresji w przestrzeni publicznej.

Czy nadmierne przeklinanie jest ekologiczne? Tyle mówimy o zanieczyszczeniu środowiska, które nas otacza, o zatrutym powietrzu, o szkodliwości spożywania mięsa, a język? Podobno zapach, który człowiek wydziela, jest zależny także od pożywienia.

Wspomniane dziewczyny w metrze opowiadały o fragmencie rzeczywistości dla nich chyba codziennej, zwykłej. Pewnie atrakcyjnej. To, *jak* to robiły, to jeden problem. Pozostaje jeszcze to, o *czym* mówiły.

Albo inaczej – pierwszym odruchem każdego socjologa powinno być pytanie: jaki świat te młode kobiety uformował? Jakie mechanizmy środowiska społecznego „wepchnęły” je w język prostactwa? A może to język najlepiej oddający to, czego część młodego pokolenia (nie tylko w Polsce) doświadcza? Bo przecież to, co zobaczyłam w nocnym weekendowym metrze, to nie jakiś wyjątek, ale coś – dla pewnej części Polaków – typowego.

Co rządzący dziś Polską, odrzucani przez dużą część młodych, mogą zrobić z niepokojącym trendem kulturowym, który przejawia przecież nie tylko w metrze?

Katarzyna Zybortowicz

Przyjazna Firma Ubezpieczeniowa 2021



Zapraszamy do udziału w **XII edycji konkursu**,
w której wyłonimy liderów spośród **towarzystw
i firm ubezpieczeniowych**

oraz

Ubezpieczeniowego Menedżera Roku 2021

Zgłoszenia przyjmujemy od 28 października
do 25 listopada 2021 r.

Szczegóły na:

gb.pl/konkursy

ORGANIZATOR

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

PARTNER
MERYTORYCZNY

KEARNEY

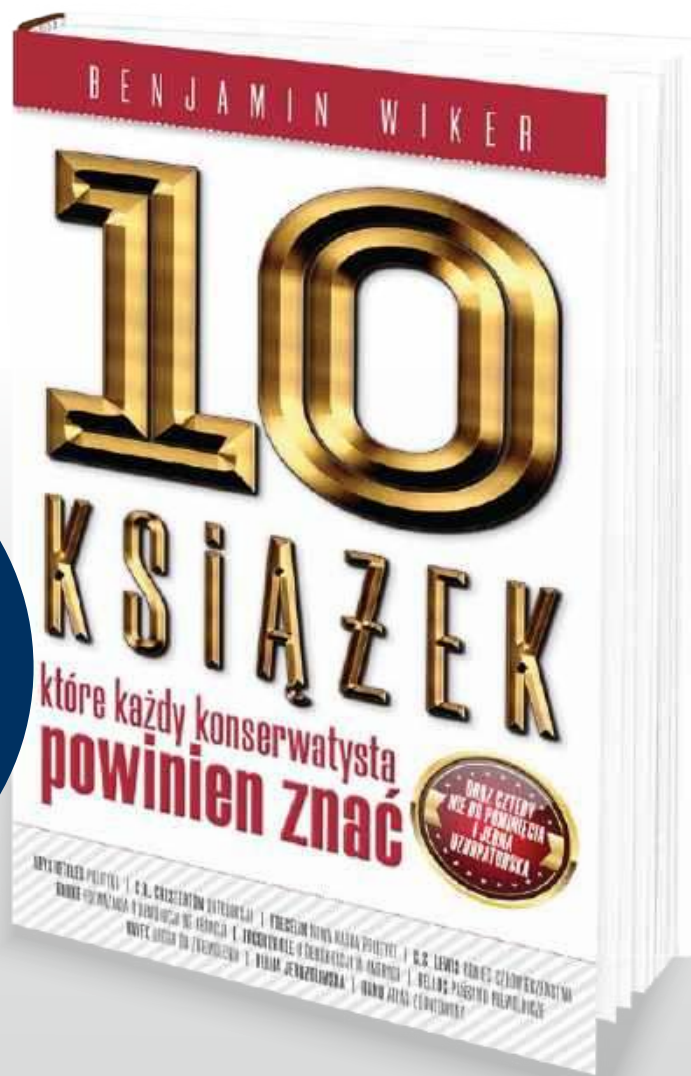
**TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ PAKIETU**

SIECI

**wSIECI
HISTORII**

Czy poglądy Arystotelesa nadal kształtują światową politykę?
Czy Shakespeare miał serce po prawej stronie? Dlaczego „Władca pierścieni” Tolkiena jest lekturą konserwatywną?

**70
książek
w prezencie**



Publikację „10 książek, które każdy konserwatysta powinien przeczytać” otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **280 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9–16